

33 626 [2]

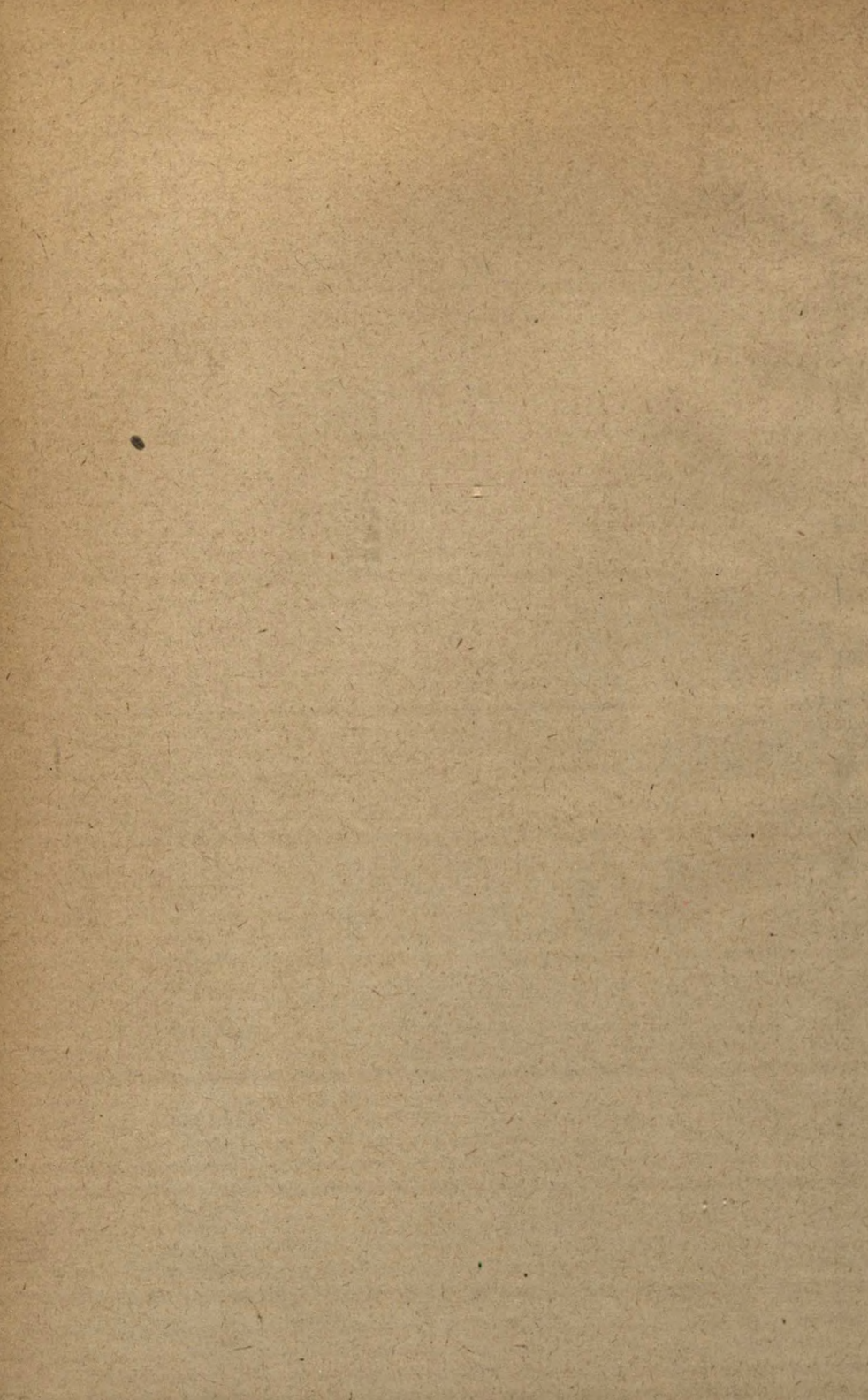
AIX 263

EX LIBRIS



ANTONII
MADEYSKI





NA OBU PÓŁKULACH



ANTONI STADNICKI.

ANTONI STADNICKI

NA OBU PÓŁKULACH

WRAŻENIA I LISTY Z PODRÓŻY

II.

KRAKÓW — D. E. FRIEDLEIN
WARSZAWA — WENDE I SP.
MCMXI

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167659



33626 [2]

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“ POD ZARZĄDEM A. ŚWIERZYŃSKIEGO

11-369974 114-62038
PAN Avc. v. I 58/6w

ZA ATLANTYKIEM.

I.

Z ZAMORSKICH SPOSTRZEŻEŃ I WRAŻEŃ.

NA KOTWICY.

Pod wieczór skwarnego sierpniowego dnia tłoczą się ludzie, piętrzą kufry, skrzynie, zawiniątka na pokładzie małego parowca, uczepionego linami u grobli portowej w Cherbourg, okręciak ten ma przewieść podróżnych na wielki »transatlantyk«, »Fürst Bismarck«.

Wodny ów olbrzym nie może wpłynąć z powodu swego ogromu do wąskiej a długiej zatoki, więc zatrzymał się opodal na pełnem morzu i zdaleka nagli do pośpiechu przenikliwym świstem, gniewliwym rykiem, zionąc przytem z czterech kominów kłębamii dymu i pary. O tej właśnie porze ciągnie cały szereg żaglowych łodzi, ładownych galarów, rybackich czółen i lekkich czajek do portu, jak rozpierzchłe stado do zagrody w zachód słońca, ale potężny okręt zadufany, zda się, w swe rozmiary i siłę gardzi schronieniem przed wieczornym podmuchem wiatru, zmrokiem i nabrzmiewającą nocną falą, nakształt starych, zdziczałych samców, przekładających samotność nad zmieszanie z drobnem pospółstwem pływackiej rzeszy.

Napróżno jednak mrukiwy samotnik dąsa się i zżyma; z osobnego pociągu, który wprost z Paryża przywiózł przed

chwila ostatnich podróży wysiadają jeszcze i schodzą po schodkach na pomost coraz to nowe zakurzone postacie w pudermantlach i angielskich czapeczkach; coraz to nowe paki zjeżdżają po równi pochyłej do sklepu, który się wypełnia po brzegi. Na poczcie odbierają i nadają ci, co przez tydzień będą pozbawieni wiadomości (bo system Marconiego nie wyszedł jeszcze z dziedziny prób i dziennikarskich omówień) ostatnie listy i telegramy, na kartkach z widokami Cherbourga i konnym posągiem Wielkiego Cesarza, dobroczyńcy i niemal świeckiego patrona miasta; zapisują ostatnie uściśnienia i pozdrowienia i wreszcie zmęczeni oczekują na odjazd.

Z odmianą techniki środków komunikacyjnych odmięła się i psychologia podróży.

Nie tak to dawno jeszcze każdy, zwłaszcza u nas, kto wybierał się na drugą półkulę, uważał sam siebie i uchodził w oczach innych za śmiałka, nieledwie awanturnika, za naśladowcę wielkich żeglarzy XV i XVI wieku, chociaż nie więcej wpływał na bieg żeglugi, jak tobołki, które ze sobą zabierał — dziś uważa się powszechnie podróż morską za przyjemniejszą i przede wszystkim za wygodniejszą od lądowej, nie licząc oczywiście dolegliwości, dla nowicyusza, od morskiej przeprawy poniekąd nieodłącznych, które jednak, zdaniem lekarskich powag, działają podobno niemniej zła-wiennie, niż... karlsbadzka kuracya.

- »Czyście zegnali? klęczeli? włos rwali?
- »Tracili ducha? wymowę? kolory?
- »Z paszportem pugilares? i tak dalej — —

Żadna z tych zwruszających scen nie rozgrywa się na brzegu, ni na pokładzie; o paszporty nikt się nie troszczy, a nawet pugilares jest cokolwiek przestarzały — zastąpiła go książeczka czekowa.

Biała chusteczka w ręku mężczyzny w średnim wieku, rozstającego się z bratem, jest jedynym hołdem, oddanym

dawnej tkliwości i staroświeckiej sentymentalności starego świata, bo już na tym statku, przywiązany jeszcze do normandzkiego ładu, atmosfera jest zupełnie inna — amerykańska.

Nikt się nie żegna z ziemią, starą matką i do Amfitryty ramion nie wyciąga, nikt nie ogląda się za ukochanymi pozostałymi — na wszystkich twarzach maluje się jedynie znużenie. Pośpiech, nieszczęsny pośpiech, niszczy swobodę myśli, ubezwładnia uczucia i duchowe wrażenia. Bezmyślny tłum podróżny, jeżeli o czem, marzy o kąpieli i kanapie, które go oczekują na pokładzie »Fürst Bismarck'a«.

Zresztą nie ma i komu żegnać się z francuską ziemią — z ojczyzną.

Rozmowa toczy się angielskimi półsłówkami, północno-niemieckimi, hałaśliwymi i gardłowymi wykrzyknikami, tu i ówdzie w dźwięcznych wyrazach hiszpańskiej mowy; — francuski element przedstawia jedynie śliczna, posągowa panna, mileżąca jak posąg, i dwóch młodzików, przyszyłych na gapia i zabawiających siebie, a zanudzających innych konceptami wątpliwego smaku, t. zw. *gauloiseries*: najwstrętniejszym rodzajem francuskiego dowcipu.

Port więc, miasto i siniejące w oddali wybrzeże są niczem innym dla nas, jak krańcem Starego Świata, a — jak wiadomo, — *il n'y a plus d'Europe* i to już od lat wielu, przynajmniej w serdecznem tego słowa pojęciu.

To też w chwili odbicia od brzegu nie doznaje się bolesnego uczucia rozłąki. Cherbourg to nie koniec czegoś ukochanego, ale jedynie etapu na obczyźnie.

Parowa łódź pilota, holująca mały statek na pełne morze, pruje gładką toń cicho i szybko, niby delfin.

Wieże, mury, ulice maleją w oczach nagle, las masztów wydaje się już tylko oczeretem, a okrętowe flagi, chorągiewkami, i stajemy u boku korabia, który z daleka wyglądał jak żywy potwór ze skandynawskiej baśni, a z bliska ma pozór przepelnionego hotelu.

Orkiestra z dętych instrumentów wita nowoprzybyłych wojskowym marszem, głośzącym wywoływanie numerów kabin, męskie niecierpliwe głosy i niewieście zakłęcia o wręczenie kuferków, torebek, pudełek itd.

Zanim zdołano rozpakować się i przebrać, rozlegają się donośne słowa niemieckiej komendy, kilkorazowy świst z pomostu kapitana, zgrzyt łańcuchów wyciąganej kotwicy — statek ożywia się, dygoce; śruba poczyna bić jednostajnym tętnem, niby serce stalowego organizmu. Ruszamy i, da Bóg, nie zatrzymamy się aż w Nowym Jorku.

WŚRÓD PRZESTWORZA.

Ani świetlisty, nieporównany zachód słońca, zapadającego tam właśnie, dokąd dążymy, ani niknące wśród mlecznych oparów wzgórze i skaliste wiszary, ani migotliwe polyski latarni morskich, ani barwne smugi wieczornej zorzy, ani nawet łososie, trufle i szparagi, które cały batalion *stewartów* wnosi do sali jadalnej, nie zdoła pochłonąć uwagi większości podróżnych — zajmuje ich jedynie kwestya równowagi... wewnętrznej.

Milczkiem i chyłkiem wymykają się też całe gromadki do kajut, na pomoście zalega cisza, tylko jeszcze w salonie t. zw. męskim wre jak w ulu. — Brzęk kufli, woń cygar i fajek, wykrzykniki wobec przegranych czy wygranych w karty i osławione węgierskie dowcipy, niestrawne, jak kuchnia naszych sąsiadów, bo tłuste i pieprzne, ba! papryką zaprawne do zbytku, a najczęściej pozbawione soli, opowiadane w kółku starszych ichmościów, składają się na atmosferę prawdziwej niemieckiej knajpy.

W ciemną noc gasną w oddali różnobarwne latarnie, służące statkom za drogowskaz a z nimi niknie dla oka możność porównania, mierzenia odległości — okręt otacza już zewsząd bezmiar.

Fale, przecinane wygiętym w kabłąk stalowym przodem parowca, przewalają się niby odwracane pługiemy skiby, pluszczą z cicha, zamieniają się w mleczny szlak piany i rozbiegają ukośnie na kształt pletw morskiego widziadła. Dalej otchłani, piętzące się wały i głębokie czeluście o zmiennych kształtach, ciemne, groźne, szumne, nieokiełznane i nieprzeparte. — *Abyssus abyssum vocat*. Między bezdenną głębią oceanu a niezwruszonym nieboskłonem toczy się rozhowor, którego treść jest dzisiaj równie przejmująca i niezrozumiała, jak przed lat tysiącami, za przedświtu ludzkiej myśli i marzenia. Wieczność i nieskończoność przestają tu być spekulatywnem, abstrakcyjnym pojęciem, objawiają się niemal dotykalnie, podpadają pod zmysły.

Wzrokiem nie ogarniesz, ni słuchem nie obejmiesz tego przestworza, które ci zapór nie stawia i tem bardziej tylko o własnej nieudolności przekonywa; ale w takiej chwili czujesz natomiast wyraźniej, niż kiedykolwiek, duchowy pierwiastek na dnie swej istoty, tak często zagłuszany przez rozliczne, przygodne wrażenia.

Myśl, skacząca najczęściej na ziemi, jak konik polny z przedmiotu na przedmiot, tu między niebem a morzem, rozwija skrzydła, szybuje w przestrzeni, wzbija się w górę; wśród bezkresu czuje się w swoim żywiole.

— »Lekko mi! rzeźwo! lubo! — wiem co to być ptakiem«.

O oddanie stosunku duszy ludzkiej do tej nieskończoności w skróceniu, jaką jest noc na pełnym morzu, kusiły się pokolenia, odkąd istnieją żeglarze i poeci, to znaczy od początku świata.

Od starego Homera aż do Heinego, przez tragików i liryków greckich, po przez Horacego i tylu, tylu innych ciągnie się szereg piewców, chwalców, wielbicieli morza. Ciekawem byłoby studjum porównawcze rozmaicie odczuwanych wrażeń wobec niezmiennego w swej ruchliwości

przedmiotu, opisów — od »purpurowego« morza w Iliadzie, aż do kunsztownych i wyszukanych strof Baudelaire'a:

..... suivant le rythme de la lame
Berçant notre infini sur le fini des mers...

niewątpliwie uwydatniłoby takie zestawienie wzrastające w poezji zajęcie i przejście się sobą, sobkostwo ubrane w rymy, przepasane średniówką, obute w koturny końcówek i głoszące z naiwnem upodobaniem, że cały ogrom oceanu może zaledwie służyć mu ... za zwierciadło.

La mer est ton miroir; tu contemples ton âme
Dans le déroulement infini de sa lame
Et ton esprit n'est pas un gouffre moins amer.

Wiersze różnych wieków i w rozmaitych językach dźwięczą urywkami w eklektycznie kształconej pamięci; w tem nagle, jak ze snu, budzi z błogiego rozigrania wyobraźni, dręczące pytanie, czemu w różnolitym koncercie wiązanych snów, któremu za przygrywkę i za *leitmotiv* służy szumiąca pieśń bez słów morskiej głębi, brzmi polska nuta tak słabo i nieznacznie? Zapewne dla tej samej przyczyny niestety, dla której i temu, kto mową bogów nie włada, tak trudno i prawie niepodobna myśleć po polsku na morzu i o morzu, na okręcie i o okręcie.

Poprostu brakuje słów, najprostszych technicznych wyrazów dla nazwania czegokolwiek, nawet tego, co spotyka się na każdym kroku, widzi na pierwszy rzut oka.

Rdzennie rodzimych nazw jest niezmiernie mało, te zaś spolszczone oddawna, które już przed wiekami uzyskały niejako indygenat wśród pospolitej rzeszy naszego języka, jak żagiel, maszt, ster i t. d. nie wystarczają na określenie nowych przyrządów i wynalazków. Mogły one służyć za czasów Zygmunrowskiej flotyli na Bałtyku i przepraw Tęczyńskiego do Szwecyi, lecz nie stosują się dziś do pancerników i torpedowców wojennych, ani do statków prze-

wozowych. Nie wytworzyliśmy języka morskiego, tak bogatego w innych krajach, bo słowa nie odpowiadały potrzebie, ni rzeczywistości, mimo, że Gdańsk i Prusy królewskie należały przez 300 lat z górą do dzierżaw Rzpltej, że Polska miała morskie wybrzeże, o które napróżno walczyła przez wieki Rosya. Wszzechwładnej szlachcie wystarczało spławianie pszenicy i wełny na tratwach do portów — to też istnieje język flisacki; nie przyszło zaś na myśl jej krótkowidztwu i partykularyzmowi zająć się sprawą morskiej żeglugi. Wyszło tem samem jedno źródło bogactwa, obumarła jedna gałąź, ba! potężny konar narodowego życia i działalności... Dalibóg, niema miejsca na kuli ziemskiej, skądby tęskne rozpamiętywanie Polaka nie zwracało się do ziemi ojczystej z bezdennym żalem, żeśmy ongi »z taką pychą przemarnili« wszystko to, na czem się zasadza dzisiejsza potęga, znaczenie i wpływ naszych niegdys współzawodników.

W sferze natchnienia nie popełniliśmy w tym samym stopniu grzechów opuszczenia, jak na polu kupieckich zabiegów.

Kochanowskiego chór: »O białoskrzydła morska pławaczko« z *Odprawy posłów greckich*, *Sonetów Krymskie*, Słowackiego *Hymn o Zachodzie słońca*, *Smutno mi Boże*, wreszcie *Latarnik* i wiersze żyjących naszych poetów, mogą iść w zawody z najpiękniejszymi strofami, wyśpiewanemi gdziekolwiek na cześć Amfiryty, ale tych pereł poezyi, wydłownych z dalekich i obcych toni, nie starczy na sznur; nie masz w co je oprawić. Nie łączą się one organicznie, jak u innych narodów w całość, wraz z wysiłkami odmiennej natury, zwróconymi do owładnięcia i ujarznienia morskiej roztoczy.

* * *

Życie spokojne, jednostajne, niemal roślinne, które się pędzi w czasie dłuższej, morskiej podróży, usposabia do rozpamiętywań, oraz rozmyślań.

Według usposobienia, jedni rozpuszczają wyobraźni wodze, pławią się i nurzają w bezkresie, drudzy rachują, obmyślają przyszłość; większość wypoczywa bez myśli i troski po trudach i przed wysiłkami gorączkowej ruchliwości w starym i nowym świecie — inni wreszcie ostrzą swój zmysł spostrzegawczy na towarzyszach przeprawy. Sposobność nadarza się po temu jedyna. Jeżeli miesiąc spędzony na wsi, więcej służy do wzajemnego poznania się, niż rok w mieście, tydzień na morzu więcej może jeszcze nastreżać widoków w tym względzie. Nieustanne sąsiedowanie na pokładzie, w sali jadalnej, w nielicznych pokojach, oddanych na użytek publiczny, a zwłaszcza odcięcie od wszelkich wiadomości i wrażeń zewnętrznych, wytwarza pewną poufałość i budzi drzemiącą na dnie ludzkiej duszy potrzebę wywnętrzeń.

Na pokładzie statku, należącego do wielkiej linii »Hamburg-American«, przeważa niemieckie towarzystwo. Być może, że przyczynia się ono do podbicia świata, jak cały jego naród w obecnej dobie; to pewna, że nie podbija go wdziękiem, ani zniewala sympatją.

Niemiec wyjarzmiony z karności i porządku, do którego wkładano go za młodu, łączy, zanim utonie w pandemonium amerykańskim, pruską butę z chępliwością Yankeesów, dawną sztywność z świeżo przyuczonym *sans gêne*. Mężczyźni rozmawiają wyłącznie o pieniądzach i interesach nie w tym płaczliwie elegijnym tonie, który u nas w takich razach panuje; nie żartobliwie, albo bardzo ściśle i dobitnie, jak mówiliby o tem Francuzi, nie z tem przejęciem, fantazją i poetycznym bodaj natchnieniem, które w cyfry i rachunki umieją tehnąć tylko żydzi, ale z wielką pewnością i wiarą w przyszłość, powodzenie, a nadewszystko w siebie. Panny w szpetnych, dżokejskich czapeczkach, w okularach i z rękami w kieszeniach, kurtek na męską modłę skrojonych rozczochrane, krzykliwe i rubaszne, odbiegły od typu »Gretchen«, a nie nabyły odmiennego od wszelkich dotychczasowych wzorów, lecz niezaprzeczonego wdzięku Amerykanek.

Trzeba widzieć, z jaką nieukrywaną zresztą pogardą patrzy na to towarzystwo *made in Germany*, lecz noszące zagraniczną etykietę — jak towary, wypełniające cały spód naszego okrętu — kilku młodych ludzi, wyglądających na siłaczy i linoskoków cyrkowych, choć są studentami uniwersytetu w Harward, a sport uprawiają całym sercem i ze wszystkich sił, ale tylko dla rozrywki.

Żaden lord angielski, czy grand hiszpański nie czuje w tym stopniu swej wyższości w porównaniu z sewilskim lub londyńskim przekupniem, jak ta trójka czystej, a przynajmniej czystszej krwi Yankesów wobec Niemców, amerykanizujących się dopiero, chociaż na gwałt. — Im więcej widzi się krajów i ludzi, tem bardziej nabiera się przekonania, że wysokie rozumienie o sobie i pomiatanie drugimi jest, jak dotąd, samą treścią międzynarodowych stosunków.

Wysoki, wytworny i wyniosły Anglik, ładna, jeszcze młoda Rosyanka w paryskich sukniach, lecz o słowiańskim wyrazie i rysach twarzy, szwedzka młoda para dopełniają różnojęzycznej mozaiki na pokładzie. — Ciekawą, chociaż nieletnią osobistością jest Mr Block: jestto krzepki, tęgi, rumiany chłopak, lat około 12, wracający do rodzinnego St. Louis z sześciomiesięcznej podróży po Europie. — Zwiedził on Niemcy, leczył się w Karlsbadzie na katar żołądka, a teraz spędza całe dnie na hałaśliwej bieganiu po pokładzie, umizganiu się do dorosłych pańienek, które bawi swoim wzięciem i swadą, oraz na rozmowach ze swoim towarzyszem kajuty, nudnym i poważnym Niemcem, który, jako nieodrodny syn swego narodu, jest potrochu pedagogiem, a dużo więcej jeszcze policyantem. — Mały obywatel Stanów Zjednoczonych nie znosi jednak narzucanej mu opieki, sprzecza się bezustannie ze swym nieproszonym mentorem, a czasami wprawia go w kłopot pytaniami, rzucanemi znienacka, jak np.: co to jest hrabia? który to przydomek, określenie, czy epitet wyczytał przy kilku nazwiskach na liście pasażerów.

W drugiej klasie jadą sami Niemcy, śpiewają chórem pieśni ojczyste, wychylają niezliczone kufle piwa i grają równie niezliczone partye kręgli, zastosowanych do chwicznej podstawy, na której stoją.

W trzeciej wreszcie klasie mieści się inny świat, nam bliski i znany z *Za chlebem*. Na schodach już uderzają napisy obok niemieckich nie angielskie, ale polskie i hebrajskie... zupełnie jak na Stradomiu. Polskich chłopów płynie tym statkiem bardzo mało, ale płyną ich pobratymcy z Moraw i północnych Węgier. Z rodaków jest tylko Warszawiak, sprytny i rzutki, ale widocznie malkontent, z zawodu stolarz, szukający w Nowym Świecie szczęścia i umieszczenia... w orkiestrze dętych instrumentów.

Tym ludziom nie powodzi się zapewne wyśmienicie, bez wątpienia jednak lepiej, niż za czasów kiedy Sienkiewicz opisywał rozpaczliwe losy Marysi i Wawrzona Topórka z Lipiniec. Zapewne, sypialnie są ciasne, ciemne, jadalno nieszczęśliwe, służba okrętowa, tak przyskoczna na wyższych piętach, tutaj jest opryskliwa i szorstka, jak tylko Niemcy opryskliwymi być umieją; ale wszyscy, nawet młode dziewczęta w kraśnych chustkach wiedzą, dokąd jadą i czego chcą. Wielu z nich spotka się za »wielką wodą« z rozczarowaniem, zawodami, wielu może nie sprosta tamtejszym wymaganiom życiowym, ulegnie w tej straszliwej walce o byt wrzającej na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, lecz nie rzucają się już na oślep omamieni kłamliwymi obietnicami pruskiego czy włoskiego naganiacza, płatnego od głowy, czyli raczej od pary rąk do roboty. Przeciwnie dziwią się temu, co widzą i czego doznają, lecz ten podziw nie przeradza się w kataleptyczne osłupienie, nie odwodzi ich od zamysłów, które wykonywają z chłopską wytrzymałością.

W niedzielę wszyscy ci, którym zdrowie służy, wylegają na wąski, brudny pokład i patrzą na roztocz bliższą nich niż pasażerów pierwszego pomostu, a proste ich dusze wyraźniej odczuwają grozę i wspaniałość prostego widoku.

niż ci spekulanci niemiecko-amerykańscy, których jedynie zajmują porównawcze studia nad kuchnią i »rekordami« szybkości współzawodniczących ze sobą przedsiębiorstw przewozowych. Jakaś harmonijka wygrywa z cicha walce na wieśniaczą nutę i morawscy chłopcy wywijają z słowieni-skimi dziewczynami, popijając piwo i racząc się wódką. Ażeby zaś nie brakło żadnego rodzimego rysu w tej scenie, która i w pierwszej lepszej, naszej karczmie mogłaby się rozgrywać, dwóch pejsatych żydków z pod Dąbrowy przypatruje się uważnie wszystkiemu, zarzuca pytaniami bywalców, oblicza koszty podróży i na przyszłość liczy.

*

I do biblioteki zajrzeć wypada: książki angielskie w wydawnictwie Tauchnitza są w rękę wszystkich, tak, że się o nie doprosić nie można; wśród niemieckich najpo-czestniejsze miejsce zajmuje cały szereg wielotomowych pa-negiryków na cześć Żelaznego kanclerza, jego działalności, czasu, ludzi i t. d., panegiryków już oddawna znanych, a może nawet i znowu zapomnianych. Francuski dział różni się od kolejowej biblioteki stopniem przyzwoitości — belle-trystyka podkasana nie sięga wyżej, jak po koncepty Gypa i (tu przepraszam wszystkich modernistów) po mglisty i wo-dnisty *Ogień* d'Annunzia w tłumaczeniu.

Nieustanne kołysanie okrętu, nie ułatwia zagłębiania się w poważnych dziełach, więc najlepiej może przewerto-wać od niechęcenia starych znajomych, tak, jak się nieraz chętnie słucho sędziwych gadułów, których powiastki są już z góry i od dawna znane. Przygody Tartarina z Tarascon i pomyłki największego zapewne komicznego bohatera świa-towej literatury, Don Quichott'a, — w sam raz nadają się do takiego czytania jednym okiem i połową uwagi. Kiedy oderwiesz zmęczone oczy od książki, na tej równinie »jak stal czarnej i jak stal błękitnej«, otaczającej cię zewsząd, maluje wyobraźnia z pomocą pamięci krajobrazy, wśród któ-

rych francuskie dzieło i hiszpańskie arcydzieło ujrzały światło dzienne: Tarascon, małe provansalskie miasteczko, skąpane w słońcu, odbite w Rodanie, białe, spokojne, a mimo to gwarne, i podupadły, zubożały gród wśród płaskowzgórza Nowej Kastylji, San Juan de Alchazar, z którego wpółrozwalonej bramy prowadzi polna i zapyłona droga do Toboso, odgrywającego tak przeważną i pamiętną rolę w dziejach rycerza o Smutnem Obliczu, do Toboso które, jeżeli co na świecie, przypomina podolskie miesciny. Tak łączą się w wspomnieniach *Dichtung und Wahrheit*: widziane kraje i przeczytane utwory.

Czytanie i rozmyślanie, rozmowy i wywczas na krótko tylko zdołają odebrać przeświadczenie o całej czczości takiego trybu życia; po kilku dniach podróży, oczy wszystkich kierują się uporczywie na zachód, pociągane, jak magnesem tym nowym ładem, który o oznaczonym z góry dniu i godzinie ma się wyłonić z nieprzejrzanych odmętów. Wszyscy śledzą każdy spotkany okręt, wpatrują się uporczywie w miejsce, gdzie plusnęła się większa ryba, pokazują sobie nawzajem delfiny, połyskujące chwilami srebrnoszklistą łuską nad poziom wody.

W przeddzień przyjazdu kapitan zapowiada bal i wprawia tą obietnicą wszystkie *miss* w upojenie, niemal w szal radosny, ale pogoda sprzeciwia się tanecznym zamiarom. — Mgła przesłania widnokrąg i coraz ciasniejszym kołem otacza statek, który miarowem porykiwaniem syreny daje o sobie znać niewidzialnym załogom innych parowców. Ten przeraźliwy sygnał zamienia wesoły nastrój w nieokreślony przestrach, i grozę; daremnie uspokaja stary kapitan i wytrawniejsi podróżni niespokojne panie, że mgła jest rzadka, a co minutę powtarzający się ryk syreny jedynie zbytkiem ostrożności, że w najgorszym razie »Fürst Bismarck« ma tyle a tyle tysięcy tonn pojemności i chyżość 22 węzłów na godzinę, że zatem w razie zderzenia się z innym statkiem on prawdopodobnie przeciwnika przemoże, przetnie go, jak

ćwiartkę papieru i popłynię dalej... nieuszkodzony — to ostatnie rozumowanie najmniej trafia do przekonania wylęknionych; schodzą prawie wszyscy do kajut z mocnem postanowieniem nierozbierania się na noc, jak gdyby w razie rozbicia się okrętu mogło to stanowić różnicę, czy kto w sukni lub bez sukni będzie oczekiwał dalszych wypadków.

Tymczasem późnym wieczorem mgła się rozsunęła, jak babie lato zerwane wiatrem, księżyc wychylił swój sierp, a raczej już półtarczy z lisiej czapki i przemienił rzeczywistość w »sen ze srebra i kryształu« w jakies marzenie z »Przedświtu« — napełnił czarę wrażeń nektarem po brzegi.

Miesięczne promienie padały świetlnymi kręgi na chwiejne fale niby obrączkowe dukaty dorzucane przez czarodzieja, do zaklętego skarbu na dnie morskiej głębi, lśniły się i kołowały przez chwilę na ruchomej i śliskiej wód przestrzeni i pograżały raz po raz w ciemnej otchłani. Ocean, rozpierany łabędzią szyją okrętu, ubierał jego boki w smugę piany, jak w koronkową kryzę iskrzącą się tu i owdzie, jak klejnotem różnobarwnym połyskiem rozszczepianych w świetle wodnych kropel. Rzekłbyś, że statek wpłynął na tęczę, która w tę noc cichą, letnią, pogodną, prawdziwie ambrozyjską, obsunęła się z nieba na morską roztocz. Ale ta tęcza nie rozplýwała się w chmurach, tylko płonęła i płynęła migotliwie przed nami. Czerwone złote, sypały się zaś coraz szcudrzej z górnych błękitów wysadzanych gwiazdami, jak uryańskimi perły. Wreszcie miesiąc zniżył się na nieboskłonie tak, że już nie złote monety, ale nieć złotogłowiu rzucił na cicho lśniące fale. Ta nieć urosła niebawem w taśmę, potem w pas lity, wreszcie w świetlisty szlak, w blaskami usianą, rozjaśnioną drogę tryumfalną, którą nasz statek dopływał do nowego świata.

Kto podobnej nocy na pokładzie okrętowym nie spędził, nie pojmie i pojąć nie zdoła, ile barw i połysków, cieni i odcieni składa się na takie widowisko i jakiego uroku dodaje tym obrazom zupełna, a jednak nie głucha, ani zło-

wroga cisza, w której uśpione są odmęty i wszystko co w nich żyje lub się na nich unosi.

I tak, nie rudobrody kapitan, ale Bożej ręce uległa przyroda wyprawiła bal, na którym myśli, marzenia, uczucia płaśały i wirowały do świtu w szalonych splotach.

NEW JORK.

Zdźbła trawy, pnie rosochate i z grubsza ociosane tramy zwiastowały niegdyś — jak gołębnica Noemu — pierwszym żeglarzom zbawcze poblizę lądu. Po czterystu z górą latami tę samą ziemię oznajmniają inne zwiastuny; skorupy jaj, skórki pomarańcz, wióra, papier, trzaski, szczątki skrzyń i czerepy butelek — istny śmietnik unoszony na falach pojawia się, zanim najbystrzejsze oko zdoła rozróżnić sine wzgórza Staten-Islands i szaromglisty *Sandy Hook*.

Czystość, oznaka zewnętrzna cywilizacji, przedmiot chluby, nieraz przesadnej, jednostek jak i zbiorowych organizmów, jest pojęciem względnym. Gdziekolwiek osiedlają się ludzie, odgraniczają się od dziewiczej przyrody wałem... nagromadzonych śmieci. Utylitarne nasze czasy wpołyły w nas najgłębszą odrazę do niekształtnych, a rzadko, niestety, bezwonných odpadków, głównie dlatego, że są nieużytkami.

Daleką jest odemnie myśl paradoksalnych apologij, pochwały miłego nieporządku, ale poznawszy już tyle miast i krajów, na widok zawsze tych samych nieestetycznych pierwszych planów od morza, czy od lądu, nie mogę oprzeć się przekonaniu, że ów sługa z komedji, określający czynność czyszczenia i porządkowania — cel jego życia — jako proste przenoszenie brudu z miejsca na miejsce, wypowiedział śmiało tę głęboką prawdę, tem śmielszą i głębszą, im w zastosowaniu niebezpieczniejszą... To, co na Broadway byłoby potwarczem, jest tu nieuniknionem i na miejscu.

Na widnokręgu majaczej zarysy pagórków, pojawiają się coraz liczniejsze statki, dalej wylania się z fal szara listwa stałego lądu, a na nim latarnia morska i gmachy straży celnej. Na strzał armatni, oznajmujący nasze przybycie, pomykają ku nam łódki poborców, niby czajki piratów. Jaki taki przygotowuje okup lub sięga po list żelazny dla uchronienia się przed rozbojem legalnym. Stosy dzienników z całego przeszłego tygodnia wrywa sobie nawzajem tłum podróżnych, spragnionych wiadomości.

Bezkresny przestwór oceanu maleje niepostrzeżenie do rozmiarów zatoki, zagłębienia, wreszcie portu. Na tle idyllicznych wzgórz należących do Vanderbildtów, a nęcących oczy zielonością gajów, łąk, murawy, rozgrodzonej sieciami lawn tenisa, odcina się ciężki, olbrzymi posąg Wolności, oświecającej świat pochodnią we wzniesionej dłoni. Maleńka wysepka zda się z trudnością dźwigać ten ogrom z granitu i spiżu — jest to dar francuskiej Rzeczypospolitej dla swej zaatlantycznej siostry, a zarazem jeden z rzadkich pomników francuskiego złego smaku na obczyźnie; ubóstwo pomysłu wpada w oczy i jest w rażącej sprzeczności z nadmiarem materii.

Największy most na świecie, łączący New-Jork z Brooklyn'em, staje się z kolei przedmiotem ogólnego podziwu, pytań i odpowiedzi, odnoszących się, jak zwykle w Ameryce, do jego rozmiarów, wagi i przedewszystkiem obecnej wartości pieniężnej, oraz kosztów budowy. Wreszcie z dwóch stron wybrzeży dokładnie widać już niebotyczne kamienice, złożone kopuły nie kościołów, ale bankowych i redakcyjnych gmachów. — »Fürst Bismarck« zwalnia biegu, świszcze, staje, zarzuca kotwicę.

Pierwszem wrażeniem wolności nieograniczonej, jest przymus. Żadna komora celna nie cieszy się względami publiczności, a poborcy już za czasów ewangelicznych byli przedmiotem powszechnej niechęci i odrazy, nawet nienawiści; lecz u progu wolnego kontynentu, rewizya przekracza

już wszelką miarę najbardziej wypróbowanej cierpliwości, trwa nieraz godzinami i do rozpacz doprowadzić może. Najprzewrotniejsze książki, pisma ulotne, ryciny głoszące śmierć władcom, a zagładę bogaczom, przechodzą bezkarnie pod pobłażliwem okiem urzędników — tak każe wolność; ale łokieć koronki, lub nowe angielskie obuwie musi opłacać się wyżej istotnej wartości a biada temu, kto się chce uchylić przepisom, tem dla kieszeni groźniejszym, że nie więcej znanym ogółowi, jak talmud rabinów — tego domaga się interes państwowy.

Jak u wrót Petersburga za Mikołajowskich czasów: »trzęsą, badają, pytają« — wpuszczają; z Hoboken, gdzie się zatrzymał statek, trzeba na promie parowym przebyć Northern River i wreszcie staje się w Nowym - Jorku.

* * *

Zanim przybysz z Europy zdoła rozejrzeć się, nadstawić zmysł spostrzegawczy, niby błyskawiczny aparat, na nowe widoki i świeże wrażenia, musi przedewszystkiem oswoić się z hukiem, tententem, turkotem, zgrzytem, świstem, z piekielnym hałasem amerykańskich środków komunikacyjnych. Pociągi przelatują górą, krzyżują się w powietrzu, na rozmaitych wysokościach, na ulicy tramwaje elektryczne i parowe, omnibusy, automobile poruszane naftą, czy spirytusem, ładowne wozy ciągnięte przez olbrzymie stępaki i cab'y, zaprzężone w ścigłe konie, wychowane na pastwiskach dalekiego zachodu, mijają się, spotykają, czasami zagradzają drogę. Wśród takiego zgiełku można i trzeba patrzeć wokół siebie, ale zapatrzyć się nie wolno pod grozą dostania się pod koła jednego z tych tysiacych wehikułów.

Ze szczytu kopuły gmachu, należącego wraz z redakcją i administracją *Worldu* do węgierskiego żyda Mr. Colitzera, obejmuje się wzrokiem szeroki widok aż po Brooklyn, sąsiadujący i zrosnięty z Nowym Jorkiem, jak Buda z Pesztem, i widzi się wszędzie, jak tylko okiem za-



Z ulic Nowego Yorku: drapacze nieba.

sięgnąć, ten sam gorączkowy ruch, tę samą ciżbę, poruszającą się we wszystkich kierunkach, a nadto port, zatokę, skrawek oceanu, rzeki: północną i zachodnią, zasiane łódkami, okrętami, galarami i t. d., w usługach tej powszechnej i nieustannej ruchliwości i pracy — istne ludzkie mrowisko, rosnące z dniem każdym, dzięki zapobiegliwości swych mieszkańców.

W milionowem mieście, które jednak nie jest nawet stolicą stanu ¹⁾, nie masz, jak po miastach europejskich gmachów, ani pomników, zespolonych z jego dziejami, wcielających niejako w siebie jego przeszłość, żyjących jego życiem. Każdy budynek służy do pewnego użytku; żaden nie przedstawia, nie przypomina minionych czasów i umarłych pokoleń, żaden nie jest pamiątką i niczem więcej, jak np. nasz krakowski Rondel. Nawet kościół nie zdołał wyzuć się z powszechnej, utylitarnej cechy: jest jedynie domem przeznaczonym do służby i chwały Bożej, postawionym w tym celu i celowi temu wyłącznie odpowiadającym. Taki kościół można zwiedzić i można się w nim pomodlić — niepodobna w nim się zadumać. Na zewnątrz obrośnięty on nieraz bywa bluszczem i powojem, ale przenigdy nie pną się po jego łukach pobożne marzenia, rozkwitające w mistyczne legendy; żadne »fioretti« nie umają nagich sklepień — oto wrażenie, jakiego się doznaje, przestąpiwszy próg obszernej, okazałej, okazałej nawet katedry katolickiej na *Fifth Avenue* w pobliżu pałaców najbogatszych rodzin.

Pobudką do tej budowy musiała być nie gorąca potrzeba serca, zachwyt rwący się do nieba, ale stanowcze przekonanie, niezające »słowa i czynu rozdziału«.

W Nowym Jorku nie człowiek tchnął coś ze swej duszy nieśmiertelnej w mury i kamienie, z którymi zrósł się od wieków, ale przeciwnie, on zdaje się ulegać wpływowi tych nowych fabryk i handlowo - przemysłowych urzą-

¹⁾ Jest nią miasteczko Albany, liczące zaledwie... 100.000 mieszkańców.

dzeń, które władają miastem niepodzielnie. — W wygolonych, przemęczonych twarzach, spotykanych co krok na ulicy, dostrzedz można jakieś sztuczne podniecenie, jakieś napięcie, nieustanne wyęteżenie nerwów i mięśni, ciągły wysiłek; życie nie kształtuje się na spokojnych wzorach przyrody, ale toczy się gorączkowo przyspieszonym tempem, jak rozpedowe koło walcowni albo przędzalni. — Wieczorem, kiedy zapalają się lampy i poczynają migotać gwiazdy, spieszy spracowany tłum na zabawy i rozrywki, przechadza się, przygląda się nawzajem, oraz widowiskom, służącym handlowej reklamie.

Na ścianach domów, na wieżach, kopułach lub niewidzialnych drutach, rozpiętych w powietrzu, zapalają się co chwila i gasną różnobarne napisy, zalecające mydła, dzienniki, maszyny — wszystko, co »przedać za grosz, za grosz kupić można« i zdają się na kształt tajemniczej ręki w pałacu Baltazara ogłaszać światu płomiennymi zgłoskami złowrogie: *Mane Thekel Fares* dzisiejszej cywilizacji.

Wszystko już dziś przeliczone, wszystko zważone, a bodaj że »znalezione mniej mającem«, według słów Pisma św.; kto wie, czy chwila rozdzielenia i upadku tego, co stanowi chlubę i dumę współczesnych ludzi, nie jest bliższą, niż przypuszczać można!

Kiedy późną nocą światła pogasną, tłumy się rozejdą, ogólny ruch pojazdów ustanie i tylko zapóźnione tramwaje pędzą przez wyludniony Broadway, świecąc żółtymi latarniami i błękitnym płomykiem w górze, gdzie krzyżują się druty, kiedy względna cisza i ciemność obejmie na kilka godzin miasto w posiadanie, wówczas warto jeszcze przystanąć przed szklaną fasadą pałacu, gdzie się mieści *New-York Herald*. Z pod dwunastu pras, rzędem ustawionych, wysuwają się zadrukowane olbrzymie arkusze. Poprostu masz wrażenie, że stanąłeś przed wodospadem, że ten biały papier jest płynny, jak woda, i że wytryska z niewyczerpalnego źródła.

Na dole chwytają robotnicy ten szeleszczący potok, rozprowadzają go w koryta, z nieźrównaną wprawą wyławiają zeń raz po raz gotowy numer dziennika, który o świetle rozejdzie się pociągami i na statkach na wsze strony świata.

Kto chce zapoznać się naprawdę, choćby pobieżnie z istotnie amerykańskimi właściwościami Nowego Jorku niechaj nie traci czasu na Broadway, ani nie kusi się o zwiedzanie pałaców na Fifth Avenue. Broadway właściwie nie różni się zbytnio, chyba długością, od Kärnthnerstrasse albo rue Faubourg St. Honoré, jak tamte jest handlową arterią. Słynna zaś ulica miliarderów przypomina znowu także ulice w eleganckich dzielnicach europejskich miast, bez względu czy sąsiadują z Praterem czy też z Bois de Boulogne. Same zaś pałace, najczęściej o 3 oknach fasady, są zapewne kosztowne i zbytkowne, nie mogą jednak iść w paragon, nie z włoskimi już, ale nawet z wiedeńskimi siedzibami arystokratycznych rodów. Osobliwości trzeba szukać gdzieś indziej.

Do tych zaliczyć wypada muzeum. W parku centralnym, wąskim a długim, gdzie na ziemi przywiezionej z Kalifornii rosną wspaniałe drzewa i krzewy, po drogach równych i gładkich jak bilardowe stoły jeżdżą czwórki amerykańskich rysaków tak odmiennych budową od koni, do których przywykliśmy w Europie — wznosi się gmach nie odznaczający się rozmiarami ni kształtem; w nim nagromadzono t. zw. skarby sztuki.

Na dole sale wyglądają raczej jak skład handlarza dzieł sztuki, niż jak wystawa pomników pędzla i dłuta — mimowoli przychodzi na pamięć znana w Rzymie antykwarnia, mieszcząca się w pałacu Borghese. Kopie z marmuru, odlewy w gipsie i bronzie tłoczą się obok siebie bez uwzględnienia czasów, szkół i artystycznych kierunków. Dyana oparta na jeleniu Jana Goujon zerka zalotnie na Mojżesza Michała Anioła, Aniołki Luca della Robbia dziwią się

na widok pięknej Pauliny, siostry Napoleona I, Fidyaszowy fryz z Partenonu sąsiaduje z gotyckimi dziełami norymberskich snycerzy; elektyzm przeradza się tu w *bric-à-brac*. Kustoszo­m tych zbiorów chodziło najwidoczniej o całokształt artystycznej twórczości świata i kierowali się zasadą, że gdzie oryginału kupić nie można, trzeba zadowolnić się kopią.

Na pierwszym piętrze wiszą obrazy. Jedno z arcydzieł Meissoniera: »Rok 1807« zajmuje najpoczetniejsze miejsce. Wielki cesarz, traktowany nazbyt może realistycznie, tłusty, nalany, o jasno-płowych włosach, nie odpowiada wyobraźni kształconej na malowanej, pisanej, a u nas żywej jeszcze, ustnej legendzie, ale ci dragoni, którzy cwałują, tratując pszeniczne pola, krzycząc, trąbiąc, wywijając pałaszami na na cześć owego »męża, boga wojny«, są wszyscy razem i każdy z osobna arcydziełem bez zastrzeżeń i w każdym kwadratowym calu niewielkiego zresztą płótna. Na przeciwległej ścianie wygląda ze złoconych ram i z pod czarnej koronkowej mantylli para takich oczu, jakie tylko Fortuni umiał malować. Jest uciechą prawdziwą spotkać się po długiej rozłące z dziełami tego wielkiego, bardzo wielkiego artysty; »bitwa pod Tetuanem«, »el Marquesito« i »Odaliska z Barcelony« powracają w okamgnieniu na pamięć, a ta pani w czarnej sukni, tak prosta i tak wytworna, która pewnie za życia za pieniędzmi nie goniła, wydaje się, nawet na malowidle, osamotnioną w amerykańskim muzeum, wśród nienawistnych Yankesów, przewieziona tam ze słonecznej Andaluzji za cenę kilku, czy kilkunastu tysięcy dolarów. Reszta obrazów jest z tego rodzaju, które się widzi, czasem i ocenia, ale straciwszy je z oczu — zapomina, na zawsze.

Na drzwiach dalszych sal wypisane są nazwiska ofiarodawców. Tam mieszczą się najcenniejsze płótna, bo w Ameryce stać nieraz bogacza na kupno małego infanta Velasquez'a, obrazu Rembrandta i Holbeina, ale ani państwo, ani miasto na takie zbytki pozwolić sobie nie może. W tych prywatnych zbiorach widać angielski smak amerykańskich

nabywców; prym wśród nich trzymają portrety angielskich mistrzów, oraz ci z cudzoziemców, którzy w Anglii cieszą się największem wzięciem. Polityczne niechęci i handlowe współzawodnictwa nie mogą przemódz plemiennej łączności, duchowego i rasowego pokrewieństwa.

Śliczna dziewczynka Gainsborougha, nadobne panie i urocze panny Lawrence'a, Reynolds'a i innych, świeże, gibkie, jasnowłose, na tle zieleni angielskich gajów i murawy, niby nimfy, świadczą, ile powabu i arystokratycznego wdzięku rozkwitało na starej ziemi Albionu, wówczas, kiedy purytanie i metodyści, osiedli w Ameryce, których potomkowie dorównują, jeżeli nie przodują pobratymcom zjednoczonego królestwa, byli *outlaws*, a co najmniej — pod każdym względem *outsiders*. Na ten szereg piękności spogląda z przeciwległej ściany wielki znawca i czciciel kobiet, najpoetyczniejszy z monarchów W. Brytanii po Ryszardzie Lwim Sercu — Karol I.

Portret naturalnej wielkości, różny fakturą od znanych malowideł Van Dyck'a, oddaje tak, jak dzieła wielkiego Flamańda, męski wdzięk i nieporównaną wytworność tego władcy; tragiczna jego śmierć zdaje się *anticipando* podwajać blask majestatu korony.

Na resztę sal nie starczyło widocznie obrazów — na próżno allegoryczno-historyczny obraz Brożika rozciąga się sam jeden na całej ścianie. Zbiór instrumentów muzycznych od czasów chyba biblijnego Jubala po dziś dzień, mieści się w osobnem skrzydle i wabi ku sobie jedynie tylko specjalistów. Przystępniejsze i dla ogółu zrozumialsze są wspaniałe okazy chińskiej i japońskiej porcelany, oraz ozdobne, renesansowe sprzęty, zbroje i stroje. Muzeum najwidoczniej bywa mało zwiedzane; snąc Amerykanie, zapełniający tłumnie europejskie galerye, nie mają czasu, a może i ochoty na poznanie się z tem, co im najbliższe.

Całość robi wrażenie dorywcze; zawdzięcza ona swój byt nie zamiłowaniu piękna całych pokoleń o wyrobionym

smaku, ale chęci naśladownictwa, narodowej próżności, a zarazem ofiarności jednostek, darowujących ogółowi to, co najcenniejsze. Wobec powszechnego zwyczaju oceniania wszystkiego, ludzi i rzeczy, w brzęczącej monecie, zwiedzający szuka mimowoli na ramach obrazów, obok nazwy, daty i nazwiska autora — cyfry dolarów, wydanej na ich zakupno.

* * *

O zmierzchu, kiedy całe miasto kipi ruchem, jarzy się światłami, elektryczny tramwaj wiezie nas chyżo do ubogich dzielnic na przedmieściach. Znikają cylindry i ekwipaże, przerzedzają się lampy żarowe i zgiełk przycicha lub wyradza się w karczemne kłótnie. Po półgodzinnej jeździe stajemy wśród innych ludzi, odmiennych strojów, nieznanymi obyczajów, nowego trybu życia. Czy jaka czarodziejska władza przeniosła nas ponad lądy i morza na daleki Wschód? Małe chuderlawe postacie w niebieskich, drelichowych bluzach, okrągłe czarne kapelusze, skośne oczy, spłaszczone twarze, długie warkocze z włosów, do włosienia podobnych — wszak to znajomi z herbacianych puszek, prawdziwi, dotykalni Chińczycy. — Europejczycy i rodowici Amerykanie, napracowawszy się cały dzień, zamknęli sklepy, fabryki, warsztaty, biura, spoczywają lub zabawiają się, jak chcą i mogą. — Chińczyk nie zna spoczynku. W małych pokojach, w suterrenach, pod klatką schodową, uwijają się w milczeniu ci dziwni ludzie, szyją, piorą, prasują, naprawiają obówie, ważą, zawijają w papier, sprzedają cukier, mąkę itp. Żaden hałas na ulicy, żadna bójka, ani strzał rewolwerowy w głębi jakiego bar'u nie odrywa ich od zwykłych zajęć, ani zdoła odwieść ich bodaj na mgnienie oka od przewodniej myśli zarobienia znaczniejszej kwoty i powrotu, za życia albo w trumnie do ojczyzny. Oddani kobiecym głównie zawodom, pracują z wytrwałością, która nawet w Ameryce wzbudza podziw. Białym schodzą z drogi, nie zawierają z nimi innych, oprócz handlowych, stosunków; ponętne w naszym życiu

i cywilizacyi nie wydaje im się nic, prócz białej kobiety, choćby takiej, która przystaje u rogu każdej ulicy i z za węgła wabi oczyma.

Jedno z niezliczonych stowarzyszeń biblijnych Nowego Jorku urządziło dla tych obywateli niebieskiego państwa wieczorne odczyty. W niskiej, obszernej sali o drzwiach szeroko otwartych na ulicę postawiono rzędy stołków i najprostszą estradę, na której łysy jegomość czyta przy migotliwym świetle gazowej lampy, rozdział z Księgi Mądrości, jednostajnym nosowym głosem. Atmosfera jak w łaźni parowej; w rzędach siedzą nieruchomi Chińczycy — nie rozumieją nic, nie drzemią, nie rozglądają się, ani szepcą — wszyscy pogrążyli się w zamyśleniu, którego treści nie odgadnie nikt z rysów, nie odzwierciedlających żadnego wrażenia.

Yankes tak różny od nas usposobieniem, trybem życia i sposobem myślenia, wydaje się rodzonym bratem w porównaniu z tymi poddanymi »syna nieba«, którzy są i pozostają żyjącą zagadką nietylko dla tego, co ich widzi pierwszy raz, ale pono i dla tych, co dziesiątki lat wśród nich spędzili.

Z salą pobożnych odczytów sąsiaduje chiński teatr. Takie samo w nim urządzenie wewnętrzne, taka sama publiczność, ta sama atmosfera blisko 100^o Fahrenheita, lecz zamiast łysiego jegomościa i biblii, na scenie ustawionej kątem w rogu, poruszają się i rozprawiają dyszkantem artyści ubrani w długie, fałdzone szaty, w spiczastych kapeluszach, jakich używają u nas tylko błazni cyrkowi i doktorzy z Molierowskich fars.

O rozumieniu niema mowy; nawet tłumacz, długoletni mieszkaniec Chin i wytrawny znawca tamtejszych obyczajów oraz języka, nie może sobie zdać sprawy, choćby pobieżnie, z treści dyalogów, nie umie objaśnić, dlaczego jeden z protagonistów unosi się gniewem, a drugi oddaje czarnej rozpacz. Za to żółtoskórzy widzowie nie spuszczaają skośnych swych oczu ze sceny, ale znowu niepodobna odgadnąć z ich oblicza ni postawy, czy dyrekcya wystawiła farsę, czy też tragedję, i czy gra aktorów zadawalnia publiczność. Co

prawda, do końca jeszcze daleko. Sztuka zaczęła się przed trzema dniami, a potrwa jeszcze co najmniej tyle drugie, chociaż przedstawienie trwa co wieczora po kilka godzin. Podziwu godną jest pamięć artystów obywających się w tych warunkach bez suflera, chyba, że ukrywa się on nie w budce, ale za jednym z tych parawanów, które służą za dekoracye. Mimo najwyższego zajęcia sceniczną sztuką dalekiego Wschodu, nie podobna wytrzymać dłużej nad kwadrans wśród łaźnianej atmosfery, zwłaszcza, że niema widowisków wniknięcia w treść utworu, ani ocenienia wszystkich subtelności aktorskiego kunsztu.

Zachodzimy z kolei do chińskiej restauracji na Pell Street. Ryż, jasno-żółta herbata, jak rumianek, w maleńkich filiżankach, kilkanaście potraw na talerzykach, podobnych do tych, które u nas dziesięcioletnim dziewczynkom służą do zabawy, kościane pałeczki, zamiast sztucców, papierowe serwety w zygzaki, znane są powszechnie przynajmniej z opisów i rycin i ku przykrości Mr. Fischera, uprzejmego naszego cicerona, nie wzbudzają naszego zajęcia. Od zastawy ciekawsi są stołownicy, schodzący się około północy, zasiadający koło małych stolików po trzech, czy czterech, żeby uraczyć się narodowymi potrawami. Ci wyrobniacy cisi, pracowici i wstrzemięźliwi nie szczędzą jednak wydatków, żeby uprzytomnić sobie ojczyste strony, jeżeli nie oczyma, to podniebieniem.

W sztuce odtwarzania sobie tego, czego zmysłami objąć niepodobna są oni zresztą nieprześcignieni za pomocą... opium.

W kamienicy leżącej opodal mieści się klub, gdzie oddają się narodowej namiętności. Nie łatwo go zwiedzić, bo amerykańska policja zabrania palenia tego narkotyku głównie z obawy, żeby zabójczy obyczaj nie zaszczerpił się wśród białej ludności. Chińczycy mają się więc na baczności i niechętnie i z niedowierzaniem uchylają drzwi małej izdebki na piątym czy szóstym piętrze. Tam na smugach błękitnego dymu unosi się sztuczny i znikomy raj marzycieli.

Na pierwszy rzut oka sądzisz, że przestąpiłeś próg jakiejś kaplicy domowej, poświęconej Buddzie. Rzeźbiony z drzewa ołtarz przybrany w papierowe kwiaty, zastawiony kadzidłem oraz przyborami niewiadomego użytku stoi w środku pokoju. Drewniany również posąg największego apostoła nicestwa i nicości wykrzywia twarz w przykrym, ironicznym uśmiechu, tak różnym od smętnej i raczej szlachetnej zadumy, malującej się na jego podobiznach indyjskiego dłota.

Pod oknem na słomianych plecionkach leżą w półmroku czciciele i wyznawcy Buddy w tym samym zawsze niebieskim drelichu, czarnych pilśniowych kapeluszach i sandałach; w rękę trzymają coś nakształt fletu. Ten flet jest właśnie fajką do palenia opium. Drogocenny, przemycany i ukradkiem kupowany towar, zwinięty w kulkę, nabija się długą szpilką w maleńki otwór i po zapaleniu pociąga dym zaledwie kilka razy. Powtarza się ten proceder póty, póki z odretwieniem nie przychodzi chwila rozmarzenia.

Wówczas utęsknią duszę tych ludzi, tak głęboko nieszczęśliwych po za obrębem własnej ojczyzny, przenosi do rodzinnych stron, nie poetyczna wyobraźnia, ale czarodziejska niemal moc osobliwego dymu, zakuwającego równocześnie ciało w kajdany niemocy i rozwiązującego pęta duszy, uwolnionej poniekąd z cielesnej uwięzi.

I na widok postaci pogrążonych w śnie a zarazem, jak twierdzą po przebudzeniu, przeniesionych w nieznaną a niewysłowioną dziedzinę, nasuwa się myśl, że ci ludzie, których tak trudno uznać nam za bliźnich, wzbudzający w nas najczęściej zajęcie podobne do tego chyba, jakiego doznajemy na widok zoologicznych okazów, albo też pobudzający nas do śmiechu — tak jak my cierpią, kochają i tęsknią, a jeżeli oddają się zakazanym a morderczym rozkoszom, to na to, żeby na swój sposób

I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Kto poważy się cisnąć na te uśpione głowy kamieniem (pogardy i bezwzględne potępienia)?

* * *

Widuje się za naszych czasów na scenach po tej i tamtej stronie Atlantyku sztuki, które krytyka określa jako *tranches de vie*. Te ćwiartki życia, tak odmienne od staroświeckiej *Ćwiartki papieru*, są z góry i z umysłu pozabawione układu, zdają się raczej fotograficznem zdjęciem, niż obrazowem odtworzeniem rzeczywistości, a to życie, które przedstawiają, drga kurczowo, jak w wiwisekcyjnym preparacie, i choć prawdziwe, przybiera pozory nieprawdopodobieństwa.

Jeżeli można kilkumilionowe miasto do dramatycznego utworu porównać, Nowy Jork wywołuje podobne wrażenie. Napróżno szukać w tym żywym i tak żywotnym organizmie organicznych zarysów, środowiska i jądra, napróżno przykładać europejską miarę do badania jego powstania, bytu i rozwoju. Nawet spójnia, łącząca w całość komórki, ulegające na pozór tak silnie odśrodkowym siłom, nie jest widoczna, ani zrozumiała. Z półtrzecia miliona mieszkańców trzeciego miasta na kuli ziemskiej pod względem zaludnienia, nie masz, zdawaćby się mogło, ani jednego, który byłby gotów dzielić każdą jego dolę i niedolę, tam i tylko tam żyć i umierać. Wszyscy sprawiają wrażenie przejezdnych, prześiadujących tam chwilowo, nie zaś osiadłych.

Wśród takich warunków, bez fundamentu przywiązania i sercowych tradycji, nie ostałaby się w Starym Świecie ani najlichsza wieś; w Ameryce rośnie i rozwija się olbrzymia stolica. Na wyjeźdnem łamie sobie Europejczyk głowę nad tą zagadką.

W miarę zaś oddalenia, obraz mąci się, zaciera, rozkłada. Wspomnienia, nie mając o co się zaczepić, ani na czem spocząć, nie snują się nakształt nici, które pamięć na krosnach przerabia, a wyobraźnia nieraz sztucznie przy-



Buffalo. La Fayette Square.

straja, ale rwą się jak pajęczyna w babie lato. I Nowy Jork przedstawia się przed widzeniem, jak i po widzeniu w ten sam niemal sposób: jako ogrom o niewyraźnych zamglonych kształtach, czyli — jako potwór.

BUFFALO - NIAGARA.

Najszybszym na świecie pociągiem jedzie się z Nowego Jorku do Buffalo. Z samego środka miasta, o kilka kroków od *Fifth Avenue*, wyrusza się od razu całą siłą pary; po



Buffalo. Ratusz.

kwadransie jazdy domy i ulice nikną po obu stronach toru i urocza okolica, pełna ogrodów, wysadzanych dróg, pałaców i pałacyków, wyglądających z zieleni drzew, krzewów i murawy, rozciąga się nad brzegiem Hudson River. Rzeka unosi lekko i łatwo całą flotyllę łódek, niewielkich okręci-ków uwiązanych u brzegów albo płynących z prądem.

Z całego krajobrazu, jak to bywa w pobliżu wielkich miast zwłaszcza angielskich, tchnie jakaś atmosfera stroj-

nego rozbawienia, majówki, nieustannych wakacyj.



Buffalo. Katedra św. Pawła.

Widoki owe ciągną się niezmiennie, póki pociąg biegnąc wzdłuż wody, pochyła się nad nią jakby dla pochwycenia równowagi, wówczas kiedy zakreśla najśmielsze — według naszych pojęć wprost karkołomne — łuki bez zwalniania biegu. Dalej widać »farmy«, niewielkie gospodarstwa takie, jakie u nas miewają za-możni włościanie. Po przez stacje: London, Roma, Uti-ca, Syracuse, Lyons i t. d. istną maszkaradę miejsco-

wości, dojeżdża się po dwunastogodzinnej szalonej jeździe do Buffalo.

Po Nowym Jorku wydaje się cichą prowincjonalną miściną, liczy jednak 400.000 z górą mieszkańców i wre tem samym gorączkowym życiem, które jest znamieniem całej północnej połaci Stanów Zjednoczonych.

Kiedy w niedzielę pytasz o kościół, usłużny przewodnik wymienia ich w lot ze dwa tuziny wszelkich wyznań, wliczając w to i synagogi; zrozumiawszy jednak, że tym razem

chodzi nie o zwiedzanie, lecz o nabożeństwo, wskazuje drogę do katedry pod wezwaniem św. Pawła.

Świątynia obszerna, okazała, w nowogotyckim stylu zapelnia się pobożnym tłumem.

Nie masz oczywiście tego bruku głów, który się stale — nie wspominam tu wyjątkowych okoliczności — tylko w Polsce widuje, ale wszystkie miejsca w ławkach zajęte i wiele osób stać jeszcze musi.

Kto się spodziewa, że amerykańska szybkość przedostała się do służby Bożej, tego czeka zawód. Żadna suma w ustronnej parafii na Mazurach lub nawet na Rusi nie trwa dłużej od nabożeństwa w Buffalo. Prócz w Rzymie i Wiedniu nie zdarzyło się niżej podpisanemu nigdzie słyszeć piękniejszego głosu księdza odprawiającego Mszę św. Liturgiczne świece woskowe płoną, jak u nas, w srebrnych lichtarzach, ale po odśpiewaniu prefacy zapalają się

lampki żarowe, ułożone w rysunek przedstawiający pobożne godła i gorzą, aż do kapłańskiej komunii. Mszę św., jak u nas, przerywa kazanie; wszystkie ławki na zawiasach obracają się tyłem do wielkiego ołtarza i zwracają do kazalnicy, gdzie pojawia się w komży i birecie postać o wyrazie twarzy energicznym, niemal zawziętym i wyzywającym, o rysach ostro zakreślonych, bezsprzecznie amerykańskich.

Przed właściwem kazaniem przemawia do wiernych, wzywając ich do licznego obesłania nowo otwartej katolickiej



Buffalo. Kościół św. Jana Chrzciciela w ulicy Delaware.

szkoly. Trudno go zrozumieć, bo mówi silnie zaznaczonym amerykańskim akcentem, ale w głosie między dwiema przemowami, wygłoszonymi raz po raz z tego samego miejsca, czuć ogromną różnicę. W pierwszej części, to mowca ze zgromadzeń ludowych ostry, cięty, walczący sarkazmem i siłą



Buffalo. Katedra protestancka.

przekonania — w drugiej, kapłan głoszący z namaszczeniem Dobrą Nowinę. Podczas nabożeństwa odbywa się kwesta, nie na »światło« tylko, ale na utrzymanie kościoła i duchowieństwa nie pobierającego, jak wiadomo, rządowych pensyj. Zbieranie dobrowolnych datków niczem nie przypomina pobożnej zebrany, znanej nam z rodzinnych stron. Młody kleryk nie zbliża się trwożliwie, jak nasz dziad kościelny, nie potrząsa puszką, nie szepce »na odnowienie wielkiego ołtarza«, lub »na sprawienie nowych organów co łaska« — i za każdego »miedziaka« nie dziękuje

wstydliwem »Bóg zapłać«. Przeciwnie, poczyną sobie... jak poborca podatkowy. Kto chce uczestniczyć w nabożeństwie, musi przyczynić się do opłacenia kosztów, które najświętsze czynności za sobą pociągają. To też wysoka skrzynka, osadzona na długim drążku — podobna do grabi krupierów w domach gry — przesuwana wzdłuż ławek i nikt nie wybiera chwili, w której ma ją przed sobą, do pilnego

wertowania książki do nabożeństwa, ani się nie pogrąża w rozmodleniu. Wszyscy bez wyjątku składają datki, drobne zazwyczaj; w chwili, kiedy skarbona zatrzymała się przedemną, widniała wśród zdawkowej monety jedna tylko sztuka złota.

Powszechność — jedno ze znamion naszej religii — bije doprawdy w oczy w tem amerykańskiem mieście, tak różnem od naszych. Nietylko Msza św. odprawia się w ten sam sposób, jak u nas, ale i publiczność zebrana tam na sumę i w ławkach u Panny Maryi wydawałaby się u siebie. Te różańce, książki o wykręconych rogach, spłowiełe parasolki, staroświeckie kapelusze i roje wystrojonych odświętnie dzieci, nie mogących w miejscu usiedzieć, białe brody i łysininy starców widuje się wszędzie, gdzie tylko katolicki Kościół otwiera na oścież swe podwoje.

* * *

W niedzielę co pół godziny idą pociągi z Buffalo do wodospadów Niagary. Jazda trwa około 40 minut; długie amerykańskie wagony systemu Pullmana zapełnione są, a najczęściej przepełnione, osobami wszelkiej płci i wieku w niedzielnych strojach i humorach. Póki Niemcy, stanowiący dziś już w Chicago i okolicznych stanach bardzo poważną mniejszość, nie zdołają w prawodawczych ciałach i zgromadzeniach przeprowadzić swego politycznego programu, którego punkt pierwszy, a bodaj najważniejszy, dotyczy otwarcia w niedzielę szynków i *barón*, nieubłaganie zamkniętych w dniu poświęcone służbie Bożej — póty wszystko, co żyje, może się ruszać i wydać kilkanaście groszy na bilet, gdzie szukać wytchnienia u stoku »Wielkich Wód«.

Od dworca kolei żelaznej wędrujesz do cudu świata, wspanialszego od wszystkich, które podziwiali starożytni, po ślicznych, gładkich murawach o soczystej zieloności, niby ruń naszych łąnów w pierwszej wiosnie, po drogach wysadzanych drzewami, wśród krzewów i kwiatów starannie

i zbyt kownie utrzymanego ogrodu. Żelazny most, łączący t. zw. amerykański brzeg z Kozią wyspą, wznosi się już nad spienionym strumieniem, skaczącym z kamienia na kamień, rozpierającym opoki, unoszącym pnie z dziewiczych kanadyjskich lasów jak żdźbła trawy, mielącym granitowe głazy na piasek.

Kozia Wyspa to dalszy ciąg parku, jakie widuje się dziś w pobliżu wszystkich większych miast. Gąszcza i szpalery zakrywają do ostatniej chwili widok, który każdego zamienia za pierwszym razem, w słup czy też posąg... osłupienia.

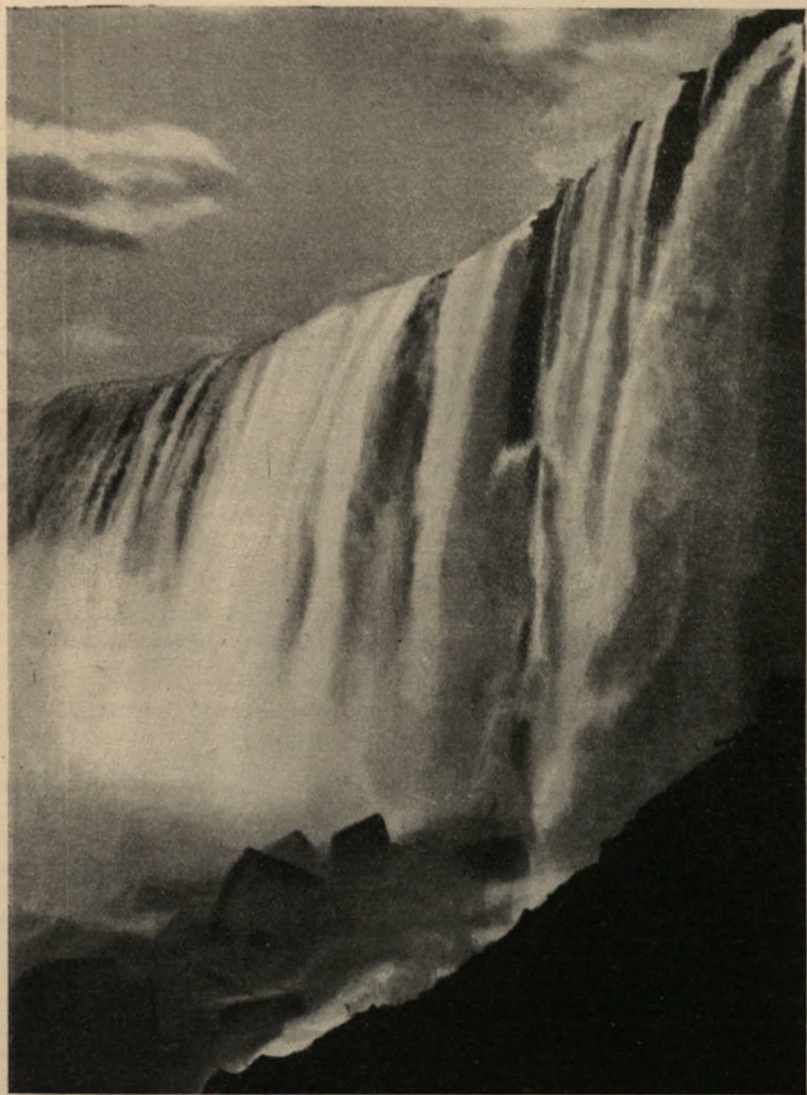
Przepaść, otchłań, urwisko, w które jednym rzutem pada z zawrotnej wysokości, nie strumyk żaden, ani potok, ale ogromna rzeka, mlecze strugi spienionych wód jeziora, płynące prostopadle na przestrzeni kilkuset stóp niepohamowaną a niestrudzoną siłą żywiołu, który powyżej wodospadu obraca posłusznie młyńskie koła, a poniżej unosi łodzie i statki, lecz w chwilowym, a jednak odwiecznym szale buntuje się zwycięsko przeciwko ludzkiej przewadze i cywilizacyjnemu wyzyskowi — nie da się ani mostem opasać, ni słowami określić. Rozhukane odmęty wywołują zamęt wrażeń; dokładne i wierne opisy sięgają nie dalej, jak po kamienne ganki i żelazne kraty, których czepia się ciżba ciekawych widzów.

Dnieprowe porohy odbijają się, jak w zwierciadle w ukraińskich dumach i pieśniach, bo bywali śmiałki, którzy zdołali przemknąć się wśród nich na czajkach kozackich;

. . . kaskada,

Gdzie Aar wody błękitnymi spada,

zachwyca serce i oczy ludzkie nie tylko w rzeczywistości wśród gór szwajcarskich, ale także wprawia w podziw każdego, kto zna Słowackiego pieśń nad pieśniami. Lecz by godnie opisać wodospady Niagary, trzeba by chyba umieć władać temi prostymi a wzniosłymi słowy, w jakich na-



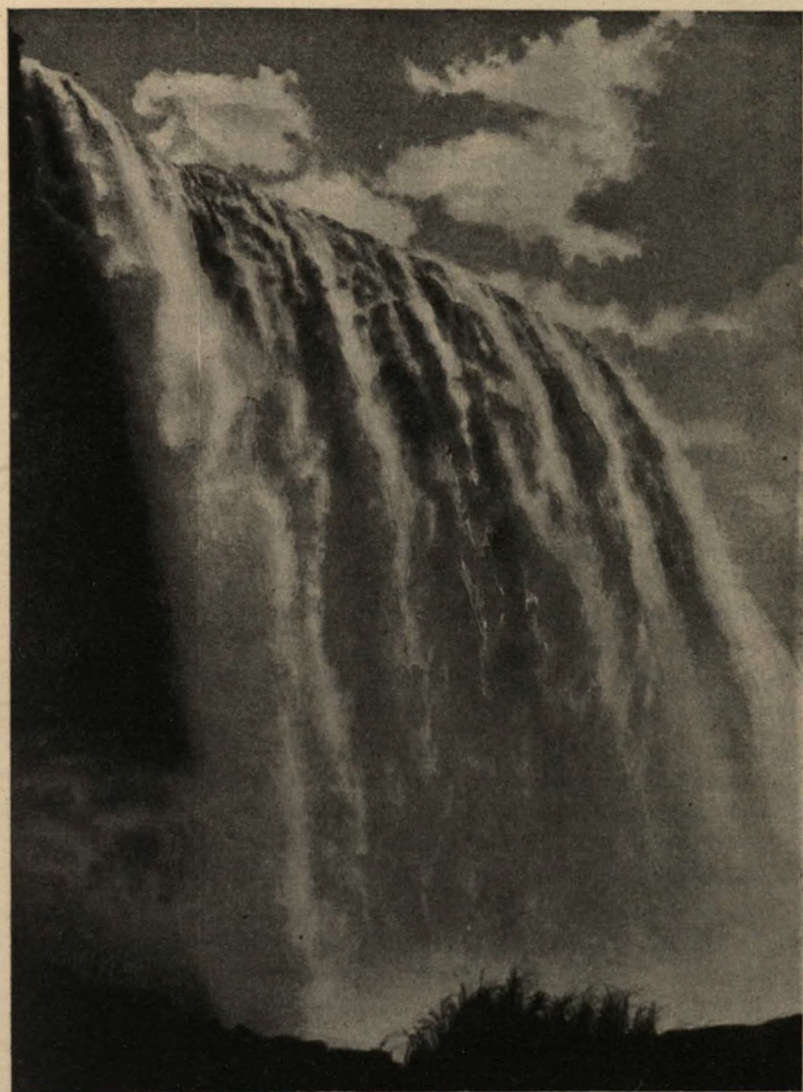
Wodospady Niagary.

tchniony pisarz opowiedział w pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju, dzieje owego pierwszego i wielkiego tygodnia, kiedy w rękach Bożych powstawał świat, lub usnuć wokół tego widowiska, niezwyklego jak zjawisko, tęczone pasmo podań, które w wiośnianej wyobraźni pierwotnych ludów splotły się z zaćmionymi wspomnieniami o rzeczy początku, w niedościgłe wzory poezji.

Bo też Niagara zda się raczej archaicznym zabytkiem minionych geologicznych epok, niż wytworem dzisiejszej przyrody. Biały strumień, staczający się w głębię z wiszarów amerykańskiego wodospadu i przede wszystkim wielki »wodospad podkowy«, mieniający się w promieniach słońca połyskiem mlecznego opalu, to znów przeświecający szmaragdową barwą, zanim pograży się w skłębionej topieli, nie licuje z dzisiejszem otoczeniem, z bitymi drogami i udeptanymi ścieżkami, z kwiecistymi grzędami, rabatami o wyszukany rysunku i sztucznym doborze odcieni, chlubie i popisie dzisiejszego kunsztu ogrodniczego.

Mniej jeszcze niż te kwiatki i krzewy w doniczkach, rosnące na Koziej Wyspie, zdoła dostroić się, do majestatu jedyne go w swym rodzaju widoku, wystrojona gawiedz przybyła ze wszystkich stron świata, próbująca złowić coś z tego ogromu w małe czarne pudełka kieszonkowych »kodaków« lub nurzająca z poza kamiennych poręczy i żelaznych krat końce lasek i parasolek w rozhukanych wirach. W oczach tłumu dojrzeć można to samo uczucie bojaźliwej pogardy, chępliwego a małodusznego upojenia na widok bezsilnej czy ujarzmionej wielkości i grozy, jakie spostrzega się przed klatką lwów i tygrysów w każdej menażeryi — takie spojrzenie równa się osłemu kopnięciu, wymierzonemu w zdychającego króla zwierząt z Ezopowej bajki.

Bez wątpienia Niagara jest anachronizmem, ostatnią może pozostałością z czasów kosmicznych zapasów ognia i wody, wśród których powstawała ziem ska skorupa, kiedy ziały żarem całe pasma wulkanicznych gór, z otwartych



Wodospady Niagary.

kraterów płynęły potoki lawy, w chwili przedhistorycznego świtu, gdy Ręka Stworzyciela rozprószyła już była ciemności nicestwa, lecz słońce dziejów nie było jeszcze zeszło.

Drzewa, które wówczas rosły nad brzegiem Wielkich Wód zczerniały na węgiel kamienny, przerosłe młodszem pokoleniem roślin; ze zwierząt, które zaludniały ową puszcze, nie zostało nic, prócz skamieniałych szkieletów, ustawianych dziś za szkłem w muzealnych salach; po dzikich plemionach, oddających bałwochwalczą cześć wodnej potędze, zachowała się zaledwie garstka zatartych wspomnień i kilku epigonów, wymierających w opustoszałych wigwamach; a wody jeziora Erie dalej szumią, pienią się, łączą poprzez przepaść, z nurtem rzeki wpadającej w jezioro Ontario i wprawiają w podziw, zachwyt, zamyślenie nowoczesne dusze, przywykłe do drobiazgowości starzejącego się świata i przyrody osłabłej i zda się jakby skurczonej po wiekowych wysiłkach nieustannego rodzenia. — Jeżeli Amerykanie nie umieli, czy nie chcieli stworzyć wokół Wielkich Wód krajobrazu godnego Niagary, uczynili natomiast wszystko, co było w ich mocy, dla wygodnego, dokładnego i bezpiecznego zwiedzania wodospadu.

Doróżki i omnibusy objeżdżają Kozią Wyspę i zatrzymują się wszędzie, gdzie dojrzeć można rzekę, płynącą wartko i szumnie po granitowych złomach, przebywającą niewielkie zapory w podrygach, niby biegacz, gotujący się w przyspieszonym tempie do skoku. Na Wyspie Księżycowej, dokąd prowadzą schody i kładki, ujęte w poręczę, staje się, jak na przełęczy między »wodospadem Podkowy« a »wodospadem Amerykańskim« i rzuca w głąb wody spojrzenia, które, jak kamyk, nie mogą dotrzeć do dna, ale porwane burzliwym prądem, ślizgają się po lśniącej powierzchni i zatrzymać się, spocząć mogą dopiero tam, gdzie rzeka w dole zielenieje znów zwykłą barwą; ztamtąd również widzi się mały statek parowy, podpływający całą siłą pary pod urwisko, lecz zwracający jednakowoż w stosownej odległości. Kolejka nadpowietrzną zjeżdża się na pokład takiego statku i strzela się

wzrokiem do góry aż na Kozią i Księżycową wyspę, gdzie Bóg otworzył upusty wodospadu i podziwia się go już nie z boku, ni z ukosa, lecz na wprost ogląda zielone pasy, przeplatane śnieżnymi taśmami i spięte siedmiobarwną tęczą klamrą tej niezrównanej, litej szaty. Po żelaznym moście, zbudowanym poniżej, przejeżdża się granicę między Stanami Zjednoczonymi a dominium Kanady, upewnia mimochodem celnych poborców J. K. Mości króla Edwarda VII, że do jego dzierżaw przywozi się ze sobą tylko nowe wrażenia i wśród ogrodu jeszcze piękniej i staranniej utrzymanego, niż po przeciwległym brzegu, dojeżdża się do budynku, w którym z wieży można napatrzeć się prawie *à vol d'oiseau* całokształtowi cudnego widowiska o piętro niżej obejrzyć, a nawet kupić najcenniejsze futra i skórki bobrowe, lisie, o czarnych, niebieskich, srebrnych połyskach i odcieniach, gronostaje i t. d., na dole zaś przebrać się w gumowy płaszcz, kaptur, szarawary i kalosze i zjechać aż na ścieżkę u stóp skał, gdzie nabiera się przekonania, że nawet w Niagara są miejsca, zwiedzania niewarte, i że woda, która tam bardziej niż gdziekolwiek na świecie, zdolna wszystko porwać, poruszyć, i na proch zetrzeć, umie też poprostu kapać jak z najpospolitszej, dziurawej rynny...

Po kilku godzinach zwiedzania ogarnia podróżnika niezwykle znużenie, jakiego się zazwyczaj nie doznaje wobec przyrody, jej bogactw i jej dziwactw. W oczach migają połyski spienionych odmętów, w uszach słychać szum spadających strug; naprężone nerwy potrzebują wytchnienia.

Kto zdołał odczuć piękność i majestat Wielkich Wód, przewyższających wszelkie oczekiwanie i co więcej, nawet reklamę amerykańskich towarzystw kolejowych i hotelowych, ten unika, niemal ze wstrętem, sklepów i kramów gdzie za kilka miedziaków kupić można »pamiątkę z Niagary«, i rozważając o tem, co widział, uprzytomniając sobie minione już wrażenia, stara się wysnuć syntezę z rozpieczętych myśli i uczuć, wywołanych widokiem Bożego arcydzieła.

Mimowoli przychodzi na myśl mitologiczne podanie o zasłonie z Sais, której uchylenie pociągało za sobą niechybną i natychmiastową śmierć, a za którą tańło się Bóstwo — wodospad Niagary byłby zaiste godny stanowić taką zasłonę...

* * *

Wracając o zmierzchu do Buffalo, widać po lewej ręce łunę, jaką się teraz wszędzie widuje nad miastami, oświetlonemi gazem, czy elektrycznością. Lecz owóz druga podobna jaśnieje o kilka stacyj dalej. Zmierzamy w stronę dalszej, zostawiając bliższą na boku.

Czyżby amerykańską modłą wyrosło nowe miasto z pod ziemi tak szybko i niespodzianie, że nietylko karty geograficzne, ale nawet reporterzy wszystkich *Heraldów*, *Timesów*, *Standardów* itd. o jego powstaniu wspomnieć nie mieli czasu?

Istotnie jestto miasto, którego próżno szukać na najdokładniejszych mapach, ale o którym reporterzy i sprawozdawcy dzienników z tej i z tamtej strony Atlantyku rozpisali się od kilku miesięcy jak najobszerniej. Miasto z tektury, aluminium, szkła, stiuków i żelaza, jednym słowem panamerykańska wystawa, której otwarcie odbyło się w maju 1901 r. z wielkim rozgłosem, a nawet hałasem.

Godnem uwagi jest jej godło, czy herb, które widuje się wszędzie: na afiszach, monetach pamiątkowych, wytwornie i starannie wydanych zeszytach ilustrowanych »with pen and camera« na tarczach, zawieszonych na gzymsach wystawowych budynków i wszędzie wogóle, gdzie tylko umieścić je można.

W geograficzny zarys Nowego Świata wrysowała ręka artysty, któremu natchnienia czy pomysłu musiał chyba dostarczyć mieszkaniac Białego Domu w Waszyngtonie, dwie postacie niewieście, podające sobie ręce po przez przesmyk panamski. Allegoryczną przedstawicielkę południa, sięgającą stopą Patagonii, opartą łokciem o brazylijskie, a kolanem o argentyńskie wybrzeże, zdaje się budzić ze snu czy

odrętwienia skrzydlata istota, wyciągająca przez Meksyk ramię na południe. Wśród fałdów szaty rozpościerającej się nad Kanadą i Alaską kryją się jej kształty, ale głowa w czepku podobnym do frygijskiej czapki, z pod którego



Pan-American exposition 1901.

spływają sploty płowych włosów aż do Kalifornii, mieści się tam właśnie, gdzie na karcie odnaleźć można Buffalo.

Anglo-saksońska »anielica« powiewna i uskrzydłona spoziera na senną siostrę łacińską wzrokiem, który — mimo-woli może — zdradza intencje czy aspiracje twórcy rysunku i twórców wystawy. Spojrzenie to nie jest bynajmniej anielskie — przeciwnie, przebija w niem fizyczna niemal, hipno-

tyczna siła, z jaką patrzy wąż na ptaszka czy królika póty, póki tenże nie podsunie mu się sam aż do paszczy.

Kto przyjrzał się bliżej owemu godłtu i wie, jak biegle Amerykanie umieją władać afiszem w celach handlowej, a tym razem i politycznej reklamy, ten łatwiej pojmie istotę i przyszłość panamerykanizmu, niż gdyby przeczytał i zgłębił wielotomowe dzieła, w których skreślono dzieje owego ruchu od czasu Monroe'go.

W biały dzień wystawa nie różni się wielce w ogólnych zarysach od wszystkich innych jej poprzedniczek na obu półkulach. Wiezorami w powszednie dnie nie brak dla szerokiej a weale nie wyborowej publiczności owych jarmarcznych rozrywek, którym za wzór posłużyły Alt-Wien, Venedig in Wien, la Rue des Nations itd.

Najzwyczajniejszy filister zjadłszy kiełbaski z kapustą i inne niemieckie specyały, popiwszy monachijskiem piwem w »old Nuremburg«, ma do wyboru przejażdżkę prawdziwą gondolą wśród Wenecyi *en trompe l'oeil*, przechadzkę po murzyńskiej wiosce, »w najciemniejszej Afryce« — wśród indyjskich wigwamów, lub też namiotów »królewsko-rumuńskich«... cyganów. W wesołej Japonii spotyka gejsze, które jednak nie wszystkie podobno pochodzą wprost z kraju chryzantemów, uśmiechów i papierowych domków. W ulicach Meksyku może napatrzeć się parodi w walce byków, gdzie toreadorzy wątpliwego pochodzenia i zręczności, wieńcząc różami przy dźwiękach marsza z Carmen, stare, chude, na opas niesposobne woły, niby poetę-laureata, bo czułe nerwy i tkliwe serca Yankesów, nie mogą pozwolić na prawdziwą »corridę«. Może wreszcie wybrać się w »podróż na księżyc« na maszynie do latania, wzlecieć w górę na kilkaset stóp, skąd wprawdzie nie dojrzy satelity naszej planety bliżej i dokładniej, niż z ziemi, ale natomiast zobaczy wodospad Niagary, oświetlony elektrycznie, albo, jeżeli wola, zstąpić w podziemia, gdzie uzmysłowiono — w karykaturalny zresztą sposób — dantejskie piekło.



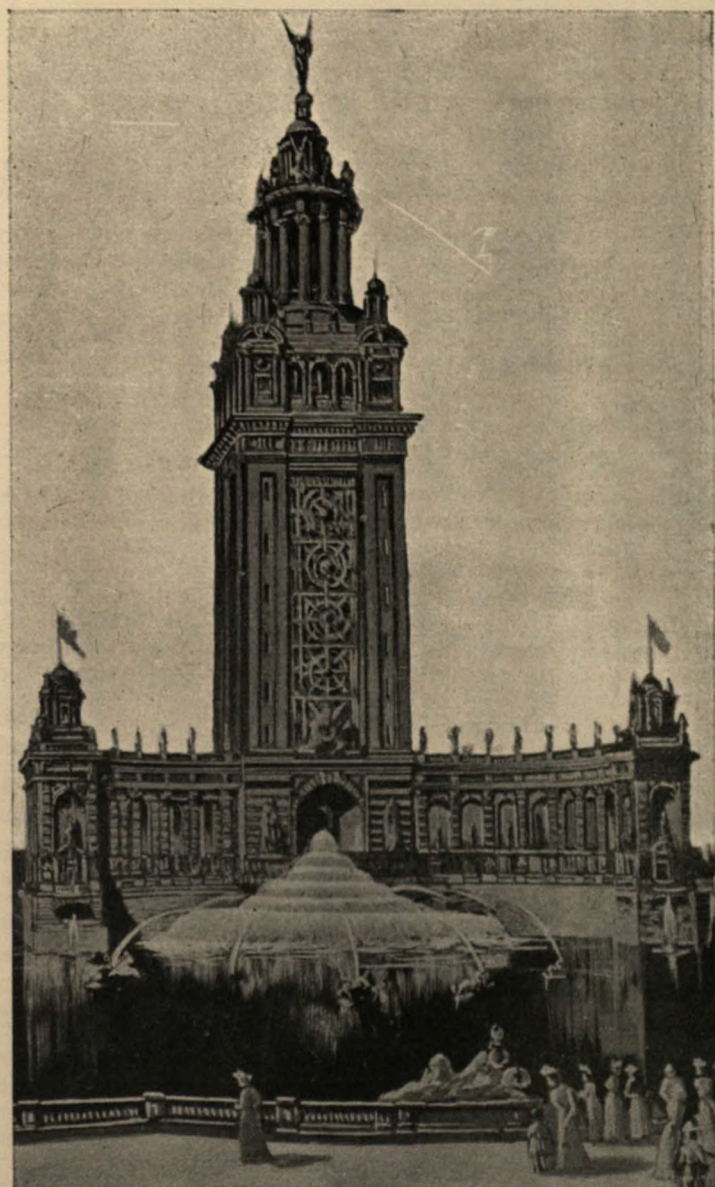
Buffalo. Wystawa, ogólny widok.

Wszystkie te »attractions«, wraz z domem odwróconym fundamentami do góry, a dachem i kominami na dół, pałacem złudzeń itd., są pospolitej natury. Co naprawdę piękne, to oświetlenie elektryczne całej wystawy.

W niedzielę wieczorem, kiedy wszystkie dziwowiska pozamykane, kiedy cichnie gwar i przeredza się tłum, kiedy netylko ludzie, ale i maszyny używają dobrze zasłużonego spoczynku, wówczas przemienia się wielki jarmark w widziadło z fantastycznej bajki, ze świata snów, przywidzeń i zjawień. Z oddali, z tramwaju, który w trzy kwadransy przebywa przestrzeń między Buffalo a Delavare Park, gmachy, kopuły, wieże, pałace i pawilony, wydają się zaczarowanym miastem, świetlistym zjawiskiem, niż rzeczywistością raczej.

Elektrotechnika w usługach panamerykanizmu zdobyła się na to, o co w Nowym Świecie zwłaszcza po miastach najtrudniej — na poetyczny nastrój. Ściany, gzymsy, architektoniczne ozdoby budynków rozmaitych stylów płoną, a nie palą się, gorzą i jarzą się od światła. Gdzie okiem rzucisz, żarowe lampki mnożą się w tysiące, uwydatniają kształty i zarysy, kwitną ogniście wśród zieleni drzew i krzewów, odbijają w stawach i sadzawkach; krzyżujące się ich promienie łamią się w siedm barw w wodotryskach, rozpraszają ciemności i zwalczają cienie na całym obrębie »tęczowego grodu«, jak krajowa prasa z dumą nazywa najnowsze narodowe dzieło.

Na obszernym majdanie między »przybytkiem« muzyki a pałacykiem etnologicznych zbiorów, który w kilka tygodni później miał być widownią zbrodniczego zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych, snują się nieliczne postacie, czarne i drobne wśród kruźganków wiodących do Stadium i Propilejów, gdzie synowie anglosaksońskiej rasy, odziedziczywszy po Hellenach zamiłowanie do ćwiczeń fizycznych oddają się namiętnie grom atletycznym, przypominającym bez parady olimpijskie igrzyska. Prózno byś szukał wśród tego miasta światłości, wśród ulic i zwężających się w oddali



Wystawa w Buffalo, wieża elektryczna.

dróg, skąd, rzekłbyś, ukaże się lada chwila strojny orszak z baletu Excelsior, owego słynnego »clou«, który jest tem dla wystawy, czem kotylion dla balu. Wieża Eiffel — ów olbrzymi bretnal na polu Marsowem — zabiła widocznie ćwieka w głowy i wyobraźnie wynalazców; od lat dwunastu próżno się siłą na nowy pomysł i wykonanie czegoś niebywałego. Wieża elektryczności nie kusi się o to uprzywilejowane stanowisko; z wzrostu jednak i środkowego umieszczenia jej się przedewszystkiem uwaga należy. Od ziemi aż do szczytu w wysokości 409 stóp, na którym wznosi się posąg bogini jasności, geniusz wolności czy też inna alegorya w tym rodzaju, skrzy się i niemal razi oczy 40 tysiącami światełek i lśni srebrnolitym strumieniem wypływającym, jak z naturalnego źródła, z konchy u jej stóp i wpadającym w małe jezioro. Na jego czarniawej toni wypoczywa z lubością wzrok zmęczony nadmiarem blasku.

Wspomniany posąg skrzydlaty, a przyciężki, zrywa się do lotu mniej więcej tak, jak zbarczony zóraw lub owa stara czapla z bajki, której to łatwiej przyszło wzmódz się na concept, niż wznieść się na skrzydłach, ale odległość, mimo świetlanej aureoli zaciera jego błędy. Natomiast posągi spiżowe, ustawione na schodach wiodących do pałacu Stanów Zjednoczonych, nie mogą ująć uwagi przechodnia. »Wiek dzikości« przedstawia taniec wojenny indyjskiego plemienia przed bitwą. »Wiek despotyzmu« zaś rzymskiego imperatora na wozie tryumfalnym, ciągnionym z bolesnym wysiłkiem przez niewolników, których smaga biczem Furya. Prawda i Sprawiedliwość w okowach stanowią *spolia opima* zwycięzcy i tendencję dzieła Izydora Konti.

Na wystawę w Buffalo złożyła się naprawdę cała Ameryka. Pieniądzy, materiału w ludziach, ceglach, żelazie, cencie itd. dostarczyły Stany Zjednoczone, wzory architektoniczne wzięto z hiszpańskich kościołów i dawnych zamków *de los conquistadores*. Nie licząc pawilonów takich, jak ten, który sobie postawił Honduras, a który mógłby prawie bez

zmian zawierać wystawę słowacką, czy nawet huculską i »świeżo małpionych, klasycznych« budynków, mieszczących nie greckie bóstwa, ale kukurydzę z Ohio lub Arkanzas. Gmachy państw i stanów postawiono w stylu późnego, przeładowanego ozdobami baroku, ulubionego we właściwej, a także i Nowej Hiszpanii.

Maszyny, narzędzia gospodarcze, postawy sukna, głowy cukru, kukurydzy tyle, że możnaby wypaść nią całą opasową oborę w nienajmniejszym galicyjskim majątku, okazy zbóż rozmaitych itd., zdobią i wypełniają wnętrza owych domostw. Kto nie chce i nie może poświęcić całych tygodni na zwiedzanie i zbadanie dokładne nagromadzonych przedmiotów, mija je obojętnie, nie wiedząc, gdzie się zatrzymać. W pałacu ogrodnictwa rumieni się wystawa kalifornijskich owoców, w nowo-jorskim oddziale pociąga oczy niezwykle piękny dobór kościelnych aparatów podług bizantyjskich wzorów.

Próżno kusić się o objęcie wzrokiem i utkwienie w pamięci wszystkiego co tu zebrano i ustawiono na pokaz. Łatwiej zachować wrażenie całości kształtu, niezwyklego małżeństwa: blasku i ciszy, żaru i pustki.

Dzieło podjęte w handlowych i politycznych celach, wykonane w rozmiarach, na jakie może sobie pozwolić potęga i zamożność amerykańska, staje się widowiskiem niezwykłym wówczas, gdy surowo przestrzegany obowiązek święcenia niedzieli zatrzymuje w domach, zdala od rozrywek, banalne tłumy. O takim zamarzyć zdołała tylko płomienna, haszyszem podsycana wyobraźnia ludów wschodnich — wspólne marzenie przemienić w rzeczywistość przypadło, jak oczywista, w udziale najtrzeźwieszem ze społeczeństw wyrachowanemu i obrachowującemu wszystko, jak żadne inne. »Tęczowy gród« bywa chwilami podobny do gmachów, oświetlanych w *Tysiącu i jednej nocy* lampą Aladyna.

* * *



Łoskot spadających wód Niagary nie zagłusza wystawy, ni blask rozsiewany jej oświetleniem nie zagęszcza siłą przeciwstawień, nocnego zmroku wokół wodospadu.

Przeciwnie — niewidzialne druty, łączące Boże dzieło z wynikiem i pomnikiem ludzkiej pracy, czerpią w pierwszym siłę i zamieniają ją w światło i ruch, na korzyść i pożytek drugiego. Natomiast w wieży elektrycznej padają niekiedy snopy promieni w stronę mlecznych strug amerykańskiego urwiska, jak wdzięczny uśmiech dziecka, zwrócony na matkę karmicielkę.

Nie z estetycznych, ale z praktycznych względów wybrano Buffalo na miejsce przeglądu panamerykańskich spraw i zasobów. Niemniej jednak wybór był trafny, a Niagara nie jedną »attraction« tylko wpośród tylu innych. Była ona podczas wystawy jej najpiękniejszym, naturalnem uzupełnieniem, a jest sama w sobie i dla siebie, zawsze i niemal wiecznie najwspanialszym, najbardziej wstrząsającym widokiem, który dano oglądać oczom ludzkim.

Co zaś obecnie musi podnosić jej wartość w ocenie twórców czarownego miasta w Delavare Park, to okoliczność, że wodospad płynie, szumi, mieni się i pieni za darmo i że temu niema końca, podczas, gdy ich dzieło kosztowało drogo i doczekało się żałośnego końca, który dla żyjących zowie się śmiercią, dla budynków zawaleniem, a dla wystaw... deficytem.

PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE Z PÓŁ- NOCY NA POŁUDNIE.

W coraz częstszych — a co za tem idzie — coraz pospolitszych podróżach naokoło kuli ziemskiej przebywa jaki taki z obieżyświatów Stany Zjednoczone koleją dwóch oceanów z Nowego Jorku do San-Francisco lub naodwrot.

Droga niżej podpisanego wypadła inaczej, od kandyjskiej granicy do Nowego Meksyku i dalej.

Pięciodniowa podróż w wagonie przedstawia się odmiennie, niż kilkugodzinna, lub co najwyżej dobę trwająca jazda w Europie. — W Ameryce trzeba mieć nie tylko jechać, ale i żyć w pociągu. Rodzimy typ podróżnika starego automobilu, który na dworzec przybiega zdyszany pół godziny przed minutą wyznaczoną na odjazd, bo »kolej na nikogo nie czeka«, traci głowę własną, a bliźnim stara się ją zawrócić, obarcza siebie i innych stosem tłumoków o najmniej prawdopodobniejszych geometrycznych kształtach od stożka aż do kuli, siedzi na nich sam lub z liczną rodziną, jak kwoka na jajach, i co chwila odbywa przegląd owych skarbów, wśród których prowianty zabierają tyle miejsca, jak gdyby miał stanąć na czele karawany, zapuszczającej się w głąb Sahary — taki nie zajechałby w Stanach Zjednoczonych daleko.

Podróżnik ów szukałby również napróżno europejskiego konduktora, usłużnego jak lokaj, dobrotliwego jak patriarchy, lub opryskliwego jak żandarm, w miarę spodziewanego lub otrzymanego napitku. Zarządy kolei nie obchodzą się z podróżującą publicznością, jak z dziećmi, nie zakazują pod grzywną wychylania się przez okno, czy też ciągnięcia za sznurek alarmowy. Gdyby ktoś dopuścił się podobnej pustoty bez potrzeby, konduktor ma rozkaz wyrzucenia go przy pomocy pierwszego lepszego gentlemana dobrej woli, a silnej pięści na tor, bez dalszych formalności, ni spisywania protokołu. Każdy poczyna sobie według własnego upodobania i na własną odpowiedzialność. Służba kolejowa, obejrawszy bilety jadących, zasiada wraz z innymi na ławkach i napozór nie robi nic; naprawdę nie spuszcza z oka towarzyszy podróży.

W Stanach Zjednoczonych nadzór policji i straży bezpieczeństwa jest nierównie mniej ścisły, niż w Europie; to też każdy obywatel wolnej Rzeczypospolitej jest z przyzwycz-

czajenia, a po części z konieczności ajentem tajnym na własną rękę, nieustannie strzeże siebie, a śledzi innych. Mało komu przyjdzie tam na myśl dopuszczać się owych małych nadużyć, jak opłaty połowy biletu za dzieci kilkunastoletnie, przemykania zbyt ciężkich kufrów, jako ręcznych tobołków, jazdy droższą klasą, niż ta, na którą opiewa bilet i rozsiadania się w pustych przedziałach, dzięki napiwkom moralnie, a właściwie niemoralnie, graniczącym z łapówką, które w Europie są wszędzie mniej więcej w powszechnym obiegu.

Natomiast po dziś dzień zdarzają się napady zbójceckich szajek na pociągi (dwa dni przed przejazdem niżej podpisanego przez Texas strzelano tamże na pociąg pospieszny), to też konduktorowie baczą przed zatrzymaniem się i po wyruszeniu po dworcach najpilniej na to, by kto nie wśliznął się ukradkiem w jakiś kąt i stamtąd nie rozpoczął strzelaniny. Rozmiary i wewnętrzne urządzenie wagonów, gdzie po czterdzieści osób mieści się razem i pilnuje nawzajem, służy również temu celowi.

Widząc te środki ostrożności, daremnie szukałby kto wśród towarzyszy podróży owych cech rozbójniczych, znanych z romantycznych ballad i dramatów :

- »Brody ich długie, kręcone wąsiska,
- »Wzrok dziki, suknia plugawa,
- »Noże za pasem...

są tam nieznane. Przeciwnie — mężczyźni, wypełniający przedziały, nie noszą zarostu, ubierają się starannie; każdy wprawdzie nosi rewolwer w kieszeni i łatwo go dobywa, ale zazwyczaj zachowuje się spokojnie, czyta dzienniki, pali grube cygara, rano myje się, goli, czesze i szcztokuje ubranie, jak w domu. — Naoczni świadkowie burzliwych, a czasem krwawych zajęć, rozgrywających się w pełnym biegu między dwiema stacyami, twierdzą, że kiedy zdarzy się rozbój, rzeźmieszki nie różnią się powierzchownością, ani ubiorem, ani

przedewszystkiem zachowaniem się, od innych podróźnych... przed rozpoczęciem akeyi. Gwałt i bezprawie roztacza się na tem samem szarem, demokratycznym tle, które służy za kanwę wszystkim objawom życia w Stanach Zjednoczonych.

Trzeźwość sądu Amerykanom wrodzona, rozwinięta wychowaniem, wyrobiona zajęciami kupieckimi nie daje im się mieć zwodniczem trójhasłem francuskiej Rzeczypospolitej: wszyscy gotowi bronić wolności, ale w powszechne braterstwo nikt wobec zaostrzonej walki o byt nie wierzy, a równości nikt nie życzy, bo każdy pnie się sam zapamiętałe w górę.

Równość owa jednak istnieje poniekąd i pozornie w codziennem życiu zwłaszcza w podróży. Znana u nas piosnka z początku przeszłego wieku żaliła się, że pana od sługi, obu ubranych we fraki, odróżnić nie można. Było w tym żalu nieco przesady; natomiast w Ameryce niepodobna istotnie stwierdzić różnicy między jednym z owych królów naftowych, kolejowych itd., a najgorzej płatnym z jego urzędników. Obaj noszą odzież tego samego kroju i wyrobu, kolorową koszulę, kokardkowe krawatki wzierające z bardzo wysokich kołnierzy; w płaskich skórzanych kuferkach, zastosowanych do miejsca czyli też braku miejsca w wagonach, a wyrabianych tysiącami na jedną modłę, mają ze sobą wszystko do przebrania na dni kilka, tak, że sam Imci Pan Podfilipski nie śmiałyby przedrwiwać ich stroju.

Ta równomierność stosuje się zresztą tylko do mężczyzn. Milioner czy miliarder o skromnych potrzebach i przyzwyczajeniach osobistych, otacza zbytkiem swoją żonę i córki, sam jedzie czasem jak zwykły śmiertelnik zwykłym wagonem, ale na skinienie pań każe przyczepić do pociągu własny »car«, istne ruchome mieszkanie z imieniem właścicielki Maud lub Grace, wypisanem wielkimi złotemi literami na zielonem tle niby nazwa yachtu służącego do podróży na stałym lądzie, w którym można mieszkać, stroić się, przyjmować gości, jednym słowem *have a good time* (zwrot ten

powracający, co chwila na ustach amerykańskich przetłumaczyć można chyba: używaniem życia).

Co i jak ludzie myślą? Jakie są tajne, w sercach i mózgach ukryte sprężyny działania jednostek i zbiorowych organizmów? Oto bądź co bądź najważniejsze pytanie, które stawia sobie każdy, napotkawszy nowych bliźnich w nieznanym kraju.

Niestety nie trudniejszego, jak zaspokoić tę ciekawość. Poznanie siebie samego uważał grecki filozof za szczyt mądrości; jak pobieżnym zaś, niedokładnym, samowolnym i zwoźniczym bywa poznanie innych, nawet najbliższych, członków rodziny, współobywateli jednego narodu poucza nas codziennie doświadczenie drogą rozczarowań. — *Homo homini lupus* — pisał przed wiekami uczony Grotius, badacz prawa narodów. Wilczym zakusom nałożyły kodeksy i obyczaje poniekąd kagańce, ale dziś jak przed laty człowiek człowiekowi jest zagadką.

Próżną i śmieszną zachcianką byłoby też pokuszenie się o wydanie sądu dotyczącego psychologicznych odrębności i właściwości amerykańskich. Sądy i spostrzeżenia z okien wagonu siłą rzeczy muszą ograniczyć się do zachowania się owej rzeszy podróżnej, złożonej z kobiet o śmiałym spojrzeniu, swobodnych ruchach i mężczyzn o ciemnych zazwyczaj włosach (łysin widuje się znacznie mniej niż w Europie, zwłaszcza środkowej), wygolonych twarzach, zwiędłej cerze i zmarszczkach, wyłobionych raczej zmęczeniem i naprężeniem nerwów niż wiekiem, co wszystko nadaje im w czambuł pozór ogromnej trupy wędrownych aktorów.

O ile w swoich mieszkaniach i domach wydają się Amerykanie jak na popasie, o tyle w kolei sadowią się jak u siebie, na stałe, niemal na zawsze. Czytają, piszą, rachują w wagonach jak w biurach, załatwiają sprawy i sprawunki, poczem pogrążają się w dziennikach rozmiarów sporej broszury i w miesięcznikach grubych jak książki. Kolejowa literatura — owa zakała europejskich dworców i piśmien-

nictwa — której istnienie tłumaczy się, czy uniewinnia chyba przytępieniem duchowych i intelektualnych sił, naszych domatorów wyprowadzanych z równowagi, ba! niemal wykołejonych moralnie, dlatego tylko, że siedzą nie przy kominku, ale w pociągu — nie śmie w Ameryce rozpościerać się bezwstydnie na półkach przekupniów. Przeglądy zawierające rozprawy *de omnibus rebus et quibusdam aliis* są natomiast w rękach wszystkich.

Pierwszy lepszy z nich, naprzykład *The Atlantic Monthly*, kupiony w Filadelfii, a porzucony w Indianopolis, zawierał rzecz o grze w golfa, o pangermańskich knowaniach w Austrii, o demokracji i wychowaniu, o przemyśle dziennikarskim, prócz tego wiersze, nowele itd.

Niezmiernie ciekawym był artykuł o śpiewie słowika. Autorka z iście germańską pilnością i pedantyzmem wynotowała ptasie trele, nuty opatrzyła krzyżykami tak, że na każdym fortepianie można podług nich wygrać słowiczą melodyę, rozróżnia rozmaite szkoły skrzydlatych śpiewaków, zaznacza różnicę między tymi, którzy kryją się wśród gąszczy »na jasnym brzegu«, a tymi, którzy przebywają nad Renem, lecz zapewnia, że we własnej ojczyźnie napróżno usiłowała posłyszeć słowika.

Spojrzenie oderwane od książki i rzucone na krajobraz po obu stronach kolejowego toru, podaje mimowolnie w wątpliwość owo twierdzenie. Jest-że możliwem, żeby »kochanek róży, a brat poetów« — jak zowią małą ptaszynę wschodnie podania — nie gnieździł się w tych krzakach i chróśniakach, które rosną, jak okiem zasięgnąć, na lekko falistych błoniach, przeciętych szynami. Bo kominy fabryczne, licznie zaludnione miasta zostały za nami daleko na północy i od dwóch dni już jedziemy krajem, który przestał niedawno być przestronnym stepem, a nie jest jeszcze owem mrowiskiem ludzkim, jakim są Stany nad brzegiem Atlantyku.

Niewielkie pola, zasiane oziminą i kukurydzą, stodoły i domy mieszkalne, stawiane z okrągłaków, wiejskie kościoły

z czerwonej cegły, ogrody i sady owocowe, przetrzebione lasy ukazują się na widnokregu, przesuwają przed nami i mkną po za nami. Gdzież są owe rozległe płaszczyzny, owe łąny »wyzłacane pszenicą, wysrebrzane żytem«, ciągnące się milami, orane parowymi pługami, koszone żniwiarkami, o których czyta się w opisach zaatlantyckich gospodarstw?

Dalej w Texas i New-Mexico pojawiają się, a czem dalej na południe, przeważają hiszpańskie typy i łańskie obyczaje. Kapelusze zastępuje na głowach kobiecych chustka, spokrewniona z sewilską mantylą, natomiast na zwichrzonych męskich czuprynach czapeczki w kratki rozrastają się do rozmiarów *sombrero*. Za St. Louis na drugim brzegu wspaniałego Missisipi, którego brzegiem, zarosłym zwartą wikliną, biegnie pociąg przez kilka godzin, zaczyna się odmienny świat pasterski i koczowniczy. Bydło rogate chodzi tam stadami, konie cwałują w tabunach, nikną płoty i ogrodzenia, a wzrok zmęczony nadmiarem i rozmaitością przedmiotów, które obejmować musiał od chwili, kiedy padł w zatoce nowojorskiej na ziemię Yankesów, może wreszcie po pastwiskach biedz bez zapory aż na krańce widnokregu i odnaleźć tam znowu marzenie, omijające zdaleka ojczyznę *businessu*, kantorów i fabryk, bankierów i reporterów.

U wysokich kulbak teksańskich widnieją przytroczone: z tyłu kilkustrzałowy karabin, z przodu pęk sznurów, służących do najrozmaitszych użytków, najczęściej jako *lasso* na rozpierzchłe źrebięta, czasem jako stryczek w doraźnym wykonaniu doraźnych sądów. Każde niemal wydanie tamtejszych dzienników zawiera opis owych egzekucyj, spełnianych albo raczej popełnianych na murzynach.

Darmo w wojnie secesyjnej, najkrwawszej, jaką kiedykolwiek zapisały dzieje, zginęło w imię równouprawnienia białych i czarnych pół miliona ludzi. — Zmieniono ustawy, ale nie odmieniono ni zapatrywań, ni obyczajów powszechnych. Dziś, jak przed laty, człowiek kaukaskiej rasy pogardza murzynem, który odpłaca mu zawistną nienawiścią,

jeden i drugi ma się na bacności: pierwszy nie wypuszcza z rąk rewolweru, drugi sięga do brzytwy, ulubionej swojej, a strasznej broni. Zbiorowe zaś zatargi kończą się paleniem na stosie lub powieszeniem na pierwszej gałęzi słabszego, a zowią się zadośćuczynieniem sprawiedliwości: prawem *lynchu*.

Kto zna murzynów z północnej Afryki, półnagich, popularnych, dobrodusznym, szczerzącym w ustawicznym uśmiechu białe zęby, wyzyskiwanych i batożonych przez Arabów, a widzi ich pobratymców w Pullmann Car'ach, roślących, hardych, ponurych i mrukliwych, tem czarniejszych, że ubranych w białe kitle, nie grających na drumli, jak to czynią na placach i po kawiarniach arabskich ci, którzy zostali na czarnym kontynencie, ale rozczytujących się w dziennikach, gotowych do buntu i dochodzących swych »praw człowieka«, zawarowanych im uchwałami parlamentu w Waszyngtonie, rozumie obawy i troski Yankesów w tej sprawie.

Może jak wszystko, tak i parcelacya postąpiła w tym kraju różnie niż u nas i wielkie dobra rozkawałkowano już w folwarki o europejskich rozmiarach, może dalej tam, gdzie zaczyna się *far west*, istnieją owe obszary, które jak *fata morgana* łądzą i mają naszych zagrodowych włościan po wsiach mazurskich, a może i najprawdopodobniej oczom duszy — wyobraźni — tak jak źrenicom bez przenośni przedstawia się rzeczywistość szaro i drobno z bliska, a błękitnie i olbrzymio z daleka. Niepoprawna ludzkość, wiedziona czy uwiedziona nadzieją, a gnana biedą, mało czego się uczy a mniej jeszcze pamięta. Argonauci w siermiędze szukają złota i szczęścia, mimo zapewnień, że na wschodzie nie masz Kolchidy a na zachodzie El-Dorada, że nie istnieją wprawdzie smoki, ale też nie strzegą hesperyjskich ogrodów, że dola człowiecza zawiera się w ciasnych granicach i trudnych warunkach.

Same nazwy miejscowości w tych wschodnich stanach wskazują, że historia ich nie jest tak świeża, ani ziemia

tak dziewicza, a zatem tak bujna i plenna jak sądzą ci, którzy wśród puszczy chcieliby sobie wykroić a raczej wyrąbać rozległe posiadłości. Wszak Nowy Świat nosi to miano już od kilku stuleci; Detroit, St. Louis, St. Paul, Louisville, Belleville itd. świadczą o francuskich założycielach; droga nie wypadła, niestety, niżej podpisanemu na New-Orleans, ale ci, którym danem było je zwiedzić, twierdzą, że do dziś dnia przechowało to miasto swój pierwotny charakter, że upudrowani kawalerowie wersalscy i prababka damy kame-liowej, Manon Lescaut, zesłana tam, jak wiadomo, na pokutę, teraz jeszcze musieliby czuć się u siebie w niezmienionych domach i wśród staroświeckich ulic.

Niemniej groźnym wrogiem w przyszłości może się stać ów mały i fizycznie słaby człowieczek o żółtej cerze, skośnych oczach, włosach obciętych lub zaplecionych w war-kocz i ukrytych pod czarnym piłśniowym kapeluszem, z którym rozstaliśmy się na Pell Street w Nowym Jorku, a którego odnajdujemy na nasze nieszczęście w restauracjach kolejowych południowych linii, bo z restauracyjnym wagonem trzeba się było rozstać, u granicy północnych urzędzeń i wygód w St. Louis.

Chińczyk nie odmienił stroju ni postaci, ale porzucił zajęcie, dające mu chleb w Nowym Jorku, a nigdzie na południu nie bardzo popłatne. Z pralni przeniósł się do kuchni. Co on tam dokazuje, przechodzi ludzkie pojęcie, a zatrzuwa nawet strusi żołądek. Smaży wiewiórki, piecze i przypra-wia zwierzęta, które sam może uważa za przysmak, ale które u nas jada się tylko w rozpaczliwych okolicznościach, jak np. długie obleżenie. Stosuje jednym słowem chińską kuchnię do amerykańskiego potwornego smaku, posypuje wszystko papryką, pieprzem, cynamonem, zaprawia korze-niami i nieubłaganie stawia na stół. Na dobitek wręcz nie-podobna doprosić się o szklanę piwa ani o kieliszek wina, bo w wielu stanach wyszynk gorących napojów jest wprost zabroniony z iście amerykańską bezwzględnością.

Owe zabytki purytańskiej przesady do reszty uprzykrzają koniec podróży. Pierwsze palmy w San Antonio i Indianapolis, wita się z radością jako zadatek i zapowiedź nowości; pierwsze ceremonialne powitania w hiszpańskim języku brzmią dziwnie mile po nosowych dźwiękach i telegraficznym stylu zaatlantyckiej angielszczyzny.

W olbrzymim tyglu północnej Ameryki przetapiają się narodowości starego świata w jakąś nową mieszaninę, o której trudno orzec, czy będzie szlachetnym spiżem, czy też popolitym mosiądzem. W każdym razie nie będzie ona wolną od czarnej i żółtej przymieszki. Czyż zdołają owe pierwiastki połączyć się chemicznie z innymi, czy też Stany Zjednoczone zostaną z czasem widownią walki rasowej zaciętej i straszliwej, jakiej jeszcze świat nie widział? To zagadnienie łączy się z całym szeregiem innych zagadek w znak zapytania zamykający, jak pieczęć księgę przyszłości. W kraju, gdzie obrót wszechrzeczy jest naglejszym niż gdziekolwiek indziej, gdzie odwieczne instytucje nie pętają postępu, lecz przeciwnie rozbudzona w dzieciach już, a rozkrzewiona we wszystkich warstwach inicjatywa osobista, przypina mu skrzydła, gdzie świeża historia nie jest mistrzynią ani hamulcem życia, myśl powszechna zajęta jest przedewszystkiem przyszłym rozwojem jutrzejszych spraw, wypadków i wydarzeń.

To jutro przedstawia się dziś każdemu inaczej, bo któż zdoła obliczyć wypadkową dążeń i usiłowań 70-milionowej ludności. Żywot jednostek porównywa się nie od dziś z pieszą wędrówką po stromych ścieżkach czasu aż do progu wieczności; może niezbyt kulawem okaże się porównanie życia zbiorowego z jazdą, najbardziej za naszych czasów rozpowszechnianą — z jazdą koleją żelazną. W razie spóźnienia czy zatrzymania pociągu, każdy przedstawiciel rozmaitych narodów poczyna sobie inaczej według wrodzonego usposobienia i odebranego wychowania. Słowianin czeka cierpliwie i zgadza się z góry na nieprzewidziane zwłoki, Francuz

szenrze i oskarża swój rząd, choćby kolej nie była państwową, Niemiec zapisuje całe stronnice w księdze zażaleń, Anglik domaga się przede wszystkim pieniężnego odszkodowania za poniesioną stratę czasu, Amerykanin rzuca maszynistę, opanowuje lokomotywę i rusza na oślep przed siebie, nie bacząc na zapory, które gotowe cały pociąg wykoleić.

Dla prawdziwej psychologii, dla przeniknięcia owej duszy amerykańskiej, o której rozpisują się dziś w powieściach, wspomnieniach, szkicach itd. różni, powołani i niepowołani znawcy — to i temu podobne porównania nie mogą mieć więcej znaczenia niż mnemo-techniczne środki dla pamięci.

Od niedawna, od chwili, kiedy grzmoty armatnie z pod Santiago i Manilli rozległy się donośnem echem po obu półkulach, od kiedy narodowa potęga Stanów Zjednoczonych, ich nadmiar sił i żywotności stwierdził się tem, czem stwierdzał się od początku dziejów — zdobyczną wyprawą; odkąd gwiazdzisty sztandar wiódł do szturm pułk ochotniczych milionerów, Stary Świat począł się liczyć z owem młodem społeczeństwem, w którym treść przeważa nad formą, kształt nad barwą; z tą względnie nową ziemią, na której przeszłość nie przygniata, ani nawet nie ciąży na dniu dzisiejszym, z nieuwzględnionym dotąd czynnikiem politycznym, gotowym ważyć się na wszystko, a tem samem zaważyć na szali światowych wypadków, kto wie, może przeważać ją na swoją stronę.

Do gry zwanej *Gioco del Mondo* zasiadł nowy partner. Zachodnia Europa troszczy się pilnie o poznanie owego nowego partnera. Angielskie dzienniki i czasopisma zapełniają się systematycznie rozprawami o bratnim narodzie, francuscy pisarze i myśliciele raz po raz zwiedzają północną Amerykę i wracają z tomami wrażeń *d'Outre-Mer*, Niemcy wysłały księcia krwi... na zwiady.

Każdy z owych zaproszonych lub zapraszających się gości ma swój właściwy sposób badania stosunków społecz-

nych i państwowych: dygnitarze na ucztach i galowych przedstawieniach teatralnych, wykwintni mistrze francuskiej prozy w salonach *fifth Ave* i w willach New-Port, profesorowie na odczytach, w aulach uniwersyteckich, spekulanci na giełdach, reporterzy wszędzie, gdzie tylko docisnąć lub wcisnąć się mogą.

W owych zabiegach i dociekaniach, nie wolnych od pochlebstw i umizgów, przebija wraz z gorączkową ciekawością, widoczny niepokój o stan posiadania bogactw i potęgi u możnych panów dnia dzisiejszego. Wschodnie narody dzieli przepaść kultury i obyczaju od zrozumienia amerykańskiego olbrzyma, syna zachodniej tylko cywilizacji.

Polak natomiast patrzy obojętnie na przebieg wypadków, na nowe ukształtowanie światowej równowagi i powtarza za prawym dziedzicem duńskiego tronu, wyzutym z ojcowizny przez gwałt i zbrodnię:

»What's Hecuba to him or he to Hecuba«.

AMERYKANIZM.

W przejeździe przez Stany Zjednoczone, od kanadyjskiej do meksykańskiej granicy, widzi się wiele rzeczy niezwykłych, zwłaszcza dla przybysza z Europy: gęstą sieć kolei żelaznych, a uderzający brak bitych dróg, najnowsze wynalazki w usługach codziennych potrzeb, obok świeżości, a niekiedy dzikości zwyczajów i obyczajów; swobodę, a nawet swawolę jednostek obok poszanowania władzy, nieograniczoną wolność osobistą wraz z silnym organizmem państwowym itd. Pociągi chodzą tam szybciej niż w starym świecie, afisze zajmują więcej miejsca, reporterzy zażywają większej powagi, służących zowie się pomocnikami »helps«, pieniądze czei się nie więcej, ale otwarciej i wyłączeniej, niż u nas. Wszystko to jednak mogłoby istnieć, lub istnieć będzie z czasem w Europie, nie stanowi właściwości zamorskich,

nie jest amerykańszczyzną bez przymieszki. Natomiast wiele wody upłynie w naszych rzekach, zanim u nas nabożeństwa żałobne będą się odprawiać... po cyrkach. Tam jednak odbyła się roku 1901 w Meksyku dziwna ceremonia, urządzona staraniem amerykańskiej kolonii i pod przewodnictwem amerykańskiego ambasadora, po tragicznym zgonie Mac-Kinley'a.

Jak wiadomo, wszelkie wyznania używają w Stanach Zjednoczonych równouprawnienia — obrzęd więc ku uczczeniu pamięci prezydenta rzeczypospolitej — aczkolwiek religijny, ale bezwyznaniowy — odbyć się musiał na gruncie neutralnym, a w sali dość obszernej, aby pomieścić licznie zgromadzonych uczestników.

Mimo posępnego nastroju, wywołanego żywym wspomnieniem świeżo przelanej krwi, trudno było oprzeć się zdumieniu na widok kirem obitej sali, przystrojonej chorągwiąmi o barwach narodowych, lamp zapalonych w biały dzień, jak na przedstawienie, i przesłoniętych krepą, dam w ciężkiej żałobie w łóżach i krzesłach, poważnych i skupionych, jak w kościele, i sceny zamienionej na estradę, na której zasiedli ławki i fotele miejscowi dygnitarze, oraz ciało dyplomatyczne, kapiące jak zwykle od złotych haftów i świecące orderowemi gwiazdami.

Mimo nudów, nieodłącznych od mów pogrzebowych, odczytywanych wspomnień pośmiertnych i protestanckich chorałów — trudno było stłumić śmiech w chwili, gdy przez drzwi wiodące do stajen, które zamienione na prędcę w rodzaj zakrystyi, zamiast uczonych koni, cyrkówek w krótkich spódniczkach i błaznów, wsuwały się chude postacie czarno ubranych i urękawiczonych pastorów, wygłaszających grobowym głosem, na znak dany młotkiem przez przewodniczącego, żale wszystkich dobrze myślących obywateli od Nowego Jorku po San Francisco, z powodu czynnej anarchii, rozbestwienia i upadku ludzkiej natury, oraz dające wyraz innym okolicznościowym uczuciom.

Nikt z Yankesów nie zrozumiał, a raczej nie odczuł niewłaściwości pomysłu, sprzeczności między miejscem a czynnością, niestosownego zestawienia niezgodnych ze sobą pojęć, gorszącego jednych, rozśmieszającego drugich, rażącego wszystkich tych, którzy nie urodzili się, ani wyrosli w krainie wybujałych dziwactw. Nikt nie poczuł się winnym wykroczenia przeciw przepisom dobrego smaku.

Po dwugodzinnem sławieniu zmarłego i złorzeczeniu jego mordercy, po psalmach zasyłanych raczej do jakiegoś międzywyznaniowego *Être Suprême*, niż do naszego Pana Boga, rozeszli się dygnitarze i szary tłum w przeświadczeniu spełnionego patriotycznego obowiązku, nie bacząc na to, że sposób odprawiania tych zaduszek zakrawał na parodyę.

Ten brak rozróżnienia między tem, co uchodzi a nie uchodzi, pogardliwe odstępianie od utartych form i przyjętych zwyczajów objawił się wówczas jaskrawiej niż zazwyczaj, jest jednak zjawiskiem codziennem i stanowi może najistotniejszą, w każdym razie najbardziej bijącą w oczy, cechę amerykańizmu — należy zaś przypisać go młodości rasy i społeczeństwa. Amerykanin jak dziecko chętnie płata figle, żartuje i wyśmiewa drugich w życiu potocznem i naodwrot sam jest bardzo czuły na każdy żart czy drwiny, ale zbiorowo i w działaniu publicznem nie ogląda się na względy i sądy ludzkie, widzi wszystko poprostu i patrzy na wszystko naiwnie, w cyrku gotów urządzać nabożeństwa i wzrusza ramionami, gdy pomysł, tak praktyczny, wydaje się innym niestosowny.

W tej obojętności tkwi siła i pewność siebie jak we wszystkich objawach amerykańskiego życia i myśli, lecz jest ona też źródłem niezrozumienia się i prawdopodobnych w przyszłości nieporozumień między Starym a Nowym Światem.

Być może, że Europa cierpi już dziś na starczą chorobę, która w ludzkim ciele zowie się zwapnieniem żył a w organizmach państwowych skostnieniem pojęć i ostu-

dzeniem uczuć, że powszechne pragnienie pokoju choćby nawet zbrojnego jest choroby tej dowodem i objawem; wartko płynąca i burzliwa krew najmłodszej z wielkich potęg światowych może najłatwiej zgotować niespodzianki, zapisać nowy rozdział w księdze dziejów, w której ostatnie znaczące wiersze nakreślił zwycięski Prusak pod Sedanem.

II.

LISTY Z MEKSYKU (1902—1903).

Monterrey, 1/I 1902.

.....

Z Meksyku do Monterrey jest około 30 godzin jazdy koleją żelazną. Drogę znałem dotąd tylko aż do Toluca, to znaczy trzy godziny od stolicy; jest ona górzysta i dość malownicza. Toluca leży na wysokości 10000 stóp nad poziomem morza. Może okolica obfitowała w najpiękniejsze widoki; w każdym razie nie mnie o tem sądzić, bo noc była ciemna, choć oko wykol, a z łózka — szuflady w wagonie Pullmana — nie wiele widzieć mogłem i w biały dzień. Wstałem o świcie i rozejrzałem się jeszcze o zmroku porannym w krajobrazie pagórkowatym i z rzadka posianym kukurudzą, miejscami porośłym kępami drzew nad brzegiem strumyków. O 10-tej dojeżdża się do San Louis Potosi. Poczem rozpoczyna się najnudniejsza w świecie 12-to godzinna droga, wśród wydm piaszczystych, kaktusów i palm karłowatych, bez mieszańców, bez życia, bez wody, bez zieloności. W ciągu tej podróży nie widziałem ani jednego śladu dzikiego zwierza. Najpospolitsza wrona byłaby tu przedmiotem podziwu i rzadkości, gdyby aż tu zalecieć chciała i gdyby się znalazł ktoś... podziwu zdolny. Rawskie mogłoby uchodzić w porównaniu z tem, za malowniczy kraj, coś w rodzaju Szwajcaryi.



Pod Monterrey: chłopcy meksykańscy.

Monterrey jest z pozoru, jak z istoty, raczej amerykańskim niż meksykańskim miastem. Ruch fabryczny i przemysłowy rozwija się tu z każdym dniem. Stosunki, które zbadać miałem, przedstawiły mi się w korzystnym świetle. Budynki i ludzie mają cechy prowincjonalizmu; katedra we włoskim stylu, świeżo, lecz skromnie odnowiona, kościół Sta Maria Roble, czysto romański, jedyny ponoś w swoim rodzaju i rysunku w Stanach zjednoczonych amerykańskich, oraz t. zw. Opisbado, letnia, dziś opuszczona i nawpół zburzona rezydencya biskupia, na bezludnym i bezlistnym pustkowiu górzystym, stanowią jedyne osobliwości godne zwiedzenia. Prócz tego place, skwery, banki i wystawy sklepowe jak w San Antonio, lub Indianapolis.

.....

Meksyk, 18/III 1902.

...Od czasu ostatniego mojego listu, zaszedł tu niejeden ewenement. Byłem w Veracruz na uroczystem otwarciu portu zbudowanego nakładem 39 milionów meksykańskich dolarów.

Wystąpiłem, jako *chergè d'affaires*. Wystarałem się o oficjalne zaproszenie i osobnym pociągiem dla zaproszonych puściłem się wraz z innymi w drogę. W Veracruz nocleg i obiad u Anglika przedsiębiorcy, jednego z tych Anglików, którzy po całym świecie budują mosty, koleje, porty, obwałowania i t. d. a przytem kładą granitowe podwaliny nie tylko własnej zamożności, ale także przyczyniają się do wielkości Anglii. Sir W. D. Pearson upodobał sobie widocznie moje towarzystwo, bo sadzał mię kilka razy z rzędu obok siebie, choć mówi sam tylko językiem Szekspira, a ja ledwie jąkać tą mową zdołam.

Nazajutrz rano przyjazd dworskiego — nie, raczej prezydyalnego pociągu, z samodzierżcą Meksyku, jenerałem Porfirio Diaz, ministrami, dygnitarzami i t. d. Prosto z dworca maszerujemy za prezydentem, wśród Indyan cisnących się zewsząd, żeby władcę zobaczyć, po niemiłosiernym bruku (zawsze przypomina mi się w takich razach tarnowskie »na Burku«). Ministrowie i inni wielcy ludzie według indywidualnego usposobienia, usuwają się na bok,



Domostwa Meksykańskie w pobliżu Monterrey.

dając ludowej fali płynąć swobodnie, albo przeciskają się przez tłum dłuższym kłusem po kamieniach i poprzez rynsztoki, nie umiejąc ukryć niezadowolenia z powodu bezładnej ciżby i zapewne rozbolałych nagniotków. Słyszę mimochodem najbardziej cywilizowanego z ministrów, p. L. ministra skarbu, mówiącego po francusku, by go tłum otaczający nie rozumiał, do swego kolegi generała M. ministra robót publicznych: *On dirait mon cher, que vous ne connaissez pas votre pays. Quand avez-vous eu l'occasion de voir à Veracruz un autre pavé et une foule plus disciplinée.* Istotnie zagdniony jest czerwony ze zmęczenia, szary, czy biały z kurzu, a zielony ze złości; jest to więc chodząca, a zwłaszcza sapiąca chorągiew o barwach narodowych.

Na groblach kamiennych, gdzie prezydent i jego orszak się zatrzymał, panuje taki ścisk, że trwożliwi — a w ciele dyplomatycznym takich zawsze jest kilku — boją się wparcia przemocą do wody. Ale policya rozdaje szturchańce i kulaki, fotografowie nastawiają aparaty, tłum kołysz się, szmerze, to znów krzyczy: Niech żyje Meksyk! Niech żyje Prezydent! — ten i ów, grube ryby udają, że są zachwycone; jednym słowem rzecz przybiera normalne formy, przeradza się w zwykłe entuzyastyczne przyjęcie, w prawdziwą ludową uroczystość. Zwiedzamy dalej port nic nie widząc, bo widok zasłaniają nam setki głów i śpiczastych kapeluszy, i nic nie rozumiejąc, bo niema komu nam cokolwiek wytłómaczyć, ale zato potykając się na deskach, belkach, łańcuchach, kamieniach i t. d., których usunąć nie zdołano. Wreszcie zajeżdża *Nereida*, mały statek, na który siada Prezydent ze swym sztabem, z gabinetem, ciało dyplomatyczne, którego członkowie czynią zbiorowe, rozpaczliwe, a przez długi czas bezskuteczne usiłowania odszukania Japończyka, wiecznie roztrągniętego, fotografującego i nie mówiącego żadnym ludzkim językiem prócz angielskiego; lecz nie tak, jak się mówi w Londynie, Edynburgu, Dublinie, lub chociaż w Nowym Jorku, czy San Frisko, ale tak, jak wymawiają powszechnie między...

Honkkongiem, a Yokohamą. Do uprzywilejowanych zalicza się szwagier prezydenta, »książe krwi«, jak go nazywam ku uciesze dyplomatów; w ostatniej chwili wskakuje i reporter. Wszyscy inni dygnitarze, gubernatorowie rozmaitych Stanów, urzędnicy, posłowie, wojskowi, płyną za nami. Zwiedzamy port, arsenał jeszcze z XVIII wieku w stylu Vauban'a, teraz naprawdę widzimy i podziwiamy ogrom pracy. Prezydent w doskonałym humorze, wszystko widzi, o wszystko rozumnie się pyta, kłania się publiczności wznoszącej wiwaty na jego cześć, gawędzi z tym lub owym. Dla uniknienia pozoru natręctwa trzymamy się w kilku na uboczu, lecz wśród przejażdżki następuje zmiana miejsc i sam generał wszczyna rozmowę z posłem belgijskim, którą jednak ja podtrzymywać muszę, bo prezydent mówi tylko po hiszpańsku a Cte de B. bardzo słabo włada tym językiem. Wątku dostarcza świeżo odbyta podróż nasza na południe, gdzie są rodzinne strony generała, oraz pole pierwszych jego wojennych czynów i odznaczeń. Wspomnienia młodości przybierają więc postać anegdotek. Przekąska podana w arsenałach, zwiedzanie wszystkich grobli, zabiera sporo czasu. Trzeba lądować, bo i na stałym lądzie jest jeszcze wiele do zobaczenia i »otwarcia«. Zanim statek przybył do brzegu, prezydent mimo swoich 72 lat, wyskakuje z okrętu jeszcze w biegu, lecz wolniejącym; nie tak zgrabni są inni, a najmniej dyplomaci, niektórzy dostają zawrotu głowy na widok kładki, po której lądować wypada. Czyżby przypisać należało ten stan chronicznej skłonności do zawrotów?

Żołnierskim krokiem zmierza generał Diaz do budynków, które mu jeszcze według programu zwiedzić wypada; pokazują mu gmach celny, poczt, telegrafów i t. d., wszystko w związku. Gabinet nawet nie kusi się o zachowanie pozorów: wywieszzone języki, bezmyślne oczy, pochylone głowy, świadczą ujemnie o świeżości umysłu i ciała tych panów. Znać, że kanapa i umywalnia, to bieguny, około których kręca się ich myśli. Na ten dobrze zasłużony spoczynek wy-

znaczono ledwie pół godziny. Potem zbieramy się w liczbie około 250 na dwa krótkie, ale nudne odczyty bez istotnej treści i wartości, i na obiad. Do stołu prezydenta zasiadamy w szesnastu, niżej reszta, 250 przeszło osób. Ja znowu koło sir W. D. Pearsona. Dwa tylko toasty, ministra robót publicznych i prezydenta, przerywają jednostajny brzęk szkła, szcęk sztućców i głuchy szmer przyciszonych rozmów. Mowy nie zawierają nic nowego; generał Diaz się rozczula, ale to jego zwyczaj, czy słabość. Po obiedzie wraca on na stację i stamtąd prosto do Meksyku, my zaś raz jeszcze przejeżdżamy się na morzu, wśród pogody, która dopiero pod wieczór wyrzała z za szarego kwefu chmur i mgły. Wieczorem nieodzowne oświetlenie miasta i znów obiad u Pearsona.

Po obiedzie wracam do stacji, później od mego towarzysza posła belgijskiego. Zaprzyjaźniłem się z nim bardzo; jest to miły, dobrze wychowany, prosty, dowcipny i rozumny człowiek, ale nie... zuch. Zastaję pokój oświecony, Vte de B. leży już od dawna w łóżku przycajony w kącie, a po pokoju przechadza się jakiś nieznan mi jegomość. Nie wiele myśląc, nie mówiąc ani słowa, łapię go za kark, używam podeszwy jako dźwigni i tak, zamieniwszy się w katapultę, przeprowadzam tajemniczą osobistość na kurytarz. Nazajutrz pokazało się, że byłem niemal bohaterem, a przedewszystkiem oswobodzicielem p. de B. Był to indyjski służący jednego z gubernatorów przybyłych z prowincyi. Upił się na cześć szczęśliwego skończenia robót portowych i zawieruszył się gdzieś w chwili odjazdu swego pana. W nocy zaś, wytrzeźwiawszy po części, przechadzał się po pokojach gościnnych z nieodstępnym rewolwerem jak każdy z jego ziomków, próbował drzemki w łazience, ale widocznie trapiła go bezsenność i troski o jutro, bo chodził z kąta w kąt nie wiedząc sam czego chce; oczywiście jego bliźni wiedzieli to jeszcze mniej. Wicehrabiego B. odwiedził był przed mojem

przyjściem już trzy razy, ów zaś, nie mógł się z nimi rozmówić. Dowiodłem, że w danej chwili lakonizm pewien ma swoją wartość.

.....

San Blas, 13/V 1902.

Za towarzyszków podróży mam młodego B., z którego domu pisałem ostatnim razem, i młodego Franciszka p. Lecoq, który tu jest u dobrych znajomych hr. N. de L. na praktyce gospodarczej w plantacji kawy. Miła i prosta, nie skomplikowana natura... Ledwie dowiedziano się kim jestem, sekretarz rządowy, rodzaj wicegubernatora, wznosił toast na moją cześć, mego poselstwa, rządu, który przedstawiać pomagam i nowonawiązanych stosunków dyplomatycznych.... Dyplomacya traci codzien na istotnej wartości, a raczej na wadze, tembardziej obowiązująca jest towarzyskość i nawiązywanie dobrych, acz może nieco czezych, a w każdym razie pobieżnych stosunków, nietyle międzynarodowych, ile międzyludzkich.

Po napisaniu listu do mamy z Tepic, (a mamunia wie, że listy zabierają mi wiele czasu), pojechałem z synem gospodarza na południowe corso, wieczorem poszedłem na przechadzkę wokoło głównego rynku, na wprost katedry gdzie się spotyka całe towarzystwo. Po obiedzie poszedłem z chłopcami Barron i synem gospodarza na bal, który urządzała sfera zwana tu »mediosieto« czyli półjedwabna, która odpowiada znikającemu u nas mieszczaństwu kapotowemu. Feta odbywała się na cel, czy pod pozorem dobroczynności, panny przebrane za żandarmów prowadziły za najdrobniejsze przewinienie, jak: za palenie papierosa, nakrycie głowy kapeluszem i t. d., przed niewieściego sędziego, zasądającego na miesiące i lata więzienia lub na grzywny w wysokości 10 ct. Dziewczyny ładne i jakkolwiek proste, nie prostackie. Oczywiście wprowadziłem w to nieco zbyt spokojne towarzystwo nasze ożywienie i po godzinie

zamętu wysunąłem się, bo już czekał (około 11-tej) dylizans mający nas zawieźć tutaj. W gwieździstą, ale bezksiężycową noc wypadła mi droga, nie widziałem więc nic krajobrazu, zwłaszcza, że tumany kurzu otaczały kocz ze wszystkich stron. Wiem tylko, że droga równie karkołomna jak do Tepic'u i że poczułem się w gorącej strefie w pół drogi, a to nie z powodu upału, lecz przeciwnie, z przyczyny dotkliwego, a nawet przenikliwego zimna, właściwego podzwrotnikowym nocom. Spotykamy w ciasnych wąwozach wozy zaprzężone w trzy pary wołów i napełnione kukurudzą; żeby się minąć, trzeba odwalać ogromne kamienie na drodze. O świcie majaceją już zielone pióropusze palm i leśne gąszcze oplecione siecią lian. Roślinność jest cokolwiek obumarła, bo od miesięcy nie padał deszcz, to też w lesie widać dosyć daleko pnie i gałęzie огоłocone z liści. Droga dłuży się; na miejscu stajemy aż o siódmej. Według reguł tutejszej higieny, której się stale i wszędzie trzymam, nie trzeba kąpać się mimo największej ochoty zaraz po przyjeździe, bo pył przylega kilku warstwami do ciała i woda nie zdolna go zmyć odrazu; przeciwnie, zatyka pory, a potem wywołuje gorączki i t. d. Chcąc nie chcąc, trzeba się wstrzymać, czekając na chwilę ożywezą. Po śniadaniu i wizytach półurzędowych, w których przesadzam się w grzecznościach z urzędnikami miejscowymi, pierwsza wycieczka na pełnym morzu. Góry wznoszą się w kilku piętrach, pokrytych lasem obfitującym w cedry, drzewa mahoniowe, hebanowe i t. d. Lasy te jednak jakkolwiek widzę je gołem okiem, są conajmniej o dzień drogi od San Blas. W tych lasach można jeszcze strzelać jaguary i jeżeli dłuższy czas w Meksyku zabawię, mam nadzieję na nie zapolować, ale nie tym razem...

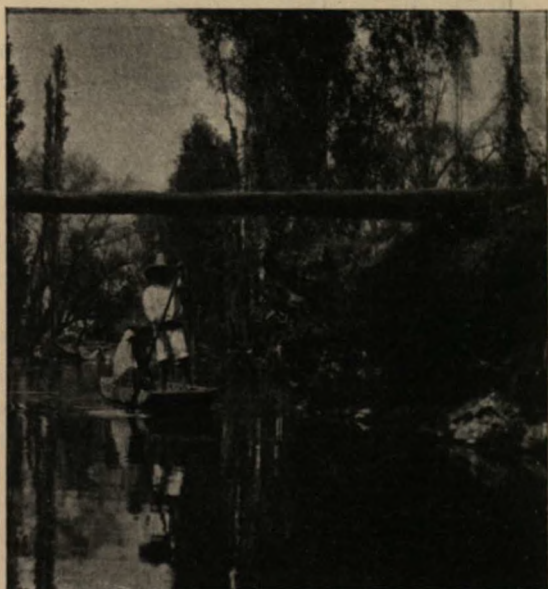
Tepic, 19/V 1902.

...Na trzeci dzień wybrałem się — zawsze w towarzystwie p. Lecoq, którego sylwetkę moralną prześlę mamie później — do wioski zwanej Miramar. Czas był cudny, fale

lekkie rozkołysane, widok na coraz to nowe i coraz to wyższe pasma gór, zarosłych palmami i innymi okazami podzwrotnikowej roślinności, a w górze błękitniejące w przeźroczem powietrzu, cudowne niebo. W czasie jazdy upatrywaliśmy napróżno trójkątnych pletw rekinów, tak częstych jednak w tych wodach, a widzieli jedynie ciekawe i dotąd mi nie znane ptactwo wodne, nurkujące od czasu do czasu za rybami, oraz olbrzymiego zółwia. Po dwu godzinach stanęliśmy o kilka staj od Miramar. Nie miałem jednak zamiaru lądować i wróciliśmy do San Blas w sześć godzin, bo wiatr był opadł zupełnie i trzeba było wiosłować, a dalej płynąć zygzakiem, żeby wyzyskać najłżejsze podmuchy wiatru. O zachodzie słońca stanęliśmy zgłodniali — bo siedliśmy do łódki o 10-tej przed południem — w małej przystani opodał hotelu, gdzie po kąpieli zasiedliśmy do wczesnego obiadu. Nazajutrz Otton Barron urządził wyprawę łódką do tak zwanego Esteros. Rzeka Santjago wpadając o kilkanaście kilometrów od San Blas, tworzy cały szereg odnóg, które nasunęły mi porównanie z naszymi Dunajczyskami *en grand*. Barron urządził tę wyprawę na cześć trzech panien, z których jedna jest jego »novia«. Trzeba znać Hiszpanię i kraje hiszpańskiej kultury oraz obyczaje, by zrozumieć dokładnie znaczenie tego wyrazu. Novio i novia, nie są narzeczeni, a raczej ich stosunek nie koniecznie musi kończyć się małżeństwem, nie przeradza się on też zazwyczaj w »rzeczy złe i zdrożne« o których mówią nam książki nabożne — jak wyraża się Słowacki. Najlepiej porównać go można z flirtem, rozumianym i zastosowanym, tak jak się to dzieje w Anglii, a jeszcze bardziej w Stanach Zjednoczonych, tylko w krajach hiszpańskiej mowy jest on instytucją uznaną i uświęconą wiekowym obyczajem. Novia Ottona B. p. Eleonora V., ma zupełnie północny typ: jasne włosy i niebieskie oczy, oraz płeć taką, jaką miewają panny u nas, gdy ją mają ładną. Jej siostra jest z tych, których się nie spostrzega odrazu i tylko widzi, ale nie spoziera na nie, ani straciwszy z oczu nie pamięta.

»Ta trzecia« kuzynka, ma czarne oczy, włosy, śniadą skórę, małe i ładne ręce pokłóte zresztą przez plagę wybrzeża, a jest nią malutki owad, »lichen«, istny wampir pojący się krwią ludzką i wystawiający ludzką cierpliwość na niezwykłą próbę. W towarzystwie tych panien staje do opieki rodzina liczna jak szkocki klan, w której chude i zażywne ciotki, zatabaczone wujaszki, nieuczesane i nieumyte bębny, grają przeważną, a uciążliwą dla reszty towarzystwa rolę. Władowanie ciotek zabiera wiele drogiego czasu, tem droższego, że od hotelu ciągną się jeszcze liczne postacie, związane może, a nawet prawdopodobnie, węzłami pokrewieństwa z rodziną puszczoną na fale, a tem samem mogące sobie rościć prawa do miejsca w pełnych już pirogach, »piroque«. Rozwiązujemy więc czemprowadzimy węzły lin, które łączą nas ze stałym lądem i wjeżdżamy całą siłą wiosła w..... istną idyllę. Brzegi Esteros porośnięte gęstym, niekończącym się gajem drzew zielonych, wśród których pożółkłe liście świecą w zachodzącym słońcu jak pomarańcze. Dziwaczne, a nieznanne ptaki przelatują nad głowami z jednego brzegu na drugi, świergocą, kraczą i skrzeczą; tu i owdzie pluska się w wodzie potężna ryba, albo miga wśród fali żółtawo skorupa. Ciszę przerywa plusk wiosła, i proste melodie narodowych pieśni wygrywanych przez wiejską orkiestrę usadowioną w drugim czółnie. Po godzinnej jeździe wysiadamy na brzeg i po tamach ubitych z kołków, ziemi i łożyny, podążamy do nadrzecznej folwarku, czy leśniczówki, gdzie w cieniu palm i małej kokosowej plantacji zachwycamy się widokiem dziewiczego lasu. Czerwień nieba zwiastuje blizki zmierzch, toteż cały batalion matek trąbi, piszczy na odwrót, zbiera i rozdaje chustki i wyrusza tą samą drogą przy dźwiękach narodowego jarabe (charave) do czółen. Woda odbija w zmieniających i pomarszczonych falach barwne fantasmagorie rozognionego nieboskłonu. Zanim stanęliśmy w San Blas, już księżyc osrebrzał obłoki na niebie, morskie fale bijące o głazy i cichy nurt rzeczny.

Nazajutrz ruszyliśmy tą samą łódką, w tym samym kierunku, nie już w towarzystwie dam, ale uzbrojeni w strzelby na ptaki brodzące w wodzie, lub przelatujące z drzewa na drzewo. Nasza nierozdzielna trójka, złożona z Barrona, Lecoq'a i mnie, miała niestety wcale nieodpowiednią broń na taką ekspedycję. Moi towarzysze mieli



Na Esteros.

amerykańskie sztucce, ja zaś długi, ciężki, wojskowy karabin i do tego kule częścią gładkie, częścią ekspansywne. Oczywiście strzelałem bez skutku, a tylko Francuzik, istny Nemrod, zabił kulami dwa ptaki, których ani nazwać, ani opisać nie byłbym zdolny. Ale zato co za widoki, co za fauna, co za flora! Gaje rosnące zwartym gąszczem na przestrzeni kilku mil wzdłuż rzeki, lśnią świeżą zielonością czerpaną

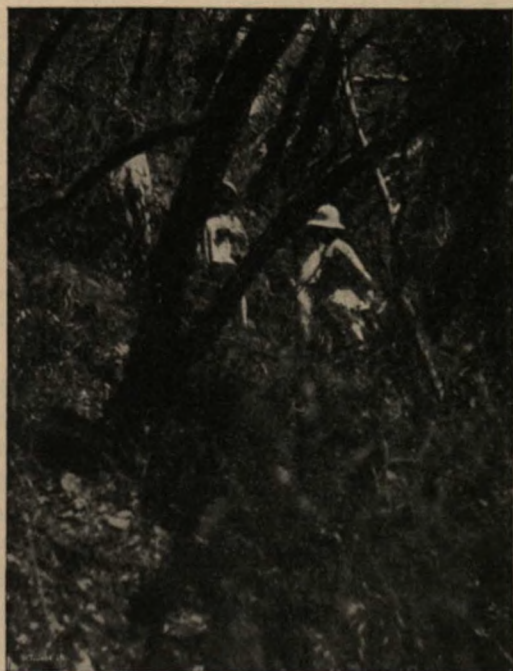
w wilgoci, w której rosną i ozłacane zawsze promiennem, rzadko chmurami przesłoniętem słońcem. Co zaś tyczy się ptactwa błotnego, jest to poprostu raj dla myśliwskiej duszy. W malutkiem czólnie przechylającym się co chwila to na tę, to na ową stronę, siedzimy patrząc, ażali nie wychynie się z wody trójkątna paszcza krokodyla, skorupa żółwia, i czy czaple, kormorany, dzikie gęsi, łabędzie, papugi, sępy, orły, *des garmes* (pewnie papa wie, jak się zwą po polsku) nie zbliżają się na strzał. Widziałem całe stada ptaków podobnych do czapli, o białych czubach, to znowu o skrzydłach różowych, jak pierwsze promienie jutrzeńki; ptaki niebieskie, zielone, nakrapiane, i t. d. i t. d. Póki życia tego nie zapomnę...

Yatlán del Rio, 22/V 1902.

...Po wycieczce myśliwskiej na jednym z Esteros, nie było celu w przedłużaniu pobytu w San Blas. Kulami strzelać do ptaków, nawet dużych i nie płochliwych, jak się o tem przekonać miałem sposobność, było to po prostu strzelać na wiatr; a miałem ci wprawdzie jeszcze jedno zaproszenie na polowanie w górach, ale wolałem połączyć je z ekspedycją w inne strony i odwiedzinami u Francuzów. W przeszły czwartek ruszyłem więc znowu na całą noc z powrotem do Tepic. Jednego towarzysza, Ottona Barron zostawiłem w San Blas, drugi, Lecoq jechał wraz ze mną. Droga, którą poprzedniej nocy przebyłem, prowadzi przez las na przestrzeni 5 godzin jazdy.

Zapewne bywają w podróży chwile nadmiernego zmęczenia i zniecierpliwienia, w których zadaje sobie każdy pytanie, dlaczego wystawia się na te drobne, ale nieustanne dolegliwości, bez naglącej potrzeby — ale taka chwila, jak wspomniany przejazd przez duży szmat dziewiczego lasu w księżycową noc, opłaca sowicie wszystkie troski i przykrości wywołane podróżą. Cienie w takim borze i w takim oświetleniu, układają się zupełnie inaczej, niż gdziekolwiek indziej; ślizgają się w okół pni jak węże, czół-

gają się i przypadają do ziemi po ciemnych kątach, jak drapieżne zwierzęta, przeskakują z drzewa na drzewo jak wiewiórki; światło prześwieca tu i owdzie centkami, niby skóra lamparcia rozpięta na gałęziach. Jak mi mówił właściciel tych lasów, ma on conajmniej 100 jaguarów w tych



W dziewiczych lasach Meksyku.

60.000 hektarach, które ciągną się głównie nad brzegiem morza. Polowanie na nie jest możliwe jedynie przy księżycu, na zasiadkę, a teraz łatwiejsze niż po inne czasy, z powodu posuchy, mniej jest bowiem miejsc gdzie jaguar sam pić przychodzi, albo łowić zwierzynę pijącą u źródła. Mimowoli wyobraźnia podniecona temi opowiadaniem, widzi w gą-

szczach i poprzez zarośla, rozszerzone kocie źrenice, choć lampart, jak wszystkie zwierzęta, unika prawie zawsze człowieka, gdy może, i niechętnie przebywa w okolicach uczęszczanych przez pieszych, jezdnych i zwłaszcza wozy. — Lecoq śpi jak zabity; obudziwszy się zaś, próbuje nawiązać rozmowę i ożywioną wymianę słów, myśli, uczuć, oraz wszystkiego, co w czasie jazdy dyliżansem wymieniać można i wymieniać wypada, z trzema zaspanemi i owiniętymi w chustki towarzyszkami podróży. Brzask pouczył nas dopiero, o tem, że i nad Pacyfikiem wszystkie koty bywają po ciemku bure, Lecoqowi przysporzył doświadczenia, a mnie sposobności ułożenia na prędcie *un conte drolatique*, którym według recepty Klaczki zabawiałem przy czarnej kawie i cygarach towarzystwo zebrane w domu Barrona.

Nazajutrz o 7 rano ruszałem wraz bar. de L. w wysokie góry do plantacyi kawy »El Malinal«, na której wraz ze swym współnikiem dorabia się majątku. Droga na mułach, lub koniach, trwa pięć godzin, prowadzi ścieżkami poprzez przetrzebione sosnowe lasy i pastwiska, na których chude bydło szuka niezbyt obfitej paszy i przypomina bardzo nasze karpackie podgórze, jak tylko palmy znikną z oczu i zanim pojawią się kawowe krzewy. Cały Malinal (około 1000—1500 hektarów) jest obwiedziony ciernistym drutem, nazwę ma od niejakiej trawy podobnej do sitowia, rosnącej na stokach gór. Cała posiadłość składa się z 5 ogromnych parowów, na dnie których rośnie kawa. Krzewy te ocienione są drzewami, a także rośliną rodzącą banany, posadzoną umyślnie w tym celu. Tam, gdzie parowy się krzyżują, istnieje mała polanka, na której pobudowano domy współników, hr. H. de T. i bar. de L., spichlerz na kawę w tej chwili pełny, bo właśnie zbiór ukończono, kuchnię, mieszkanie praczki i dom, gdzie mieszka rządca i praktykant Lecoq; stajnię dla mułów i koni, zagrodę dla krów, dalej t. zw. beneficio, czyli betonowe stawy i tarasy do płukania i suszenia ziarna i oto wszystko.

Do Malinal prawie nikt nie zagląda; hr. d'A. sekretarz francuskiego poselstwa spędził tam kilka dni, ale ponieważ nie umie chodzić po górach, nie jest myśliwym i nie interesuje się gospodarstwem, czuł się tak nieszczęśliwym, że męczył sam siebie i drugich swą obecnością. Ja natomiast wzyłem się w to życie po upływie pierwszych trzech godzin. Pierwszego dnia deszcz lał jak z cebra, przekonałem się też odrazu, że gospodarstwo czy nad Dunajcem, czy nad Pacyfikiem, jest tą samą czynnością. Chodzić po deszczu, wszystkich łajać i na wszystko zrządzić, oto treść życia de L. Polowanie zaś zasadza się na kroczeniu z wertepów w wertepy z ciężką strzelbą na plecach, na badaniu śladów i tropów w błocie i kurzu i na nabyciu doświadczenia, że zwierzyny jest mnóstwo, ale że spotkać się z nią niepodobna. Spędziłem tak trzy dni, chodząc tyle, że wprawiałem w podziw gospodarzy, którzy mimowolnie przejęli się przekonaniem, że dyplomaci to szereg międzynarodowych niedołęgów moralnych i fizycznych. Ja sam jestem tego zdania, ale przecież zdarzają się nawet i w tym wypadku wyjątki.

Widziałem resztki szkieletu krowy, którą pożarł amerykański lew, puma, a prócz niej trzy psy, które również złakomiły się na ten kąsek. Lecoq, jeden z najlepszych myśliwych, jakich w życiu spotkałem, poszedł i o 30 kroków odemnie zabił dzikiego indyka, ślicznego ptaka o barwnem upierzeniu, który jest prawdziwym specyjałem, gdy go się starannie upiecze. Natomiast nie spotkałem się z żadną inną zwierzyną, choć widziałem tropów wiele, a pod wieczór słyszałem całą leśną orkiestrę najrozlicniejszych ptaków i czworonogich zwierząt. Odkąd jestem w Meksyku, nie spędziłem równie zdrowych dla mnie chwil. Kąpiel o świcie w beneficio, angielski breakfast, potem marsz aż do śniadania, częścią pieszo, a częścią konno, czasem w potoku podobnym do Wołowacza druga kąpiel, śniadanie o 1-szej, nowa wyprawa po południu, przebieranie się, obiad i dosyć długa gawęda przy fajce, czy cygarach, w późną noc. Oto program dnia i życia,

którem żyłbym najchętniej ze dwa tygodnie, aż do spotkania się z pumą i lampartem. Jeżeli też mam jeszcze rok tutaj zabawić, wrócę do Tepic i do Malinal z pewnością w tym celu. Dodaję, że takie wyprawy dają jedynie sposobność poznania kraju i ludzi, których w Meksyku nie zna nikt, nawet rząd Meksykański. Wezmę teraz zupełny rozbrat z życiem towarzyskiem w stolicy i każdej wolnej chwili i każdego grosza, który miałbym wydać w mieście, użyję na poznanie kraju, na który dyplomaci wygadują chórem, nie znając go. Chciałbym jeszcze skreślić mamie sylwety moralne ludzi spotykanych, ale to już chyba za powrotem do Meksyku. Wczoraj przesiedziałem 16 godzin — od 1-szej w nocy, do 5-tej po południu na ławeczce dyliżansu bez oparcia, ale dziś wypocząłem doskonale...

Meksyk, 29/V 1902.

...Z Meksyku już kończę opis mojej podróży. Ostatni raz pisałem do mamy z Yxtlán-del-Rio z domu L...ów. We wtorek, 20. b. m. wstałem o świcie, wykapałem się znowu w beneficio, czyli cembrowanej sadzawce do płukania kawy i zabieram się do ubierania; w tem, istna katastrofa — spodnie do konia skurczyły się, ściągnęły, zmałyły, żadną miarą wdziac ich nie można. Pokazuje się, że indyjska praczka w Malinal rozróżnia tylko dwie barwy jak nasze Maryński i Kaški »corne i siwe«; otóż »corne« ubranie trzepie się prętem, lub czyści szczotką, »siwe« natomiast się pierze. Nieszczęsny traf zrządził, że sukienne spodnie i skóra są »siwe« i dlatego poszły do balii, a potem na sznur do słońca, co jak wiadomo, spodniom nie służy. Po daremnych usiłowaniach, dałem za wygraną i w pożyczonem ubraniu dojechałem około 1-szej po południu do Tepic. Zajechałem znów do domu Barrona i po śniadaniu, oraz toastach na cześć inżyniera amerykańskiego, który przyjechał w celu studyów nad przyszlą drogą żelazną, ułożyłem się do snu, bo nie spałem w czasie podróży więcej nad 5 godzin na dobę. Słu-

żący Barrona budzi mnie po chwili oznajmiając, że dylizans zamówiony przez całą rodzinę na jutro, a na dziś prawie pełny (miejsca jest zaledwie na 9 osób, a już 7 zamówiło się zawczasu), że więc trzeba odłożyć odjazd do trzeciego dnia. Na to zgodzić się nie mogę, nie mam czasu, ni ochoty na przedłużanie pobytu, zamawiam więc ósme miejsce, pakuję się i żegnam na gwałt i o 1-szej w nocy gramolę się



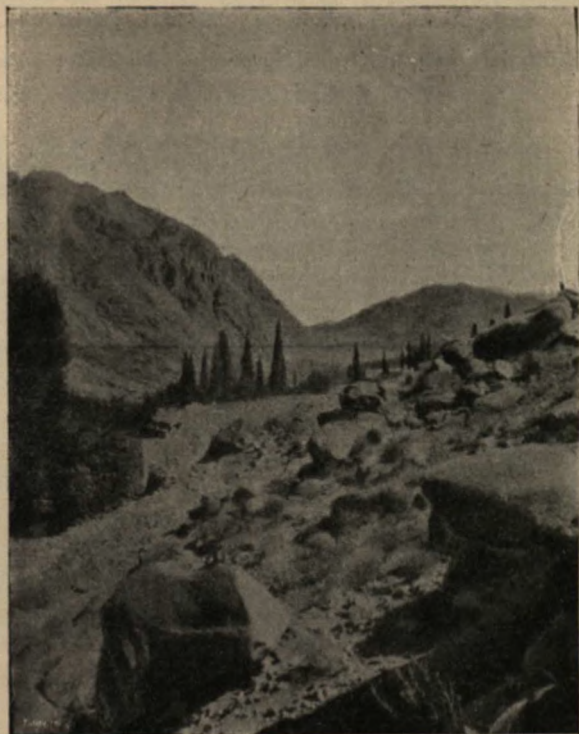
Dylizans meksykański.

do ciemnego jak komin wozu. Najlepsze siedzenia z oparciem zajęły z tyłu dwie grube jejmoście i gruby, ale cichy i zawojowany mąż jednej z nich, który zadawalniać się musi brzeżkiem; na przodzie ciśnie się również troje osób w meksykańskich kapeluszach, które co chwila zsuwają się na moje kolana; obok mnie mieści się dziecko wierzgające we wszystkich kierunkach, papuga owinięta w brudny ręcznik i klatka z kanarkiem. Pod nogami suwają się tobołki niczem nie przywiązane, ani przytrzczone, oraz rozmaite nogi wy-

suwane raz z jednego, to znów z drugiego kąta. Ledwie ruszyliśmy się z przed poczty, wszyscy zaczynają wozić żydów: ten lub ów próbuje spać, a nawet chrapać, aż tu stara wiedźma naprzeciwnie mnie, rozczochrana, brudna, chuda i nad wszelki wyraz szpetna, która zamiast na łopacie wołała dla uprzykrzenia się towarzystwu podróżować pocztą, zaczyna nosowym amerykańskim akcentem rozmowę, preradzającą się wkrótce w monolog, wobec którego najdłuższy znany monolog na scenie, ów z Hernaniego, jest zaledwie wykrzyknikiem. Księżyc w pełni oświeca złowrogo całą grozę położenia.

Księżyc zaszedł, słońce wstało, stanęło w zenicie i znów chyliło się ku zachodowi, zanim dojechaliśmy do celu podróży, t. zn. do Yxtlán. Zrozumiałem wtedy — w czasie tych 15 godzin drogi, że nie każdy tutaj rozumie, dlaczego podróżuję w tych stronach bez koniecznej, nieodzownej potrzeby. — Wieczorem po ciekawej rozmowie z p. L. próbowałem nie zasnąć przy obiedzie ze względu na panią domu, młodą i dosyć ładną Francuzkę, mieszkającą od lat dwunastu w Yxtlán — dokąd przyjechała wprost z Paryża. Dzięki wysiłkom woli i systemowi de Toto, zalecanemu w *la Semaine des enfants*, udało mi się to aż do czarnej kawy; poczem papieros coraz częściej wypadał z ręki, a rozmowa słabła. — W 12 godzin później, przepakowałem torbę po raz 25-ty conajmniej i wzięwszy grzebień, szczoteczkę do zębów, proszek, do jednej, pulares do drugiej kieszeni, zjadłszy śniadanie znów u L. i zapewniwszy ich o wiecznej wdzięczności, ruszyłem wózeczkim z nowym amerykańskim inżynierem, który ofiarował się podwieźć mnie o 2 godziny drogi do Castellane, kopalni srebra i złota. Nie wiem jak się ten dobroczyńca nazywa, on również nie wie kto jestem, ale w tych krajach trzeba sobie nawzajem pomagać. W San José de Gracia nowe zapewnienie dozgonnego zobowiązania; Amerykanin rusza w swoją drogę, a ja siadam na muła, przedemną Porfirio popędza, sam na mule, trzeciego muła niosa-

cego łożko polowe i prowianty, które dali mi nieocenieni L. — Mulica moja była stara, dychawiczna i doświadczona; musiała odbyć drogę w którą się zapuszczałem ze sto, a może tysiąc razy. Porfirio w słomianym kapeluszu, zgrzebnej ko-



Krajobraz meksykański.

szuli i szarawarach ukraińskich rozmiarów, był również stary i dychawiczny, ale częste libacye odebrały mu pamięć i pozbawiły doświadczenia; na wszystkie zapytania odpowiada zdaniem, które w Meksyku jest częstszem od wszelkiej innej odpowiedzi: *pues señor quien sabe?* (jednak panie kto

to może wiedzieć?). Natomiast jego bydlę jest młode i przedsiębiorcze i zamiast pod górę, skręca w krzaki i kieruje się z powrotem do stajni. Porfirio napróżno prosi i groźbą stara się nakłonić je do powrotu na prawą drogę i dokazuje tego dopiero za pomocą gonitwy po wertepach i kłatw, od których nietylko uszy, ale i wszelka roślinność zwiędnąćby musiała, gdyby o tej porze roku i w tej okolicy coś zielenić się mogło. Wobec tego ruszam naprzód »zawsze jednym torem« przekonawszy się, że dość krzyknąć starej w ucho »Polka, à la Castellana«! — żeby mnie tam bez zmylenia drogi, wśród ścieżek, głązów, kurzu i piasku zaniósł. Jak zasięgnąć okiem ciągną się na wszystkie strony wzgórza wulkanicznej formacji, kamieniste, ogołoczone z trawy i krzewów, na których rosą rzadko rozsiane drzewa — klony i platany, gdzieś tam sosny i nieznane mi gatunki szpilkowych drzew. Nigdzie nie dojrzysz zagród, ni domów, tak, że wędrowiec zadaje sobie pytanie, kto pobudował, a raczej poustawiał płoty, czy mury z kamieni, ułożone bez wapna, ni gliny, na wysokość 2 łokci, ciągnące się milami i gdzieś tam przerwane drewnianymi wrotami przegniłemi i najczęściej nigdy nie zamykanemi. Kurz podnosi się tu i owdzie i opada na nikle liście drzew; ani zwierza, ani ptaka w tej dzikiej pustyni nie zoczyć, prócz sępów zrywających się leniwie o krok przed mulicą i lecących się na innym głązie opodal. W czasie kilkugodzinnej jazdy spotkałem zaledwie dwóch mulników i jednego jeźdźca. Słońce zachodzące oświetla z ukosa szczyty, wierchy i przepaście i zabarwia je czerwono, poczem znika na widnokręgu, a że miesiąc wstaje później niż myślałem, zjeżdżam z pieca na łeb zupełnie po ciemku, słysząc w ciszy tylko grę polnych koników i tupot mułów Porfiria, o staję po za mną. Nocleg wypada w Calutan — zajeżdżam przed karczmę, wobec której Słomianka jest pałacem, a Rudawa okazałą rezydencją; w sklepiku przypominającym nasze »kółka« kupuję 2 flaszki piwa dla siebie i Porfiria. Chwilę rozmawiam z robotnikami »ćmia-

cymi« papierosy przy kieliszku »mescal« podobnego do galicyjskiej gorzałki i zajadam jajka na miękko, bułkę z faszerowaniem mięsem z Yxtlán i popijam kawą. Okazuje się, że Porfirio nie umie złożyć płóciennej pryczy na której mam spać. Po wielu próbach odnajdujemy sekret tej łamigłówki; karczmarz ofiaruje mi duszną izbę, w której zwykle sypiają dziewczęta — jego córka i siostrzenica. Zaduch i wzgląd



Z Meksyku południowego.

należy płci pięknej nie pozwala mi zgodzić się na wyprowadzenie tych pań do kuchni, więc posłano mi na podwórze. Zanim Porfirio i rodzina »landlorda« zjedli wieczrę, poszedłem przejść się po rynku, posłuchać miejscowych melodyi wygrywanych na harmonijkach i poddać się temu rozmarzeniu, które zawsze i wszędzie przejmuje ludzi wszelkich ras i stopni kultury, w cichą księżycową noc. Zaszedłem do najbliższego ruczaju w gąszcz, chcąc się przekonać, czy noc jest dosyć widna, by można celować i strzelać o 25

kroków; nie miałem strzelby, ani widziałem zwierzyny, ale myślę, że strzelanie w tych warunkach jest zadaniem nielada. — Zasnąłem snem lekkim człowieka śpiącego nie wśród czterech ścian pokoju, ale na dworze. Z wieczora słyszałem brzęk mytych talerzy, swary i śmiechy w kuchni, a dalej psy, muły, prosięta, kury, koguty i t. d. całą noc. Jeżeli mama chce mieć pojęcie o noclegu w Cacalutan, proszę zajrzeć do Don Kiszota; gospoda i gospodarz zdawali się służyć Dorému za model do jego ilustracji...

Meksyk, 6/VI 1902.

Opisałem mamie mój nocleg w Cacalutan; wstałem o 4-tej gderając na Porfiria, że nie on mnie, ale ja jego budzić musiałem. Zapłaciłem 3 pesos, czyli około 3'50 fl. za nocleg, obrok dla mułów i kilka filiżanek kawy dla Porfiria i dla siebie i dalej w drogę spadzistą i stromą, jakkolwiek wijącą się wężykiem po zboczach, jak poprzedniego dnia. Znowu ten sam krajobraz: wulkaniczne formacje, o połamanych, ostrych zarysach, ciągnące się jak okiem sięgnąć; ogólny nastrój zaskrzepłego niepokoju ujawniający się ze wszęch stron. Gdyby Albert Durer malował był krajobrazy, przyroda byłaby tak wyszła z pod jego pendzla, jak w tej dzikiej, smutnej, bezludnej okolicy wygląda istotnie. Wśród pożółkłych traw podobnych do wypłowiałego kobierca, ani na bezlistnych drzewach nie dojrzałem żadnego prawie stworzenia, prócz jednego ogromnego widocznie ptaka, bardzo zresztą daleko, na wierzchołku uschłego klonu; najpewniej drapieżnik upatrujący łupu, jedyny na kilkumilowej przestrzeni. Wreszcie, po 2—3 godzinach jazdy o względnym porannym chłodzie, mój przewodnik ukazuje mi kilkanaście dachów o kilkaset metrów popod nami, nad rzeką, bez cienia drzew i w ogóle bez żadnego cienia. To Castellana, dokąd zdążamy. Mijamy zabudowania folwarczne w tak wązkim i stromym wąwozie, że wokół nich niema miejsca na jaki taki ogródek, mijamy rude wieprzki, tak chude, jak te, które według po-

bożnych podań towarzyszyły ascetom Tebaidy i mimowoli zapewne żyły ich uduchowionem życiem; przejeżdżamy most drewniany bez poręczy, a powykręcany tak, jak gdyby wił się w konwulsjach, na rzece Santjago, (tej samej, u której ujścia strzelałem do owych różnobarwnych ptaków, o których wspominałem w poprzednich listach) i przez wioskę najędzniejszych szałasów i lepianek zajżdżamy do młyna,



Meksyk południowy: targowica.

gdzie kamyki zawierające złoto i srebro miele się na piasek drobniejszy od celnej mąki i odstawia w workach mułami do wielkich miast. W kancelaryi oddaję list polecający; wysoki, jasnowłosy, barczysty i ópalony na czerwono Anglik, Mr Allan, dyrektor wszystkich kopalń ogromnego akcyjnego przedsiębiorstwa z siedzibą główną w Londynie, czyta tylko pierwsze słowa, i przerywa czytanie słowami: *My dear count I am very glade...will you a cocktail?* W ogóle sta-

ram się pić tutaj tylko wodę mineralną, gdzie niema dobrej źródlanej i piwo; ale z Anglikami nie sposób. Mimo upału wypijam więc na początek szklanice koktailu, poczem kąpię się i odrazu postanawiam zabawić nie kilka godzin, jak zamierzałem pierwotnie, ale 2—3 dni. Ponieważ nie zabrałem z sobą nic prócz grzebienia i szczotek, Mr Allan (o głowę odemnie wyższy, a szerszy o ogromny brzuch), pożycza mi całego ubrania, bielizny, wszystkiego prócz butów i ostróg. Przepasuję się szpagatem, podkasuję rękawy, i okazuje się, że wszystko leży na mnie wybornie. O 11-tej śniadanie, mięso i jaja, bo jarzyny jak i wszystko inne trzeba sprowadzać o kilka mil, 10 godzin jazdy. Poczem ruszamy na doskonałych siwych mulicach do głównej kopalni. Cwałujemy po takich wertepach, że galicyjska szkapa zakulałaby na wszystkie cztery nogi, gdyby choć obok nich przeszła. W pół drogi okazuje się, że Mr Allan zapomniał butli zawierającej z pół wiadra, którą on przez eufemizm nazywa manierką z whisky. Wysyłamy więc w skok służącego za drogocennym płynem i zwiedzamy tymczasem zaniebane i zaniechane kopalnie z przed lat kilkudziesięciu, czy więcej, z hiszpańskich jeszcze czasów. Na skłonie góry zesiadamy z mułów, zamiast hełmów wdziewamy podróżne czapki angielskie i z latarkami wchodzimy w korytarze, wspinamy się po drabinach, pełzamy na czworakach po pieczarach, zwiedzamy kopalnię w głąb, wszereż i wzdłuż. Mr Allan próbuje tu i owdzie zawartości wywożonych na taczkach gruzów, odłupuje i chowa do kieszeni okazy. Pyta nagich z powodu gorąca górników o szczegóły pracy i jej wyniki, krytykuje, oblicza, daje wskazówki, jednym słowem gospodaruje. Po godzinie tego zwiedzania, podczas którego ciągle i wszędzie ku powszechnemu zdziwieniu dotrzymuję kroku wytrawnym znawcom kopalni, wracamy na Boży świat, wypijamy po szklance ciepłej i niezbyt przeźroczystej wody, pół na pół z wódką i zawsze cwałem jedziemy w inne miejsca, gdzie również kopią i szukają cennych kruszców, poczem zjeżdżamy

napowrót do domu. Mr Allan idzie spać, (wróciliśmy między 3—4); ja zaś zwiedzam dokładnie młyn, oglądam walcownie, tygle, aparaty w rodzaju olbrzymich przetaków, kotły itd., i wybieram się na aligatory. Wąziutką ścieżką idę wzdłuż brzegu zostawiwszy muły w cieniu, strzelbę niosę na plecach i czepiam się gałęzi, by nie zjechać po upłazach w wodę. Marcellino widzi, czy udaje że widzi o kilkaset kroków, na drugim brzegu, czarną trójkątną paszczę kajmana, ja jak zwykle niestety na polowaniu, nie widzę nic. Po kamieniach jakby naddunajeckich skaczę aż do zachodu słońca, i wracam z lekkim bólem głowy; że zaś niczego tak się nie boję jak tego, zwłaszcza pośród tych gór bez cienia i pod prostopadłemi niemal promieniami słońca, przeto w sekrecie przed Mr Allan, który twierdzi, że rzeczna kąpiel sprowadza malaryę, rozbieram się i kąpię wraz zjednym z urzędników kopalni: Anglik oczywiście — który kąpie się codzień, bez względu na kajmany i na febrę. Przepłynąwszy rzekę tam i sam, widzę, że te aligatory trzeba między bajki włożyć i rzeźwy i rzeźki wracam na obiad, równie prosty, a jednak smaczny, jak śniadanie. Do stołu siada z nami 10 urzędników Anglików, Amerykanów i Meksykanów. Nie posiadają oni nic, prócz niespożytej energii i wytrwałości, nie odznaczają się bardzo wykwintnemi formami towarzyskiemi, ni oglądają, ale któż o to pyta w takich krajach? Wyzwoliwszy się od whisky, który mi narzucać chcieli, piję filtrowaną wodę rzeczną z cytrynowym sokiem. Wieczorem siedzimy na werandzie i patrzymy na światła zapalone w chałupach i młynie, na postacie robotników uwijających się jak w ukropie i wsłuchujemy w zupełną ciszę, od której odbija szum i turkot maszyn i wody u naszych stóp. O 9-tej wszyscy idą spać, ale upał nie daje mi usnąć i za przykładem innych wynoszę łóżko na ganek. O świcie ruszamy w sześciu na mułach, na nową wyprawę. Po ścieżkach pnących się wężym pod górę dojeżdżamy na szczyty, z których widok rozległy na nagie skaliste pasma wzgórz i na rzekę Santjago,

snującą się dolinami. Poblize rzeki nie podsycą jednak — jak to zazwyczaj bywa — obumarłej roślinności, tak, że nawet na samym brzegu chwieją się tylko suche badyle i kołyszą za wiatru podmuchem anemiczne drzewa bez soków pod spękaną korą. Do jaskini, gdzie mają wkrótce zacząć górniczą pracę czołgamy się na czworakach; Mr Allan puka znowu młotkiem w ściany i wyciąga naukowe wnioski z zebranych spostrzeżeń. W szybach, gdzie pracują, spotykamy znów nagie postaci kopiące z wytężeniem w upalnej atmosferze; chude i żółte, jakby widziadła z Dantejskiego piekła. Z młodym Anglikiem schodzę o piętro niżej, gdzie robót jeszcze nie rozpoczęto, i w 5 minutach zabijamy kilka ogromnych pajaków zwanych *vinagria*, których nogi mają nieraz łokieć długości, a których ukąszenie jest podobno śmiertelne. Zachodzę w głowę czem te pokraki żywić się mogą wśród głązów i ciemności. Po południu, t. zn. po obiedzie i krótkiej drzemce, jadę do innej kopalni, o 1¹/₂ godziny jazdy orłową drogą nad rzeką i pod urwiskami, zawsze w towarzystwie inżyniera odkomenderowanego na czas mego pobytu na przewodnika dla mnie. Zabieram z sobą jak zawsze amerykański sztuciec 5-cio strzałowyy, ale nie spotykam się z żadną zwierzyną. Upalny wicher dmie z całej siły; na drodze spotykamy jeszcze zwierzęta, które wśród ciasnoty i na tych wyżynach wymijać trudno. Owa kopalnia San Lucas, cel naszej jazdy, należy do rodziny meksykańskiej z Guadalajary; ojciec był jeszcze prostym poganiaczem mułów. Kopią i tam srebro, ale nie mają młynów, przyrządów, ni narzędzi angielskich, więc po prostu 4 muły chodzą w kieracie, rozbijają kopytami srebrodajne grudy, z których potem wyławia się ziarenka szlachetnego metalu za pomocą rtęci. Po robocie myje się zaś najstaranniej spracowane zwierzęta, bo błoto, które do nich przywarło, ma jeszcze ogromną wartość. Nazajutrz mam wyruszyć z powrotem wczesnym rankiem z Castellana do Yxtlán, ale opóźnia mój wyjazd wiadomość, że robotnicy rozpoczęli strejk. Domagają się mniejszej

ilości godzin roboczych. Mr Allan nie może się ruszyć z miejsca, nie naradziwszy się ze swoimi urzędnikami. W 10 godzin wracamy wreszcie tą samą drogą do Yxtlán, zatrzymawszy się w Cacalutan na śniadanie — (podano nam tam łyżki najprostszej roboty, ale srebrne i to wielkiej wagi i doskonałej próby) i w Banchos dla drzemki, z której obudziły mnie owoce *mangos*, spadające mi na głowę, bo spaliśmy w ogrodzie z głową na kulbace...

Meksyk, 30/VI 1902.

Jeżeli uprzejmość jest nabytkiem i dowodem cywilizacji, gościnność jest osłoda i okrasą dzikich stron i krajów. Dzięki tej zalecie właściwej pierwotnym ludziom i stosunkom, spędziłem owe trzy tygodnie przyjemnie i tanio. Szczęśliwym trafem, zażywałem gościnności w europejskich domach. W Guadalajara spędziłem pół dnia w domu markiza F. del Valle. Tytuł jest papieski, a on — pan domu, dobry człowiek, prosty, bez aspiracji, kroczący drogą zwykłą bez wzlotów i upadków nadzwyczajnych. Niezłe mówi po francusku. Ona, markiza prawdziwa, córka margrabi **, była zawsze kopciuszkiem wśród liczego rodzeństwa w madryckim pałacu, który przypadkiem znam, bo objadawałem tam raz u ambasadora hr. D. Starsze i ładniejsze siostry powychodziły za mąż za hiszpańskich grandów; starzejąca się, rządzona i ambitna matka wydała ją za owego papieskiego markiza w Meksyku, byle nie siadła na koszu. Nie umiała ona żyć się z otoczeniem, razi ją pospolitość jej tutejszych krewnych i demokratyczne obyczaje sprzeczne z tem do czego od dzieciństwa przywykła. To też mało kogo widuje, nie widzi świata poza dziećmi i mężem i u siebie przyjmuje chętnie tylko tych, którzy przypominają jej warstwę społeczną, z której pochodzi. — W domu L. w Yxtlán rodzinę stanowią dwaj bracia i żona młodszego. Mr Alfred był synem bogatych rodziców, którzy dzieci wychowali nad stan, a później majątku nie zostawili. Określenie to »nad stan« ma

prawdziwe znaczenie tylko w zastosowaniu do niedołęgów; dlatego też Anglik rzadko je wspomina, przeciwnie, wdzięczny jest z głębi duszy rodzicom, że wychowali go tak, jak to uczynili. Wyższa kultura i delikatniejsze uczucia wszczepione w niego za młodu, sprawiły, że choć żyje od 25 lat po miasteczkach jak Bochnia, lub Brzesko, nie zatracił towarzyskich form, ani cech gentelmana, czuje się zawsze raczej kimś, niż czemś i nie szuka ulgi przeciw życiowym trudnościom w niskich uciechach. Tej zbroi, która jak koszulka drucziana, zawsze cięży, czasem dolega, ale od wielu niebezpieczeństw chroni, nie starczyło młodszemu bratu i ów zagłada też do kieliszka, a w tym kieliszku niema wina, ale to, co działa na podniebienie Anglika pijaczyny, a więc whisky, papryka, okowita, tabaka itd., znięszane razem. W domu, z obawy przed bratem i żoną, nie pija, ale po hotelach, czy karczmach miejscowych odwiedza przejezdnych znajomych, wychyla sam i wmusza w drugich owe mordercze napoje. Żona nudzi się tak, jak tylko przystojna i młoda jeszcze Francuzka może się nudzić zdala od książek, rozrywek, towarzystwa, kolei, bez ogrodu w okół domu, wiejskiej swobody i t. d. Z nudów i rozpaczy maluje portrety męża, szwagra, swój własny, psów faworytów i kotów ulubieńców i rozwiesza je po ścianach domu, a nadaje im wyraz tak złowrogi, że ludzie i zwierzęta wydają się na podobiznach tych jak patologiczne okazy, a cała galerya jak muzeum kryminalistyczne. Oprócz tego wczytuje się w literackie nowości, dziś już okryte pyłem zapomnienia i stroi się podług onegdajszej mody. — Mr Barron z Tepic, jest typem Anglika hulaki. Od czasów wojny krymskiej aż po dziś dzień, trwonił czas, siły i pieniądze, bawił i bawił się wszędzie, gdzie życie kosztowało drogo, a upływało mile. Miewał w Paryżu i Londynie konie wyścigowe, jeździł i powoził czwórką po lasku Bulońskim i Hyde Parku, grywał w Marlboroug-Club i w Cercle de la rue Royale i utracił wiele, choć nie wszystko, ale nic z dobrego i żelaznego zdrowia. Dziś jeszcze

popija koniak w Tepic, bo środki nie pozwalają na Paryż, ani nawet na Meksyk, w gronie przyjaciół i pieczeniarzy, a kiedy w drodze do domu zajeżdża na nocleg do miasteczka jak Zakliczyn, po kilkunastu godzinach jazdy pocztą, wydobywa z podróznego puzdra flaszki i sprowadza muzykę, *for have a good time*. Nieustannie dziwi się synom dorosłym, że nie mają animuszu, gospodaruje nie znając się na niczem i nigdy nie wątpi, że »jakoś to będzie«. W 72 roku życia wierzy święcie, że szczęście nie opuści go do śmierci. Z synów jeden zmęczony i przesycony wszystkim, nudzi siebie i innych i marnuje się do szczytu; drugi świeżo przybyły z Anglii, jest dziecinny i niedojrzały jak każdy, kogo potrzeba, zapał, lub namiętność nie postawiły oko w oko z wymaganiami życia i walki o byt, lub ideał. Najciekawsze typy spotkałem jednak w owym ustroniu francuskim El Malinal, gdzie hr. H. de F. i br. de L. robią majątek sadząc kawę. Każdy cudzoziemiec ma najżywsze sympatyje do narodu, którego językiem najlepiej włada, którego myśli i uczucia najłatwiej zrozumie. Mieszkałem sześć lat w Wiedniu, jestem c. k. urzędnikiem, mimo tego po Polsce i Polakach, najmilszymi są i zawsze mi będą, Francya i Francuzi. Jest to u mnie kwestya wychowania, tradycyi, dziedziczności i t. d. Cóż kiedy koledzy dyplomatyczni francuzcy bywają zazwyczaj i najczęściej niemożliwi! *Les nouvelles couches*, zwolennicy Dreyfus'a i Valdeck Rousseau, to już nie dzieci *de la grande nation*. Trzeba pojechać aż nad Pacyfik, żeby takich dawnych kochanych spotkać. L. w mieście bywa nieznośnym: gada za dziesięciu, podziwia trzecią Rzeczpospolitą, wierzy w zbutwiałe programy *de la concentration republicaine* w liche przeróbki *des droits de l'homme*. Ale u siebie w puszczy jest wesoły, zabawny, czynny, śmiały, energiczny, roztropny, oszczędny, a bardzo gościnny. Chodzi, łąje, pilnuje, śpiewa arye z oper w wężozach; prawdziwy i dodatni typ Gaskończyka. — H. de F. jest z Normandyi, rozważny, zamknięty w sobie, poważny, nie udziela się łatwo, ale jest bardzo pewny

w stosunkach, wiele wart i dotrzymuje więcej niż obiecał. L. w spółce wziął na siebie dozór i stosunki z ludźmi, od ministrów, aż do parobków; H. jest zawołanym agronomen, zajmuje się wyłącznie racjonalną uprawą ziemi i kawowych krzewów. Wreszcie młody Lecoq jest jakby wycięty z powieści Gyp'a. Dobry katolik, (nosi szkaplerz i pojechał wypowiadać się na Wielkanoc, choć nie umie po hiszpańsku. a ksiądz w Tepic nie umie po francusku) zacięty royalista, nieuczony wcale, ale obdarzony zdrowym sądem i zmysłem spostrzegawczym; dziecko natury, biegły we wszystkich sportach; lubi zwierzęta, mówi gwarą »argot« do tego stopnia, że się z młodym Barronem nieraz nie mógł rozmówić, a raczej zrozumieć. Przytem śliczny, rosły, silny, prosty i naiwny, uczy się gospodarstwa, poluje kiedy może, i marzy o.... zawodzie korsarskim w razie wojny morskiej z Anglią. Towarzystwa dopełnia rządca, podoficer dragoniński, ale nie z *Sous-offs*, ni innych romansów des intellectuels, ale z czasów, gdy *la grande nation avait une grande armée nationale*. Zdrowy, silny, pilny, uczciwy i tęgi...

Meksyk, 21/VII 1902.

Inny typ: Nacio (Ignacio) de la Torre, który ożenił się z córką jen. Porfirio Diaz. Pani Amada, najpiękniejszy typ Indyjanki jaki spotkałem, nie jest jednak córką ani pierwszej zmarłej, ani obecnej żony prezydenta. Po prostu przyniesiono ją generałowi przed laty w powijkach do obozu, i oświadczono, że obozował w tem samem miejscu przed rokiem i że... Jenerał o nic nie pytał, ani nie sprawdzał, wziął ją na ręce i kazał mieć o dziecinie staranie. Pani de la Torre chowała się w furgonach, potem na pensyi w Paryżu, a wyszedłszy za męża, jest niewolnicą męża, który ją tyranizuje do tego stopnia, że wyjeżdżając z domu zamyka podobno bramę wjazdową na klucz i trzeba go prosić telefonicznie o pozwolenie, jeżeli się ma zamiar odwiedzić jego żonę. Nacio de la Torre wychowany w Paryżu, przystojny, o wy-

kwintnych formach i powierzchowności, mówiący doskonale po francusku, jest to człowiek inteligentny otarty w świecie, ale rozkapryszony nieograniczoną niczem swobodą i samowolą, oraz obcowaniem z ludźmi wyłącznie od niego zależnymi. Jest dziwakiem, nie widuje nikogo z sobą równych, otacza się szeregiem darmozjadów i pochlebców i jest słońcem, około którego wszystko obracać się musi. Jedyny ze znanych mi Meksykańczyków żyje ośm miesięcy do roku na wsi, w rozległych dobrach, którei wzorowo zarządza. Dochody jego oceniają na 400.000 meks. dolarów, a ponieważ wydaje nie więcej na 10-tą część, więc majątek jego wzrasta z każdym rokiem.

Jadę do San Nicolas Peralto; odebrawszy powtórne zaproszenie. Ruszyłem rannym pociągiem i po 5-ciogodzinnej jeździe stanąłem na stacji de la Torre. Okazało się, że wpadłem nie wiedząc o niczem na uroczystość otwarcia owej stacji łączącej główną kolej w kraju »Nacional Mexicano« z kolejką, którą Nacio (czytaj Naczio) wybudował w swym majątku. Osobny pociąg odwiózł też nas do końcowej stacji, gdzie mnie i innym gościom ofiarowano zwiedzanie jakiejś cegielni parowej, czy czegoś podobnego. Ja jednak nie byłem jej ciekawy, natomiast chciałem dotrzeć koniecznie do haciendy, czyli dworu i przywitać się z paniami, a dodawałem w myśli: i napić się herbaty. Lekkim koczem zaprzężonym w cztery ręce kare muły po doskonałej drodze, (najlepszej jaką widziałem poza stolicą i jej najbliższą okolicą), wśród pól w wysokiej kulturze, na których bardzo rosłe i okazałe woły oborywały w płużkach kukurudzę, przebyłem cztery kilometry dzielące stację od dworu. San Nicolas Peralto leży w wysokości 3000 mtr. Na równinie jak stół — osuszonym niedawno jeziorze — ciągną się łąny kukurudzy, ogromne łąki, i pastwiska poprzęzynane drogami, nad którei rosną rzędem stare i piękne drzewa, prowadzące do dworu. Ten, oparty o stoki gór porośnięty szpilkowym lasem, należał za hiszpańskich czasów do OO. Karmelitów również jak i dobra.

Tem tylko więc, że te włości były własnością klasztorną tłumaczy się owa prawdziwa i wysoka kultura, widoczna na każdym kroku. Przezorni mnisi widząc w roku 1806. zbliżającą się rewolucję, która istotnie wybuchła w cztery lata później, i co za tem idzie — wywłaszczenie, sprzedali haciendę rodzinie de la Torre. To też cała rodzina dumna jest, że owe prześliczne dobra dostały się w jej ręce drogą kupna, nie zaś konfiskaty. — Wjazd do samej haciendy w San Nicolas Peralto, jest nadzwyczaj charakterystyczny: na obszernem podwórzu studnia; stare rozłożyste drzewa otoczone rodzajem olbrzymich murowanych doniczek dla ochrony przed rogammi bydła i kopytami źrebiąt; koryta do pojenia inwentarza, w okół zabudowania gospodarcze, stajnie cugowe, czworaki dla czeladzi; w jednym skrzydle wzorowo urządzona mleczarnia. Wprost bramy wjazdowej dom mieszkalny, a raczej klasztor, bo świeccy właściciele nie w zewnętrznej postaci nie zmienili i tylko do cel wnieśli swoje sprzęty. Malutki ogródek przed zajazdem, omurowany również jak drzewa, trzeba objechać jak gazon przed polskim dworem. W sieni na prawo prowadzą drzwi do gospodarczych biur, które dawniej zapewne musiały służyć za rozmownice. Ciemnymi schodami wchodzi się od tyłu na I. piętro. Przez całą jego długość idzie szeroki korytarz, a z niego drzwi do małych pokojów o małych oknach i grubych murach, tak, że w t. zw. sali bilardowej gdzie mnie umieszczono, i którą zamieniono w pokój gościnny, o 8. rano było ciemno. Kiedym przyjechał, pan domu był nieobecny, obwoził dawniej przybyłych gości po polach, panie w kaplicy na mszy. Wprowadzono mnie do sali, równie zresztą małej, jak inne pokoje. Widziałem stąd ruch na korytarzu: obok lokai w jedwabnych białych pończochach, trzewikach o srebrnych klamrach, jedwabnych żółtych pluderkach i granatowej liberyi, uwijają się obdarci »pelados«; jest to pogardliwe wyrażenie dla nazwania Indyan w charakterystycznych słomianych kapeluszach na głowie. Wszyscy krzątają się gorączkowo z po-

wodu obiadu na kilkadziesiąt osób, który o 2. wydaje Nacio na stacyi. W sali meble w pokrowcach, krosna, porozrzucane szydełkowe roboty, wyszywania na kanwie i jak się potem przekonałem rozstrojony klawikord i dwa tomiki de la *Bibliothèque Rose*, oraz *Le langage des fleurs*. Wreszcie, widzę panią domu w białej, prostej, ale widocznie w Paryżu uszytej sukni i z »rebosso« rodzajem długiego szalu, prawie do pasa, który wszystkie kobiety bez różnicy stanu, wieku i majątku, noszą na wsi, przewieszony na plecach i ramionach. Wraca ona z książką do nabożeństwa. Rozmowa z nią się nie klei, bo jest nieśmiała z natury, a dzika z przyzwyczajenia do samotności, więc też wolę się wpatrywać w ten piękny model staroindyjskich bożyszcz.

Oświadczam po chwili, że nie przyjechałem otwierać stacyi, że już dosyć napatrzyłem się uroczystości oficjalnych i wolę z paniami dzień spędzić, ale ona prosi mnie natargiwie, niemal z przestachem, żeby odstąpić od tego zamiaru, *qui pourrait contrarier Nacio*. Niech i tak będzie, gdy tak być musi; proszę o herbatę, wypijam ją, i ruszam z innymi panami, z dworem »delfina«, jak (poza plecami) zowią żartobliwie zięcia prezydenta.

Dzień cały schodzi na jeździe do Toluca, stolicy stanu, gdzie do nas przyłącza się gubernator; na doskonałym obiedzie, przy którym siedzę obok wymienionego dostojnika, na szumnych i przesadnych toastach, powrocie do Toluca, zwiedzeniu pobieżnem miasta o 30000 ludności, a dokładnem browaru i wreszcie na powrocie na stację, na której niema pojazdów. W księżycową noc puszczaemy się piechotą do haciendy, spotykamy powozy w drodze, pan domu, jak przystało, łąje wszystkich. Wsiadłszy z powozu idziemy do obiadu. Nie siadam koło pani domu, bo nie mamy sobie nic do powiedzenia, ale koło pani de P. siostry Nacia. Prócz rodziny i gości siedzą (na szarym końcu) kapelan Indyanin, urodzony w San Nicolas i stara rezydentka, gruba, niziutka, zajęta sporządzaniem rumianku i innych ziółek. Lokaje służący do

stołu, są po części jeszcze w paradnej liberyi, po części w wytartych kitlach. Srebro na stole piękne i bogate, ale serwety dziurawe. Dziurawa również pościel na mojem łóżku. Po obiedzie pan domu daje siostrze i żonie rękę do pocałowania i idzie do siebie. Na ten znak wszyscy się rozchodzą, światła w korytarzu gasną i tylko cienie przesuwają się potem ze świeczkami w rękach, dążąc do salki kąpielowej również przerobionej z celi. Nazajutrz, nie chciałem śniadania pić w łóżku, jak każe obyczaj praktykowany i tu jak na Podolu, ale w sali jadalnej, czyli refektarzu. Dotąd wiszą w niej pobożne obrazy, jak i na innych zresztą ścianach. Zwiedzam potem kaplicę, a raczej pokarmelitański klasztorny kościół w barokowym stylu, przeładowany złoceniami, jak wszędzie w Meksyku, a zdobny kilku obrazami niezłego pendzla. Oglądam i spichlerz gdzie w sąsiedkach z modrzewiowych tramów, przechowują się tysiące hektolitrow kukuрудzy. Z owego sklepionego spichlerza widać całą okolicę, zieloną mimo posuchy płaszczynę, a w okół błękitniejące góry i pagórki, łąny uprawne i pastwiska, drzewa przydrożne i chaty indyjskie, gmachy wreszcie poklasztorne t. j. drugie i trzecie podwórze, gdzie mieszczą się kurniki, obory, chlewy, szopy na gospodarskie narzędzia i t. d. Nie brak też nawprost kościoła okrągłego placu ogrodzonego często kołem, na walki, a raczej gonitwy byków. Wszystko to mrowane, kryte staroświecką dachówką, stawiane na wieczne czasy, jak tylko mnisi budować mogą i umieją. — Około 10-tej rano zajeżdżają dwa amerykańskie breki z osłoną płócienną od słońca, zaprężone jeden w czwórkę karych, drugi w parę gniadych mułów. Wierzchowiec, doskonała klacz Nacia, pełnej krwi, 16-tej miary i amerykańskiego pochodzenia, oraz druga brudnokasztanowata, półkrwi, o której właściciel twierdzi, że jest własnego chowu, czekają osiodłane na pana domu i gości: Luzak w wysokiej meksykańskiej kulbace na karym podjeźdźku dobrej budowy, lecz innego gatunku, trzyma je za uzdy. Interesanci zatrzymują gospo-

darza w sieni, proboszcz z pobliskiej wsi całuje go w rękę na powitanie i pyta o rozkazy w jakiejś miejscowej sprawie; mleczarz oznajmia, że w centryfudze popsuła się oś i t. d. Wyjechawszy wreszcie z dworu w otoczeniu całej gromady konnych posłańców i sług, którzy cwałują w około powozów, zrywają niemiłosiernie głowy końskie i w ogóle jeżdżą trochę po kozacku — kierujemy się na błonia. Przed kilkunastu, a bodaj, czy nie kilku laty, tam, gdzie dzisiaj pasą się stada, strzelano kaczki z czółna na jeziorze. Jak wszystkie włości owej haciendy, są to osuszone grunta, czem się



Spędzanie bydła.

Włomaczy ich wyjątkowa żyzność. 27 studzien artezyjskich dostarcza im wody i wilgoci. Blisko 100 sztuk rogatego bydła jednej czerwonej maści, pasie się na ogromnej łące. Pasą je pastuchy na koniach, z uwiązaniem u siodła lassem, którego jednak właściciel nie pozwala używać do łapania, ale tylko do spędzania bydła. Powozy stają, Nacio przesiada się na swą skarogniadą klacz tak ujeżdżoną, że na skinienie ręki cwałuje z prawej, lub lewej nogi, idzie kłusem lub kroczem; ja na ową grubą, zapasioną kasztanową klacz pełną ognia i fantazyi, a nawet zbyt niespokojną, bo nie dosyć często wyprowadzaną ze stajni. Zaczyna się oddziela-

nie jałówek od krów, a tych do buhai. Bydło urodzone i chowane na wolności pędzi tak, że nasze krowy i woły o takiej szybkości pojęcia nie dają. Skręcają przytem na miejscu pod kątem prostym tak, że kto w galopie konia osadzić i zawrócić na miejscu nie umie, przepuszcza krowy i cielice, które rozłączyć się nie chcą i uciekają przed pgonią. Natomiast byki, kiedy się je zbyt naciska, grożą rogami tak, że trzeba im się zrećznie usuwać. Jednem słowem, cała ta praca wymaga niejakej sprawności, tak że na ocho-



Cow boys.

tnika przyłączam się do *cow boys* i oddzielam się od towarzysztwa, które wkrótce rusza na śniadanie pod drzewami. Owa jazda i gonitwa nieustanna, jest niemal tak trudna, jak gra w polo, a widok stokroć bardziej malowniczy i zajmujący. Koło 3-ciej owo oddzielanie się kończy; pędzę na śniadanie, skąd w pobliżu dochodzi smakowita woń pieczonego na wolnem powietrzu jagnięcia. Pod wieczór dopiero, o cudnym zachodzie słońca, jaki tylko na południu widzieć można, wracam z przydanym mi Indyaninem do dworu. W drodze opowiada mi on o łowieckich wyprawach prezydenta,

przyjeżdżającego niekiedy w odwiedziny do córki i polującego wówczas samowtór z jakim gajowym na małe jelenie, nie większe od naszych rogaczów. Indianin ów siedzi na koniu znakomicie, nieraz, jak sam widziałem, z dwoma końmi idącymi luzem w rękę, cwałuje po krętych drogach, wymijając wozy. Nazajutrz ten sam program; panie widuje się tylko przy obiedzie, zresztą znikają w gynecceum.

Nacio zawiózł nas jeszcze do drugiego swego majątku, pokazał tam znowu doskonałe i dobrane bydło czarnej maści, sadzawkę, gdzie w kwadrans widziałem 20—30 pstrągów, dom i kaplicę znowu pokarmelićką. Popołudniu sprowadził kilka buhajków i puścił je na *plaza de toras*, gdzie on i służba, czyli ekonom, pisarz, stangret, chłopaki kredensowe, igrali »capą« czyli czerwoną płachtą, unikając natarcia rozhukanych zwierząt! Mały ośmioletni Bertrand de P. chciał się popisywać na równi z ogrodniczkami, ale mimo płachty w rękę, nie śmiał oddalić się od schodów. Dzień zakończył się grą w piłkę, rodzajem *jeu de paume*, odbijaną raketami od ściany. Nazajutrz musiałem wyjechać o 6-tej rano, by stanąć w Meksyku i w biurze o zwykłej godzinie...

Jalapa, 2/IX 1902.

Żałuję najmocniej, że zamiast listu, nie mogę przesłać mamie obrazka, lub fotografii miasteczka i domku, w którym do pisania zasiadłem. Jest to najładniejsza miejscowość ze wszystkich tych, które widziałem w Meksyku, a widziałem już niejedną. Wyprawiwszy list do mamuni pisany na odjeźdźnym w Tampico, wybrałem się na stację, ale już w wagonie dowiedziałem się, że pociąg nie ruszy o wyznaczonej godzinie, a statek dopiero nazajutrz. Dyplomaci i w ogóle cudzoziemcy, wolą zanudzać się w Meksyku, niż zwiedzać piękny miejscami, a prawie wszędzie ciekawy kraj i poznać go naprawdę; nie chcą narazić się na niewygody podróży. Co do mnie, jestem odmiennego zdania, ale od 2 tygodni spędzonych poza stolicą, przyznać muszę, że pociągi

i statki ciągle spóźniały się po kilka godzin. Zaszedłem do golibrody, jedynego myśliwego w Tampico, żeby się o łowach w okolicy czegoś dowiedzieć. Obiad zjadłem z amerykańskimi i niemieckimi kupcami, a potem resztę wieczoru spędziłem w jedynym Café-chantant, jaki dotąd widziałem w Meksyku. Niema go w stolicy, ale istnieje w Tampico. Tu znowu nowa, choć przelotna przyjaźń ze skrzypkiem, któremu bieda i szczę-



Jalapa: Palacio del Governo.

śliwa miłość uwieńczona małżeństwem nie pozwoliły dokończyć studyów w konserwatorium i z koncertowej sali zapchnęły do orkiestry tutejszego teatrzyku. Noc spędziłem na kanapie na statku, bo kabin nie było. Widziałem cudowny świt i wschód słońca na rzece Ganuco, gdzie »Explorer« zarzucił kotwicę. Czekałem wraz z towarzyszami podróży, kupcami niemieckimi, na odjazd statku, odwleczony formalnościami sanitarnymi i miałem cudną przeprawę 24 godzinną do Vera Cruz. Zachód słońca był taki, że mógł powetować

wszelkie drobne dolegliwości. W Vera Cruz wyrobiłem sobie pozwolenie zwiedzania starej, hiszpańskiej fortecy na wyspie San Juan, w stylu Vauban'a, klucz portu. Dziś klucz zarzdewiał i nic już nie zamyka, ani otwiera; zamieniono starą rudere na więzienie; sybirskie i schlüsselburskie kazamaty nie mogą być okropniejsze od tego, co się tam widzi. Więzienia są najprawdziwszym probierzem cywilizacji, lepszym od szkół, pomników i innych budynków, oraz instytucji na pokaz. Wolno władzy odebrać życie zbrodniarzowi, ale nie wolno pozbawiać go światła i powietrza, ani żywić gnijącym mięsem, aż dostanie szkorbutu.

Do Meksyku wracam nie najkrótszą, ale najbardziej malowniczą, mnie dotąd nie znaną drogą. Jalapa jest śliczna. Pico de Orizaba, które widzi się już o 80 mil morskich z morza, zanim stanie się w Vera Cruz — przedstawia się tu w całej okazałości. Dziś o wschodzie słońca wybrałem się znowu z Niemcem tu zamieszkałym, w pobliskie lasy pełne orchidei na gałęziach drzew, jutro rano mam nadzieję — że stanę w Meksyku...

San Louis Potosi, 3/X 1902.

Ostatni list pisany z Monterrey zacząłem przed obiadem danym dla mnie przez tamtejszych Austryaków, a skończyłem nazajutrz z rana o 5-tej przy świetle, (bo w tym kraju nigdy przed 5^{1/2} nie świta), potem czekałem bez końca na tramwaj, który zawiózł mnie na stację. Tutaj znowu czekałem 2 godziny na chwilę odjazdu i w nienajlepszym humorze ruszyłem wreszcie z powrotem do Meksyku, a przede wszystkim do San Louis Potosi, skąd piszę. Około 11-tej zatrzymaliśmy się w stacji Sta Maria. Przystanek się przedłużał, wysiedliśmy z wagonów, żeby się dopytać powodu tej zwłoki i okazało się, że lokomotywa z całym personelem służbowym odjechała, zostawiając nas naszym rozmyślaniami. Deszcz ulewny popsuł tor kolejowy, zmył ziemię między przecznicami, tak, że szyny są niemal w powietrzu.

Sprzyskrzyło mi się oczekiwanie, tembardziej, że od 5-tej byłem o filiżance kawy bez kawałeczka chleba, więc zmówiłem się z dwoma młodymi robotnikami, którzy znali okolicę, żeby pójść piechotą do najbliższej stacyi, dla skrócenia sobie czasu i zwalczania nudy: 8 kilometrów mignęło się tylko jak chwileczka. W drodze konwersacya; nie przedstawialiśmy się sobie nawzajem, co byłoby zbytuczne, ale wymieniliśmy nasze zawody: stolarz, krawiec i dyplomata wędrowali pospołu. Minęliśmy lokomotywę i kilkudziesięciu, czy kilkuset ludzi naprawiających tor i doszliśmy do Arisbe, gdzie bułkami, piwem i sardynkami zaspokoiliśmy poniekąd głód. Z Saltillo, dokąd zawiozła nas wreszcie zdyszana lokomotywa jak dychwawiczny koń, dostaliśmy się do San Louis Potosi nie o 6-tej wieczorem, lecz po północy. Tam wpadliśmy w ulewny deszcz, dorózek ani śladu, sala dla gości czekających nie istnieje. Na korytarzu i po ciemku trzeba było czekać na pojazd, a w hotelu ani jeść, ani pić dostać nie podobna o 1-szej i nawet łóżka nie posłane. Oto przyjemności podróży tutaj. Do biskupa na szczęście nie telegrafowałem mimo jego zaprosin — na szczęście, bo trudno do księcia kościoła zajeżdzać o 1-szej w nocy. W San Louis Potosi niema nic do zwiedzania, kościołów dużo, ale żaden nie jest zbyt ciekawy. Oprócz Mgra Monte de Oca, niema z kim gadać. Ten zato jest niepospolity, najbardziej wypukły typ meksykańskiego duchowieństwa. Bogaty i rządny, niepowściągliwy w słowach, a energiczny w czynach, humanista uczony, nocą siaduje do rana nad książkami w swej bibliotece i zuje wędzidło od lat 30, bo został zamianowany biskupem ledwie doszedł do lat kanonicznych i dziś jest w sile wieku mimo szóstego krzyżyka. Długi pobyt w Rzymie, i wychowanie odebrane w Anglii, wycisnęły na nim prawdziwe, a nie powierzchowne tylko, europejskie piętno. Opowiadając mi o swych walkach i przejściach z rządem, i licznymi wrogami tak z urzędu, jak osobistymi, dał mi następującą charakterystykę zmarłego gubernatora: nie będąc wojskowym, został on generałem; nie

przeszedłszy studyów prawniczych, został adwokatem; nie mając pojęcia o administracyi, został gubernatorem; nie mając majątku, żył wystawnie; mimo że za życia nie dopełniał praktyk religijnych, umarł jak najprzykładniejszy chrześcjanin; wreszcie następcą jego w urzędzie jest dzisiejszy gubernator, który uporządkował jego spadek i postępowaniem swoim obudził żal za zmarłym. Charakterystyka tą maluje mojem zdaniem tego, do którego się odnosi i tego, który ją podał. Byłem i u gubernatora, czekałem na niego niepomierzenie długo, na co rozmawiając z nim, w żarcie się skarżyłem. Dał mi kartę wstępu do klubu, w którym ten list piszę, bo w hotelu atrament i pióro są nie do użycia. — Moja wycieczka tutaj jest ostatnią z tych, które przedsięwziąłem do miast prowincjonalnych. O ile możności będę się jeszcze starał zwiedzić lasy i puszcze, ale nie stolice rozmaitych Stanów, bo tu nie nowego ani widzieć, ani usłyszeć, ani dowiedzieć się nie można. Co prawda, gdyby ktoś chciał zwiedzać Kołomyję, Tarnopol, Tarnów, nie licząc katedry, nie wiele inaczej przedstawiałoby mu się położenie i poziom umysłowy naszych mieścin.

Tampico, 7/X 1902.

Nie wiele widziałem z drogi między San Louis Potosi, a Tampico bo na stacyi Las Canoas, t. zn. tam, gdzie malownicza droga miała się rozpocząć, trzeba było czekać od 1¹/₂ do 9-tej wieczór. Tor kolejowy był zawałony gruzami i odłamami skał, wielkości lokomotywy — jak mi mówiono — które się osunęły i cały dzień minął, nim je uprzątnięto. Podobno zdarzają się takie i tym podobne wypadki na tej linii niemal codziennie, a publiczność składająca się coprawda przedewszystkiem z indyjskich cow-boys, nie skarży się, ani sarka. Cierpliwość jest cnotą, zapewne; nie jest jednak cnotą kardynalną, często zaś rezygnacya graniczy z próżniactwem. Publiczność czeka bez szemrania, bo mało kto, albo nikt, z tubylców nie zna wartości czasu. O 5-tej z rana stanę-

liśmy na miejscu przeznaczenia. Mimo licznych podróży nie nauczyłem się dotąd podróżowania bez tobołków. Co prawda skromne, a nawet kuse środki materialne (choć tym razem jadę na koszt rządu) stają angielskim w tej mierze zwyczajom na zawadzie. Łąduję o 5-tej i z największą biedą znajduję kogoś, który podjął się przeniesienia połowy rzeczy do hotelu, bo drugą połowę niosłem sam. W hotelu za pokój z porozbijanymi szybami w oknach, kopcającą lampą i łóżkiem, które w więzieniu śledczym byłoby na miejscu,



Tampico.

bo za każdym poruszeniem trzeszczy we wszystkich fugach, płacę dużo drożej, niż w Impérialu. Zato jednak mam prawo do bardzo złego jadła. Na mszę się spóźniłem, bo tutaj wszyscy i zawsze kłamią świadomie, lub nieświadomie, a w najlepszym razie dają niedokładne, z prawdą niezgodne odpowiedzi. Po południu pojechałem nad morze, odległe o 5—10 klm., gdzie widziałem rekina tuż u brzegu...

Meksyk, 3/XI 1902.

Kiedy kończyłem ostatni list do mamy datowany z 30 z. m., wiedziałem że nazajutrz, czyli w dzień WW. ŚŚ. wybiorę się na szczyt Popocatepetlu, jednej z najwyższych

gór na świecie, mierzącej przeszło 5500 metrów wysokości nad poziomem morza, trzeciej podobno w Ameryce, a o całe 800 m. wyższej od Mont Blanc. Nie wspominałem jednak o tem, nie chcąc wprowadzać nieporządku w opisach i trzymając się zasady pisania o wykonanych, a nie o zamierzonych dziełach i działaniach. Około 12 poszedłem spać, zasnąłem nie odrazu, obudziłem się i wstałem przed 6-tą czyli o wschodzie słońca. Ubrałem się, poszedłem na mszę i przekonałem się, że nawet w bezbożnym Meksyku nietylko kobiety, ale i mężczyźni, pierwsze tłumnie, drudzy gromadnie, przystępują do komunii św. Od Jezuitów poszedłem na stację; po drodze napotkałem fiakra obładowanego jak fura żydowska, na koźle siedział mój służący, a w powozie F. i K. obaj ubrani jak na alpinistów przystało, w ubrania o angielskich nazwach i krojach. Towarzyszą nam Bartels i Everts. Podziwiałem pogodę ich duszy, bo ja jestem zły nietylko kiedy jestem głodny, ale jeszcze bardziej, kiedy jestem niewyspany. Nieoceniony K. cały dzień poprzedni biegał, kupował, zawijał prowianty, na dworcu nad nimi czuwał, podejrzewał mego służącego o nieprzepartą skłonność do wędzonej szynki i koniaku, stawał też uporeczywie tym urojonym zapewne zamiarom w poprzek, a swoją osobą rozgradzał wędzonkę i Justyna. Pociąg się spóźnił jak zwykle, jak zwykle brakło miejsca wobec natłoku licznych miłośników przyrody, ruszających równocześnie z nami w drogę i klnących na równi z nami we wszystkich niemal znanych mi językach na nieporządek i t. d. W tym chórze złorzeczeń, nie brakło oczywiście i naszego kwartetu — mówię kwartetu, bo znając po trosze Meksyk, milczałem. Zanim przeczytałem trzy ostatnie numera *Słowa*, znikło miasto za nami i jechaliśmy krajem przypominającym... Holandję, jak zapewnia Everts, który z tamąd jest rodem, bo mgła zasłała góry okoliczne, a jezioro Tescois, kanały, mokre łąki, tysiące kaczek zapadające na wodę, białe opary wznoszące się ociężale nad przemokłą ziemią, odmieniają do niepoznania postać górskiej

i wulkanicznej okolicy. Wszystko to jednak kończy się niebawem, dalej ciągną się nieprzejrzone łąny kukurudzy należące do bogatych Hiszpanów i pociąg zatrzymuje się bez widocznej przeszkody jak dychawiczna szkap, która wózka pod górę wyciągnąć nie może. Lokomotywa wchłania wodę, jak gdyby miała przebyć jednym ciągiem turkestańskie stepy; F. pyta z odcieniem niecierpliwości w głowie »dlaczego wszystko to«? i »dlaczego wszystko tak«? Na co ja wprost odmawiam odpowiedzi, bo w Meksyku »to« i »tak« być musi. Wsiadamy na dworcu w Amecameca i ciągniemy długim sznurem do hotelu Hispano-American. Podczas gdy K. i Bartels troszczą się o śniadanie, ja idę kupować krypcie, sandały, rzemienie i sznury. Mój przewodnik, rządca ogromnego majątku należącego do generała Ochoa, opowiada mi z miejsca dzieje swojej rodziny, przedewszystkiem zaś ojca, człowieka obyczajów patryarchalnych, któremu 3 z rządu Sary i kilkanaście Agar, powiły 58 dzieci. Dobre to były czasy, w których można było wychować, a raczej wyżywić tak liczne potomstwo. Ów niezwykle człowiek otrzymał raz w walce 14 ran zadanych pugiuałem, co mu nie przeszkodziło jeździć konno w trzy tygodnie później. Wróciwszy do hotelu zastaję myśliwskie śniadanie, myśliwską atmosferę i strzeleckie koncepty. Po 1-szej siadamy na koń, w kilka godzin mamy stanąć w t. zw. »rancho«, czytaj folwarku, w wysokości 4200 mtr. i tam nocować. K. i Bartels wożą żydów, kiwają się jak w bożnicy, przyczem od czasu do czasu spada im kapelusz. Everts nie zbyt biegły w jeździe konnej, prosi o najspokojniejszego mierzynka, a po kilkuset krokach uskarża się na siodło meksykańskie, zbudowane, a raczej zbite z żelaza i twardego drzewa, powleczonego gdzieindziej skórą. F. nie wie co począć z długimi nogami i z zasadami jazdy konnej, które mu wpojono w krytej ujeżdżalni 6. pułku dragonów i dziwi się, że ja wytrzymuję nie zsiadając z konia, co się tłómaczy dwuletnim pobytem w Maroku i jednorocznym w Meksyku. Jak zawsze w górach, cel podróży wy-

daje się o wiele bliżej, niż jest w rzeczywistości. Zanim dojechaliśmy stępa do podnóża góry, minęła jedna i druga godzina; rozmowa rwie się, wreszcie ustaje. Stroje zmieniają się w miarę temperatury i wysokości: za miastem zdejmujemy chustki i rozpinamy kamizelki, wjeżdżając do szpilkowego lasu wkładamy je napowrót; w pół góry jaki taki wyciąga z troków płaszcze i okrycia. Ja mam ze sobą końską derkę, pseudo tygrysią kołdrę i dukielską bundę, których jednak nie ruszam. Od czasu do czasu każą nam towarzysze stawać, uśmiechać się, konie zwracają głowami w dany kierunek i fotografują. Bór, którym jedziemy, jest zniszczony, grube sosny wycięto, młode podrastają. *Ilya bien peu de forêts vierges, qui ne soient demi-vierges à l'heure qu'il est.* Jenerał Ochoa kazał otoczyć cały wierzchołek Popocatepetlu głębokim rowem i drutem zadzierzysto węzłowatym; kosztować musiała ta praca tysiące, a pożytku z niej niewiele, bo chyba w tych pustkowiach nikt kopców granicznych nie przesuwa. Koło 4-tej ukazał się nam śnieżny szczyt góry zakryty poprzednio obłokami i podgórzem; widok istotnie wspaniały odsłania się na Popocatepetel z jednej, a na Ixtaxicatl (za ortografię ostatniej nazwy nie biorę odpowiedzialności nie mając mapy, ani podręcznika geograficznego u siebie). Oba wierzchołki wyglądają jak olbrzymie baby wielkanocne pokryte lukrem; płaty lawy odcinają się gdzie-niegdzie i czernią z daleka, niby rodzynki wśród cukru. Wkrótce zachód ozłocił i roziskrzył lśniąca biel górskiego skłonu, a nagle zapadający zmierzch zgasił górskie pochodnie, a rozniecił nieprzeliczone gwiazd kagańce. Z nocą nastało i przenikliwie zimno; w chwili kiedy zsiadłem z konia, czułem w końcach palców zamróz. Rancho, jak już wspominałem, tłumaczyć się powinno słowem folwark, ale w rzeczywistości jest to szopa przedzielona tarcicami w dwie izby bez okien, do których światło dzienne dostaje się przez szpary w drzwiach i otwory nieumyślnie utworzone przez wyrwanie desek zużytych na opał. Trudno opisać rozczarowanie tych,

którzy oczekiwali leśniczówki. W izbie przeznaczonej dla nas, rozpalono ogień na kominie, ale szopa jest kurna, więc wkrótce trudno było oddychać. K. pamiętał o wszystkim, nawet o słomie na pościel pod derki i o t. zw. sarape na tapczanach, na których mieliśmy spać, ale zapomniał



Domostwo meksykańskie.

o świecach; po ciemku więc niemal trzeba było krajać chleb, kielbasę, cielęcinę i zagrzewać wodę, po którą musieliśmy posyłać o jakie pół mili dla przyrządzenia grogu, bo o herbacie mowy nie było wobec braku filiżanek, łyżek itd. Everts natychmiast się położył zmęczony jazdą, do której nie przywykł, i chory na górską chorobę, podobną jak wia-

domo, w objawach do morskiej. Mimo dymu spałem doskonale od 8—12, a potem drzemałem do 3-ciej. Poprzez drzwi słyszałem gwar Indyan siedzących w kuczki koło ogniska rozpalonego nie na dworze, jak się tego damagałem, ale na klepisku, w drugiej przegrodzie. Ubrani w szerokie bardzo szarawary płócienne mimo zimna, w koszule i pasy wełniane farbowane na czerwono, w olbrzymich charakterystycznych meksykańskich kapeluszach, gawędzili, tak jak gawędzą nasi górale w Karpatach, albo Arabi pod Tangerang; przekomarzali się, śmiali, kłócili o pieniądze. Prócz Indyan, nocowało tam towarzystwo francuzkie wybierające się równie na szczyt i kilka koni, podczas gdy resztę uwiązano na dworze. — K. nie był ciekawy krateru, Bartels go znał, więc w drogę puściliśmy się we trzech tylko. Przewodnicy kazali nam rano zdjąć buty i na grube wełniane pończochy zawiązali nam po 3 łokcie grubego płótna z konopi, w czem chodzi się wygodniej, niż w najlepszem obuwiu. Na śniadanie mieliśmy znów kielbasę, cielęcinę, czekoladę w tabliczkach; chciałem zagotować bulionu, ale przez pomyłkę, (zawsze po ciemku) rozpuściłem zawartość słoika Liebiga w ponczu wczorajszym, a w dodatku brakło soli. Owa mięszanina mogła służyć od biedy jako lekarstwo w nagłym wypadku, ale nigdy jako pożywienie. Moi towarzysze zabrali manierki z wódką, ja nie; wreszcie ruszyliśmy ku wielkiej radości K. i Bartelsa, którzy znowu mogli zasnąć, albo próbować snu, bo jak mówili wszyscy — z nas pięciu ja jeden tylko spać mogłem. Spodziewałem się o 4-tej większego zimna, niż było rzeczywiście; wsiadłem znowu na koń, otuliłem się burką, na głowę zawiązałem chustkę, do kieszeni wsunąłem koniecznie czarne okulary, nóg owiniętych w płachtę nie mogłem wsunąć w strzemiona i z prętem ułamanym u pierwszej gałęzi dalej w najciemniejszą w świecie drogę. Po chwili Everts spadł z konia, wgramolił się napowrót i ruszyliśmy. Przejechaliśmy wąwóz niemniej stromy i głęboki od Malisowej szkarpy — jak się przekonałem nazajutrz w biały dzień —

ale wyżłobiony nie w glinie, tylko w popiele wulkanicznym, co ułatwiało nam zjazd i wjazd na przeciwległy brzeg. Trzeba było potem jechać z godzinę jeszcze, coraz wolniej, bo konie utykały na kamieniach, a przytem co kilka kroków przystawały dla nabrania tchu. Tymczasem świt jał rozjaśniać, bielić i złocić widnokrąg; gwiazdy poczęły blednąć i gasnąć, śnieżne upłazy, do których zdążaliśmy mozolnie, nasiąkały blaskiem coraz żywszym, aż zaiskrzyły się w pierwszych promieniach słońca. Tam gdzie się kończą skaliste rozłogi, a poczyna niebotyczny śnieżny kopiec, zsiadliśmy z koni. Przywiązano nam skórzane sandały na onuczki, zasmarowaliśmy twarz łożem dla uniknienia pękania i krwawienia skóry, poczem każdy ze swoim przewodnikiem począł piąć się pod górę. Szedłem okryty derką, a podparty kijem okutym, ze szklami na sznurku. Palce kostniały mi od zimna, siadałem co kilka minut dla odpoczynku, Everts szedł przedemną, F. za mną; również przedemną, a raczej nademną szli Francuzi ze swoim przewodnikiem. Zmęczenie, zimno, a przede wszystkim uczucie, że drogi nie ubywa, a przynajmniej nie dosyć widocznie, wprawiło mnie w takie porywece usposobienie, że przerywałem milczenie na to tylko, by łąjąc o byle co przewodnika. Miałem wprawdzie zamiar trzymać się F., bo on ani jednego zdania po hiszpańsku powiedzieć nie umie, ale okazało się to niemożliwe i niepotrzebne, bo nie było innej rady jak iść krok za krokiem w ślady przewodnika i od czasu do czasu odpoczywać. — Po godzinie pyta mnie Everts z góry:

— *Comment allez vous?*

— *Très bien, et vous?*

— *Moi très mal.*

— *Parceque vous aller trop vite.*

— *Non, mais je souffre de la tête et de l'estomac.*

Kto chce iść prędko i pokrzepia się w drodze koniakiem, ten z pewnością ustanie. Burkę zostawiliśmy w pół drogi, bo słońce dopiekało i rozgrzałem się był zupełnie;

kij wysunął mi się z ręki i potoczył w dół; Indyanin odstąpił mi swego. Everts uszedł był już $\frac{2}{3}$ drogi, gdy zawrócił się i zaczął schodzić; F. mruczał od czasu do czasu: *Ein Souvergnügen!* (przepraszam za dosłowną cytate); zatrzymał się i on, wiedziałem, że dalej nie pójdzie.

Widok odsłaniał się coraz rozleglejszy, na dolinę Puebli, na Pico de Orizaba, o mil kilkadziesiąt na Malinezi: inny jeszcze wulkan — i na ogromny szmat kraju pusty, kamienisty, bezwodny i ponury. Są ludzie którzy twierdzą, że ze szczytu widzieli Atlantyk, ja miałem dobre szkła, ale morza nie widziałem; ani miast, ani wsi, ani pól uprawnych, ani zwartych lasów, ale same turnie, wulkany i nie dziesięć, ale sto mil kwadratowych niczego. Zresztą, gdybym był widział najcudniejszy krajobraz, żyzną i malowniczą okolicę, nie byłbym mógł ich podziwiać. Im wyżej, tem droga uciążliwsza, trzeba było stawać co 4—5 kroków i łapać powietrze, pochyliwszy się ku ziemi, bo podniesienie głowy do góry było już wysiłkiem. Pewna ambicya wobec tego, że byłem jedynym z naszej piątki, który chciał i musiał dojść, dodawała mi bodźca. Ścieżka, a raczej ślady Francuzów, za którymi kroczyliśmy, szła pod górę wężym; pod koniec kładłem się na derkę na każdym załamaniu i musiałem użyć całej siły woli, by nie zasnąć za każdym razem. Kilka pierwszych kroków po odpoczynku stawiałem bez trudu, potem zmęczenie przemagało, aż mnie znów obalało na śnieg, tak ślizki, że kilka razy zjechałem o parę łokci, co znów kosztowało nowe wysiłki. Everts i F. znikli mi już z oczu; od czasu do czasu patrzyłem na dalekie góry, zwykle na śnieg, który przez dymne okulary wydawał się szarym, jak u nas bywają zasy zmiecione z nasypu kolejowego i poczerniałe od dymu lokomotywy, lub fabrycznych kominów. Cisza zupełna, żadnego żywego stworzenia w pobliżu, prócz prostego człowieka; jedyny szelest dostłyszalny sprawiają grudki śniegu sypiące się z pod nóg poprzedniej party i czasami uderzające dosyć mocno w głowę lub w plecy w chwili wythnienia. Po $4\frac{1}{2}$ godzinach, (od $5\frac{1}{2}$ do 10-tej)

stanałem u szczytu krateru. Jest to olbrzymi lejek o głębokości 300 mtr., o ścianach przysypanych częścią śniegiem i o sadzawce zielonej, niby rzęsą pokrytej, zawierającej siarkę, którą Indyanie wydobywają i spuszcza ją na dół. Zaznajomiłem się z Francuzami, podzieliłem czekoladą z moim opiekunem, widziałem prostopadłe słupki dymu wydobywające się ze szczelin i czułem się dumny z dokonanego przedsięwzięcia. Jak okiem rzucić, żadnego ptaka, a tem mniej czworonogiego zwierza. Jeden tylko człowiek może — gdy umie chcieć, a służą mu siły — stanąć tam, gdzie muskuły nie zanoszą, a instynkt nie zaprowadzi żadnej ziemskiej istoty, Ustaje na szczycie bicie serca, które czułem tak, że miałem wrażenie jakoby karotyda wypełniała całą szyję i sięgała do karku; ustaje trudność w oddychaniu, szum w głowie; ani chwili zaś nie szła mi krew nosem, ustami, ani uszami, jak się to podobno innym zdarza. Pod wpływem promieni słonecznych poczęły się kłęby białej pary odrywać od boków Popocatepetlu (Dymiąca Góra) pełzać u naszych stóp łączyć w obłoki z kłębami pary ciągnącymi od Ixtaxicatlu (Śpiąca Niewiasta), aż zasłoniły widok. Po półgodzinnym pobycie na szczycie trzeba myśleć o powrocie. Przewodnik oświadcza, że można zjechać na rogóżce, pod warunkiem, że bać się nie będę, ani nic na własną rękę poczynąć. Obiecuję mu to, wówczas on schodzi na dno krateru, przynosi plecionkę, siada okrakiem, mnie sadza za sobą, każe objąć się wpół, wyciągnąć nogi przed sobą i nie hamować, broń Boże! Ruśzamy z góry jak na saneczkach. Wiedziałem wprawdzie, że czarownice jeżdżą na łopacie równie wprawnie i biegle, jak pierwszy lepszy roznosiciel na bicyklu, ale nie miałem pojęcia, że można zjechać w 20 minut około 4000 stóp. Wśród tej szalonej jazdy zrozumiałem, dlaczego przewodnik pytał się, czy się nie boję i zakazał nogami hamować. Umiał on się zatrzymać nawet w największym pędzie, ale gdyby ktoś za nim zaczął ze strachu machać rękami, lub hamować lewą nogą o cal więcej niż prawą czy naodwrot, stracilibyśmy ró-

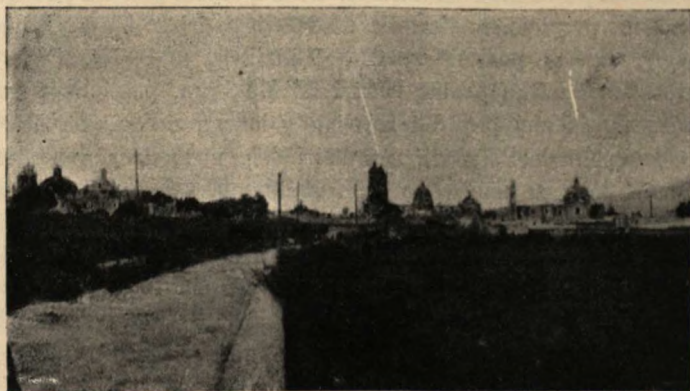
wnowagę, sanki wykręciłyby się na miejscu i zjeżdżałybyśmy. a raczej spadali w przepaść, głową naprzód. Po drodze zatrzymaliśmy się kilka razy, zabrali burkę, prześcignęli znacznie Francuzów i stanęliśmy w rancho o 12¹/₄. Przespałem się godzinę, o 1¹/₂ wsiadłem na koń z F. i Evertsem, bo K. i Bartels odfotografowały wszystko naokoło, puścili się w drogę dużo wcześniej. Wdałem się w rozmowę z przewodnikiem; w drodze trochę zmokłem i stanąłem samotrzeć w hotelu o 6-tej. Potem przebieranie, herbata, obiad, przechadzka po ciemku po mieście, wraz z całym gronem powiększonym przybyciem konsula angielskiego i jego bardzo ładnej żony. Everts poszedł spać o 7-mej, ja o 10-tej. O 6-tej wstałem i zanim pociąg ruszył do Meksyku, poszedłem dwa razy na śliczny pagórek zarośnięty lasem, drogą, na której są stacye męki Pańskiej, a wyżej jeden, niżej drugi kościółek i cmentarz; że zaś był to dzień Zaduszek, więc wyległa cała ludność, by stroić groby w kwiaty i wieńce, zapalać świece, stawiać posążki przedstawiające płaczki, a nawet przypuszczam, zastawiać jadło i napitek jak na Dziady. Z góry śliczny widok na miasteczko i wulkany a drzewa szpilkowe obwieszane spadającymi mechami, łączą świeżość naszych jodeł z smętnym wdziękiem wierzb płaczących.

.....

Meksyk, 30/XII 1902.

Nie pamiętam, czy przeszłego roku opisałem już mami Pueblę de los Angelos, najbardziej meksykańskie miasto w Meksyku; 100.000 ludności zawiera ona w swych murach, na ulicy nie widać tej mieszaniny indyjskiego, hiszpańskiego i amerykańskiego elementu, który tworzy charakterystykę stolicy kraju. Katedra, gdzie byłem na pasterce jest najpiękniejszym kościołem, który widziałem w Ameryce. Stawiał go ten sam Juan Herrera, który budował Escorial na rozkaz Filipa II. Dotąd też widnieją nad bramą medaliony z bia-

łego marmuru odcinające się na ciemnym tle fasady z ciosu, poczerniałej od starości, przedstawiające Karola V i Filipa II. Na innym znów kościele zachował się dwugłowy orzeł Habsburgów hiszpańskich. Osobliwością Puebli są t. zw. azulejos, czyli kolorowe bardzo piękne kafle, wyrabiane w XVI i XVII w. sposobem arabskim, któremi kryto swego czasu dachy, kopuły, zdobiono ściany na zewnątrz i wewnątrz domów. Najczęściej rysunek jest arabeskowy, czasem jednak widuje się i postaci świętych w niewielkich rozmiarach,



Puebla.

ułożone z drobnych kafli na kształt mozaiki. Prócz katedry zasługuje na uwagę i wzmiankę Jezuicki kościół i klasztor jezuicki, który rząd zamienił na rządowy uniwersytet, a Jezuitom łaskawie pozwolił najmować celki w ich własnem niegdyś domostwie. Przedewszystkiem zaś kościół Dominikański, a w nim kaplica różańcowa, sama jak kościół obszerna. Już na podwórzcu warto przyjrzeć się św. Michałowi z azulejos i rzeźbionym drzwom, oraz ścianom zdobnym sztukateriami. Łuki, sklepienia również pokryte stiukową ornamentacją. Kaplica zaś M. B. Różańcowej świeci się od złocien na stiuk

kach i sztukateriach pokrywających zupełnie ściany od posadzki aż po sam szczyt kopuły. Prócz tego jest tam kilka ciekawych rzeźb w stylu staro-niemieckim i 6 bardzo pięknych obrazów hiszpańskiej szkoły przedstawiających sceny



Puebla: Katedra.

dzieciństwa P. Jezusa. Puebla jest rajem zbieraczy, po zastawach można znaleźć piękne sztychy, biblioteczne białe kruki, stare sprzęty, ciekawe bronie i t. p. — W domu p. Alexandra Ruiz, pueblańskiego patrycyusza, widziałem szopkę norymberskiej roboty, a raczej sceny z Narodzenia



Ranchos.

Pańskiego, z przeszło tysiącem drewnianych figurek rozmaitej wielkości...

.....

San Patricio, 2/I 1903.

Nie zamierzam opisać drogi z Meksyku do Monterrey: jest brzydka, jednostajna, niczem nie zajmująca; pomijam milczeniem cały dzień sobotni spędzony od 8. z rana do 8. wieczorem na torze kolejowym w obec dwóch zczepionych lokomotyw, które indyjscy robotnicy — próżniacy jak zawsze — i maszyniści amerykańscy nie dbający o nic, ledwie po 12 godzinach rozerwać zdołali. Zajechałem do kwatery zły, głodny, zziębły, ale w domu księżstwa Albertostwa Radziwiłłów — ona z domu miss Milmo — doznałem najgościnniejszego przyjęcia. Do obiadu siada się po angielsku, t. j. w smokingu, (*on est en famille*) choć zgotowała go Francuzka, nie odstępująca na włos od meksykańskich tradycji. Oprócz rodziny, zasiada kilku młodych ludzi, napół krewnych,

napół urzędników. Dom duży, z podwórzem środkowym t. zw. *patio*. Na dole biura, na górze pokoje mieszkalne. W gościnnym pokoju nad łóżkiem Matka Boska, a wyżej Primavera Boticellego; wśród książek tłumaczenie Marka Aureliusza na angielskie. W szafie obok miejsca na moją bieliznę, prywatna korespondencja rodzinna i t. d. Kostek ze Zegrza przynosi mi wodę do golenia, zabiera ubranie do czyszczenia itd. Co za radość mózdz ze służącym rozmówić się rodzowitym językiem! Po obiedzie wygrywa fonograf wieniec narodowych melodyi, poczem do 11-tej rozmowa po hiszpańsku i angielsku z paniami domu.

Nazajutrz wyjazd do rancho. Po 4-ch godzinach jazdy koleją wśród płaszczyny porosłej marnymi, nikłymi krzakami, stajemy na stacyi Lampazos. Tam obiad w kolejowej restauracyi, podany i przyrządzony po amerykańsku, t. zn. składający się z kilkunastu potraw zastawionych równocześnie ostygniętych i skrzepłych. Opuszczamy stację, w obec której Radymno, Bobowa, czy Biadoliny, są Arkadyą. Do San Patricio ma nas zawieźć pojazd zaprzężony w 6 mułów, dwa w poręcz, a cztery w lic i furman w narodowym ogromnym



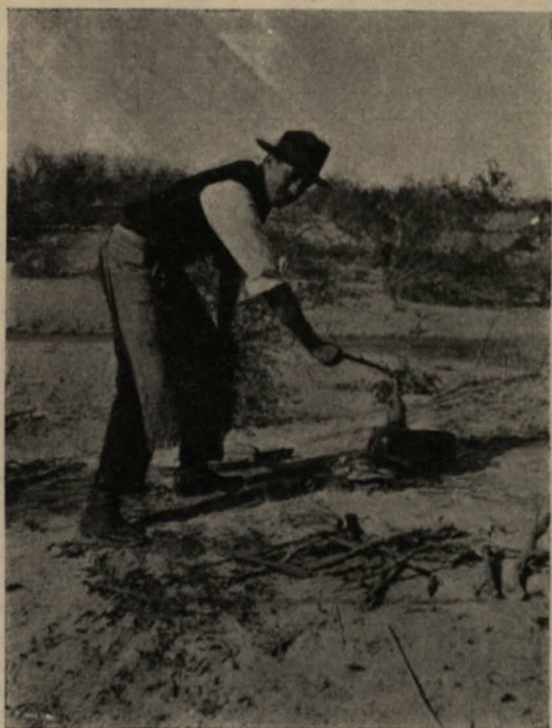
Ranchos: po polowaniu na kaczki.



Ranchos: po polowaniu na kaczki.

kapeluszy słomianym i z długim biczem w ręku. Pojazd o 4 siedzeniach przypomina trochę staroświeckie landary, a trochę góralskie budy. Jest on kryty szarawem płótnem rozpiętym na żelaznych prętach, które budzą za każdym wstrząśnieniem tego, co szuka na nich oparcia wśród drzemki. Krajobraz wciąż ten sam: jak okiem sięgnąć płaszczyna pokryta jednakowymi krzakami, wśród których gdzieniegdzie pożółkła, zeschła, zeszywniała, w siano na pniu zamieniona trawa i roślinki na cal od ziemi nie odrosłe. Na widnokręgu zarysowują się płaskowzgórza o niezmiennych również formach trapezów, wznoszące się jedno za drugimi po stopniach w górę. Jedzie się godzinę, jedzie się drugą i trzecią, a nic się w krajobrazie nie zmienia. Tylko na morzu bywa widnokrąg tak rozległy i widok tak zawsze do siebie podobny; ale na wodzie jest ruchliwość fal ożywiająca pustkę, tutaj

i tego niema. Gdyby ktoś zasnął w drodze, nie wiedziałby po przebudzeniu czy przespał kilka godzin, czy minut. Rancho pp. Milmo ma około 100 mil kw. czyli około 1200 km. kw. Jest zatem mniej więcej tak rozległe jak n. p. Normandya. Na tej przestrzeni prócz owych rzadkich krzaków na gołej ziemi, nie masz na pozór zgoła nic; w istocie jest mniej więcej 18.000 sztuk bydła, 40.000 kóz, kilka tysięcy koni, ale to wszystko niknie bez śladu w tym ogromie. San Patricio wygląda tak, jak opuszczona stannica na dzikich polach wyglądać musiała. Stajemy tam już o zmierzchu. Po-



Ranchos: Kostek kuchmistruje.



Ranchos: popas na pustyni.

dwórce otoczone jest stajniami, kamiennymi — aczkolwiek bez wapna stawianymi — zagrodami i długim budynkiem, gdzie mieszczą się izby czeladne, biuro zarządu, mieszkanie rządcy, sklepik. Jeden bok czworoboku stanowi mieszkanie nasze, rodzaj leśniczówki, bez lasu w około. Na bielonych ścianach wiszą mapy i rogi jelenie, oraz rozpięte jak u nas po stajniach, zabite orły, czy też kanie. W trzech izdebkach mieści się nasza czwórka t. j. dwaj bracia stryjeczni Radziwiłłowie, Albert i Leon — syn Konstantego, urodzony z p. Blanc, jeden z najmilszych, najlepiej wychowanych, a przytem najrozumniejszych, albo może raczej jeden o najbardziej otwartej głowie, jakich spotkać można — i mr. Morgan, chudy, brodaty, ocytany Anglik, który gdzieś w Indyach stracił podobno majątek, a teraz w San Patricio za dnia liczy krowy i cieleta, a wieczorami czytuje Horacego i dzienniki. Do obsługi mamy Kostka i bardzo eleganckiego słuźącego z Paryża. Ale jeść niema do zbytku, bo świeżego mięsa niema oczywiście ani tu, ani w Lampazos, a w tej fortalicyi

istnieje, prócz opisanych budynków, stawek ocembrowany i wiatrak wodociagowy, ale zresztą nie — ani kurnika, ani chlewika, w zagrodach wałęsa się kilka mułów i koni, bardzo zresztą wytrzymałych pod meksykańską kulbaką — oto wszystko. Suchotnicze kureczęta i kurak zbyt chudy, by być kapłonem, a jak na koguta dziwnie cichy, skromny i pokorny, przedstawiają drób. Mleka trudno dostać więcej nad mały dzbanek, bo najbliższa krowa pasie się o 2 mile; jaj niema, bo jakkolwiek uczeni spierają się co starsze, jaja, czy kura — wiadomo wszędzie, a tutaj przede wszystkim, że gdzie niema jaj, tam niema i kur — i odwrotnie.

W Meksyku na rancho swoim vaqueros, czyli pastuchom rękę się podaje, z kowalem mówi się po angielsku, do Jaśka mówi się Don Juan, do Józka — Don José; oni zaś mówią nie »księża panie« ale Don Alberto.

Od dwóch dni jeżdżę z moimi towarzyszami po tych przestrzeniach i przestworach, nie dotarłem dotąd do żadnej



Ranchos: personal X. Radziwiłła.

granicy, ani dostrzegłem jakiegokolwiek zmiany w otoczeniu. Mieliliśmy polować na tutejsze jelenie, ale ich nie widzieliśmy; słyszałem w biały dzień ujadanie tutejszych wilków, t. zw. koyotów, ale ich dotąd nie dojrzałem. Zabawne jest do pewnego stopnia to gospodarowanie na dobrach conajmniej równie rozległych, jak włości Panie Kochanku, choć przynoszących nie tyle. Pozostanę tu jeszcze zapewne do 27. lub 28. b. m. poczem z Albertem, czy bez niego, ale w każdym razie z Leonem powrócę do Monterrey a potem do Meksyku. Może potem wybiorę się z nim na południe.

San Patricio, 25/I 1903.

Pisze znowu na tym samym papierze i z tej samej posiadłości, t. zn. od Alberta Radziwiłła, chociaż nie z tego samego miejsca, bo z San Patricio wyjechaliśmy, ciągle we czwórkę, t. j. gospodarz, Leon, Anglik zarządca Mr Morgan i ja po nieudanem polowaniu na jelenie i wycieczce do San Juan de Alamo, centrum tych niezmiernych prawie obszarów. Droga trzydzieści kilka klm. ciągnie się bez końca, wśród zawsze jednostajnego krajobrazu; krzaki, krzaki i jeszcze krzaki, jak okiem sięgnąć, a między kolczastymi, ciernistymi głógami, kaktusami, trochę porostów, zeschłej trawy, i wszędzie porzrucane kości, szczęki, rogi bydłce, ogryzione przez kojoty i bielejące do słońca. Na trakcie podobnym nieco do podolskich szlaków, spotyka się czasem, rzadko — wozy naładowane sianem, chrustem, czy najprostszymi sprzętami, ciągnione przez woły w jarzmach i lżejsze wózki, zaprzężone w muły. Wyjątkowo tylko widuje się pieszych wędrowców, którzy wyglądają zawsze na zbójów. Koło Alamo jest mały folwarczek, kilkanaście nawodnionych morgów, zazielenionych młodym jęczmieniem, lub żółciejących kukurudzą związaną w snopy. Płócienne przyce tak zwane *katry* rozłożone dwom Radziwiłłom i mnie, w małej izdebce domku krytego strzechą, jak zawsze, z trawy, bo słomy się tutaj nigdy nie widuje. — Nazajutrz wybraliśmy się znowu o pięć

naszych mil na polowanie na kaczki, które stadami zapadają na małe jezioro. Droga wypadła na małe miasteczko zwane Juarez, najlichszą miejsciną jaką sobie wyobrazić można, w której niema kościoła, ale istnieje poczta, golarnia i plac, oraz zakaz wypędzania nań... nierogacizny. Niema tam ani jednego domu z drzewa, ani porządnego muru, tylko lepianki z gliny, niby jaskółcze gniazda. Do kaczek strzelałem z wła-



Wjazd na Mésa de los Cartujanos.

ściwą mi wprawą i zręcznością ze strzelby w rodzaju Mannlichera, nabijanej śrutem; 16 krzyżówek i cyranek było przez dwa dni podstawą naszego pożywienia. Nocą jak zwykle powróciliśmy do Alamo, nazajutrz włoczyliśmy się jeszcze raniem ze strzelbami, ale bez skutku. Ponieważ Albert gospodaruje z Morganem, najczęściej Loche (francuzki sposób wymawiania Leoś) jest nieodłącznym moim towarzyszem. Jest to chłopiec pełen zapału, życia, młodzieńczej wesołości, ujmującej prostoty i uprzejmości, do jakiej tylko zdolny jest polski



Ranchos — w pustyni: Mésa de los Cartujanos.

wielki pan wychowany we Francji. Otworzył mi swemi opowiadaniem okienko na świat, o którym się zwykle nie wie — na francuskich wielkich panów: Murat, Grammont, Guiche, Broglie, Beavau i t. d., uczących się pilnie, sprawujących porządnie i przedstawiających kapitał pracy, rozumu, prawości, majątku i znaczenia na przyszłość. Nie są oni czystej krwi, bo n. p. Radziwiłł rodzi się z p. Blanc, Guiche z Rotszyldówniej, ale jeżeli są tacy, jak ich opisuje Loche, oby Bóg dał, żebyśmy mieli podobnych. — Dziś wyjechaliśmy na płaskowzgórze zw. Mésa de Cartujanos (Stół Kartuzów). Dziwna formacja tych gór tutejszych; Mésa de Cartujanos to wyspa wśród równiny, 36 mtr. kw. a kilkuset mtr. nad poziomem płaszczyzny, na którą się wyjeżdża jedną jedyną ścieżką tak stromą, że niemal karkołomną. Szczyt skłonu jest obwiedziony jak gzymsem skalnym zrębem, szerszym u góry niż u dołu, tak, że chyba ptak może się dostać na wierzch inną drogą, niż ową ścieżką łamaną w skale. Po drodze strzelaliśmy z kolaski kulami do orłów na karko-

watych palmach i do kojota, małego wilka, który mignął się w zaroślach.

Monterrey, 12/II 1903.

Na razie zwiedzam okolice Meksyku; nie wiem, czy wspominałem już o Santa Fé. Jest to osada, nie miasto, ani wieś, bo tutaj owa różnica jest nieznaną, jak w ogóle w Ameryce; dojeżdża się tu ze stolicy naprzód elektrycznym, a potem w muły zaprzężonym tramwayem. Za hiszpańskich



Sta Fé.

czasów leżała Santa Fé na wielkiej królewskiej drodze łączącej Guatemalę z Kalifornią i przeznaczonej Meksyk w całość długości. Dotąd pod warstwą kurzu na pół stopy, doszukać się można bruku dawnego *camino réal*. W miasteczku jest kościół widocznie hiszpańskiej fundacji, jak o tem świadczy herb na fasadzie pod biskupim kapeluszem, resztki framug i ozdób kamiennych na odrzwiach, które ostały się zniszczeniu — a nawet odnowieniu. Probostwo z loggią przytykające do fary ma jakiś wygląd włoski oku widoczny, choć wymykający się z opisu. Kościół stoi nad jarem, jakich pełno

w Meksykańskiej dolinie; w jarze zaś ukrywa się fabryka prochu strzelniczego własność dzisiejszego rządu i dawny niewielki, ale śliczny ogród. Trawy, ni kwiatów tam niema, są pyszne stare i grube drzewa szpilkowe, których nazwać nie umiałbym, bo słyszałem ich nazwę tylko po indyjsku. Są one w rodzaju cisów, czy też cedrów amerykańskich, a obwieszone są niby festonami, mchem pasorzytem rosnącym wolno, bo nie przyrośniętym ale przyczepionym do gałęzi tak, że zdjęć go można nie odrywając. — Ogromne kamienne wodociągi przyprowadzają tam wodę z pobliskiego źródła zapewniają tej kępie drzew i murawie niezbędną wilgoć i świadczą o tem, że przed laty żyli tu ludzie, którzy dla uprzyjemnienia życia nie wahali się podjąć trudu niezrozumiałego dziś dla ich zmarniałych, zubożałych i zwłaszcza gnuśnych potomków...

Meksyk, 15/II 1903.

List ostatni z 12. b. m. przerwał mi, a raczej do szybkiego zakończenia przymusił Albert Radziwiłł, z którym mieliśmy się rozjechać nazajutrz, on do siebie na północ, a ja na południe do stanu Morelos, haciendy San Gabriel, należącej do siedmiu braci Amor. Jadę w towarzystwie Loche'a Radziwiłła, z którym od miesiąca, jak wspominałem, jestem prawie ciągle razem. Nie jest to »arden na cienkich nogach«, przeciwnie, podobny on raczej do percherona krzyżowanego z krwią orientálną wielkiego rodu. Co do naszego gospodarza, jest to produkt *du croisement à rebour*, bo jego ojciec Amor, był meksykańczykiem, a matka, hr. de Luberville z domu, Francuzką. Te końskie porównania nasuwają się mimowoli tutaj, bo wszyscy bracia, z których jednego tylko zostawiliśmy w domu, z zamiłowaniem uprawiają sporty i chowają konie wyścigowe prawdziwej pełnej krwi angielskiej. Śliczne żrebięta, klacze i ogiery sprowadzone z Francji i Anglii, lub tutaj urodzone i wyrosłe, stoją w klatkach stawianych na europejski sposób, a na same przedwyścigowe ćwiczenia

wychodzą do »paddocku« w którym rosną śliczne palmy; za powrotem zaś, zamiast owsa chrupią kukurudzę, zamiast koniczyny zajadają trawę z trzciny cukrowej; a zamiast na pszenicznej, pokładają się na ryżowej słomie. Wszystko to wychodzi na dobre koniom, które wyglądają doskonale, cwałują rączo i wygrywają w Meksyku, kiedy bywają wyścigi. Konie jak wszędzie, to zabawka, sposób miłego spędzania



San Gabriel.

czasu na wsi; to zaś co naprawdę przynosi dochód; to trzcina cukrowa i cukrownia, w której amerykańskie maszyny obsługiwane przez miejscowych Indian pod kierownictwem amerykańskich cukrowników przerabiają trzcinę tak podobną na pozór do naszego końskiego zębu, na mączkę ubijaną w formach. Na płaskim, ogromnym dachu mieszkalnego domu ustawiają potem głowy cukru liczące się na tysiące i dziesiątki tysięcy. Prócz tego piękne bydło, rośnie muły, miejscowe mierzynki (wśród nich jeden arcyzabawny,



San Gabriel: cukrownia.

kędzierzawy jak pudel) świadczą o pracy, zapobiegliwości i gospodarskim zmyśle właścicieli, a zwłaszcza don Joaquina, który na wsi stale mieszka i za wszystkich pracuje. Przyjechaliśmy tu przedwczoraj, jadąc na Amecameca, o której już mamie wspominałem, bo stamtąd wyruszyłem na szczyt Popocatepetlu. W 2 godziny jazdy tutejszą koleją (t. zn. wolnej jazdy) wjechaliśmy ze strefy zimnej, do gorącej, w kraj palm, trzciny cukrowej i upałów. Z okien naszego pokoju widać doskonale oba wulkany o śnieżnych szczytach, Popocatepetl i Ixtaxiatl, całą okolicę, a przede wszystkim samą posiadłość (300.000 hkt.). Kraj tu bogaty, wesoły, barwny, ziemia żyzna, doskonale uprawna, nawodniona obficie, obfite wydaje też plony. Trzy strumienie płynące przez haciendę i mnogie źródła, są prócz energii i rozumu właścicieli głównym powodem tego niezwykłego rozkwitu. Jak czyta mi w tej chwili Loche, pisujący stale — tak jak ja do mamy — do swego przyjaciela i kolegi ks. de Guiche: *Nos hôtes, les*

plus charmants parmi les Méxicains que nous avons rencontrés, ont rapporté de France où ils sont nés et où ils ont passé leur enfance — le goût de l'agriculture, de l'Angleterre où ils ont fait leur éducation — la passion, et les traditions du sport, tandis qu'ils doivent à leur origine méxicaine le talent de commander les Indiens. —

Wszyscy cudzoziemcy mieszkający w Meksyku, z nimi najchętniej przestają, po części dlatego, że po angielsku mówią jak Anglicy, a po francusku jak Paryżanie. Proces, który bracia toczyli swego czasu z krewnymi swymi, rodziną Escandon, o bardzo znaczny spadek i który przegrali po latach sporów prawnych, żyje dotąd w pamięci Meksykanów jako *cause célèbre*. Doprowadzeni do ubóstwa niemal, z powodu niepomysłnego dla nich wyroku, umieli dorobić się napowrót majątku na tym tak wdzięcznym warsztacie jakim jest tutaj ziemia, kiedy ją nawodnić można. — Hacienda San Gabriel jest ciekawą z niejednego względu. Dom mieszkalny stawiany w XVIII w. o bardzo grubych murach i sklepionych komnatach, zachował niezmienną postać. Ponieważ Joachim jest nieżonaty, więc panuje tu trochę kawalerska atmosfera, niema tu salonu, ani ogniska prócz w kuchni. Żyje się na dworze, jada na ganku, sypia w pokojach, co prawda, a listy pisuje się w kancelaryi. Angielskie przyzwyczajenia znać tylko w łożeniach, dzwoneczkach i oświetleniu elektrycznym. Po całym domu przechadzają się śliczne angielskie charty wielkiej ceny; na stołach, prócz gospodarskich raportów i rachunków, widać angielskie czasopisma sportowe, na ścianach fotografie i sztychy znanych koni wyścigowych, na tarasie prócz cukru kurnik, przytykający do kościoła stawianego przez jezuitę, ale nie w jezuickim, tylko hiszpańskim gotyckim stylu. Co niedziela, np. dziś, przyjeżdża ksiądz, każe, odprawia mszę św., chrzci, i rozebrawszy się z szat kościelnych wdziewa opończę, meksykański słomiany kapelusz, przypina mocno ostrogi i siada na podjezdka czekającego cierpliwie u kołka. Spieszy znów o pół mili z trzecią mszą św. do trzeciego kościoła,



San Gabriel: targ.

bo nim przyjechał, odprawił już poprzednio jedno nabożeństwo. Podczas nabożeństwa orkiestra złożona z fletów, skrzypiec, basetli i mandoliny, na której gra kobieta, rżnie od ucha narodowe tańce, t. zw. »dansa«. W kościele groby rodzinne. Filary oblepione dla ozdoby srebrnym papierem, z którego u nas wycina się łańcuchy na wigilijne drzewko. Po mszy św. odbywa się na podwórzu za obejściem gospodarskim targ; w straganach sprzedaje się perkaliki, kapelusze i płaszcze męskie w formie ornatów, a także odbywają się walki kogutów, przyczem Indyanie zakładają się tak drogo, że tracą nieraz w jednej chwili zarobek całego tygodnia i ponad to. — Wczoraj rano i popołudniu jeździliśmy konno po gospodarsku, t. zn. stępa po większej części, przysadzając skokiem tylko to, czego objechać nie można. Dziś wybieramy się po południu we dwójkę, (bo pan domu pożyczycza nam najuprzejmiej koni i przewodnika, ale sam towarzyszyć nam nie może) do sławnych podobno grot Caca-

huamilpa, które liczą się podobno do cudów, jeżeli nie świata, to meksykańskich. Po obiedzie mamy ruszyć, staniemy tam w 5 godzin, przenocujemy, zwiedzimy grotę, a jutro po południu wrócimy. We wtorek zaś ruszamy do Cuarnavaca, skąd znowu do mamy napiszę.

Octopan, 17/II 1903.

Z San Gabriel ruszyliśmy po śniadaniu, które przeciągnęło się do 3-ciej po południu do sławnych grot w Cacahuamilpa. Pożegnaliśmy się najserdeczniej z gościnnym gospodarzem don Joaquimem Amor i ruszyliśmy konno samotrzeć: Radziwiłł, meksykański forys i ja; droga prowadziła przez wieś, potem przez pola uprawne i pastwiska porośnięte trawą bujną, chociaż poźółkłą w tej porze roku. Widnokrąg zamykały rude pagórki, a dalej niebieskawe wzgórza; za nami zaś widniały i złociły się w zachodzącym słońcu oba



Do Cacahuamilpa.



W Cacahuamilpa.

wulkany, Popocatepetl i Ixtaxicatl. Po dwóch godzinach wyjechaliśmy z posiadłości Amorów i wjechali do włości ich sąsiada, zaniedbanych i mało, albo źle uprawnych. Już o zmierzchu pięliśmy się pod górę do wsi, gdzie mieliśmy nocować. Właściciel jaskiń powrócił był do Meksyku, więc list polecający oddaliśmy miejscowemu stróżowi, umówiliśmy się o cenę jutrzejszej wyprawy i zajęli noclegiem i posiłkiem. Za kilkanaście groszy kupiliśmy jaj, czerstwego chleba, zeschłego i skamieniałego sera, po które to artykuły powędrowaliśmy o pół mili; popiliśmy to wodą źródlaną z kilku kroplami whisky. Potem wynieśliśmy z zakopconej i przeludnionej izby rogózkę na podwórze i przespali, czy przeczekali noc miesięczną aż do brzasku wśród krzyku, kwiku, ryku, beczenia, gruchania i t. d. rozmaitych zwierząt domowych. Nie ruszyliśmy jednak do samego celu wyprawy przed 8¹/₂, bo przewodnik się nie zjawił, a na mleko, które starczyć miało za całe śniadanie, trzeba było także cierpliwie czekać. W pół godziny jazdy konnej dotarliśmy do wąwozu, skąd

już tylko piechotą można się dostać do wejścia. U wniścia pieczary rośnie wspaniałe rozłożyste drzewo; dalej ciągną się ogromne korytarze i sale podziemne; a więc: sala Jutrzenki, Tronów, Panteon itd. Od ziemi aż do naturalnych sklepień, wszędzie piętrzą się odłamy bazaltu. Ponieważ nie wzięliśmy ogni bengalskich, ani rac ognistych, a tem mniej magnezyum, więc mamy ze sobą siedmiu wyrostków z woskowemi świecami w ręku, w słomianych kapeluszach, białych koszulach i szarawarach, tak, że nasz pochód wygląda jak procesya katechumenów po katakumbach; podobieństwa dopełniają nazwy nadane przez bujną wyobraźnię miejscowych ludzi skałom, które nam pokazują: od Biskupiej Stolicy prowadzą nas do Grobowców, Relikwiarzy, Ołtarzy — każdy z owych przedmiotów objaśniają kilku słowy i oświecają kilku gromnicami, nie rozpraszącami jednak dostatecznie czarnej nocy, tak, że myśl rzeźbic może w półmroku dowolne kształty. Niekiedy biegnie dwóch chłopaków pod górę, niknie w szczelinach i uderza kijami o wyżłobione złomy, wywołując dźwięk podobny do pękniętego dzwonu. Po półtoragodzinnej uciążliwej drodze, po omacku niemal stajemy u kresu wędrowki, siadamy na kamieniach i gasimy światła, żeby »widzieć ciemności«. Wówczas dopiero rozumiemy się ile rozpaczy tkwi w otchłani, w której światło zamarło, i jak słusznie Pismo św. nazywa szatana »duchem ciemności«. Można by dzień cały błądzić w pieczarach, ale wszystkie są do siebie podobne, pochód staje się coraz trudniejszy, a zresztą trzeba wrócić na powierzchnię ziemi, zanim świece dopalą się do końca. Innej jeszcze osobliwości w Cacahuamilpa pominąć nie wypada: jest nią niższe piętro jaskini, przez które przepływa rwący potok. — Po drodze stromej jak drabina napatrzeć się można widokom, co choć mniej rzadkie i niezwykle niż podziemia, któreśmy opuścili, są dla oka miłsze i weselsze, a pod błękitnem podzwrotnikowem niebem mniej przejmujące, ale bardziej czarujące. Na samym dole czeka ochłoda i orzeźwienie w rwą-



Cuernavaca.

cych falach rzeczki przypominającej Poprad pod Żegiestowem. Przed słonecznymi promieniami, padającymi niemal prostopadle, chroni olbrzymie naturalne sklepienie. Za powrotem do chałupy strzechą krytej skąd wyruszyliśmy, zasiadamy do pieczonego kurczęcia i jaj na twardo i koło 3-ciej mimo skwaru wyruszamy do Octopan, skąd piszę. Jest to majątek p. Emanuela Amora, szwagra pani de Polignac. Po drodze, Loche nie przyzwyczajony do upałów, zaczyna słabować; dojechaliśmy jednak szczęśliwie, przebywszy spaloną słońcem dolinę, a dalej brzegiem ślicznej rzeczki. Najstarszy brat i głowa rodziny u której gościmy od kilku dni, jest również Europejczykiem przeszczepionym na tutejszy grunt. Z Europy przywiózł raczej zamiłowanie książkowe, niż namiętność sportu. Spotykamy go przed domem na koniu, zajętego z rządcą gospodarskim objazdem, zato nazajutrz przed śniadaniem zastajemy go z *Gil Blasem* Lesage'a w rękę, a w jego pokoju widzimy bibliotekę, świadczącą o katolickich przekonaniach i humanistycznych zamiłowaniach pana domu. Objazd pól zasianych trzcina cukrową, lustracja folwarków, cukrowni itd., dowodzi, że uprzejmy nasz gospodarz jest zawołanym agronome. Nie wiem, czy moje listy mamunię bardzo zajmują, dla mnie są one wprost potrzebą.

Spokojną chwilą muszę podzielić się z mamą moimi spostrzeżeniami gospodarskimi. Meksyk to nie Galicya, ani trzcina ozimina, a jednak można mojem zdaniem wiele, bardzo wiele się tutaj nauczyć. Gdybym kogoś miał kształcić na agronoma, posłałbym go do Ameryki: trzeba się tam uczyć gospodarstwa, gdzie ono przynosi, a nie w Niemczech, gdzie nic nie czyni.

Cuarnavaca, 19/II 1903.

Za godzinę siadamy z Lochem do pociągu i staniemy, da Bóg, o 5 lub 6 w Meksyku. Tem samym zakończy się wycieczka tygodniowa, a zapewne i wogóle moje podróże po tym kraju: może jeszcze pojedę do Oaxaca, żeby widzieć ruiny w Mitla i Mont Alban, ale na tę podróż nie mam jeszcze pozwolenia. Przedwczoraj po napisaniu listu do mamy siadłem z Amorem i Lochem na koń; objechaliśmy pod przewodnictwem gospodarza majątek duży jak dobra wieś u nas, ale na tutejsze stosunki niewielki; zato wyjątkowo —



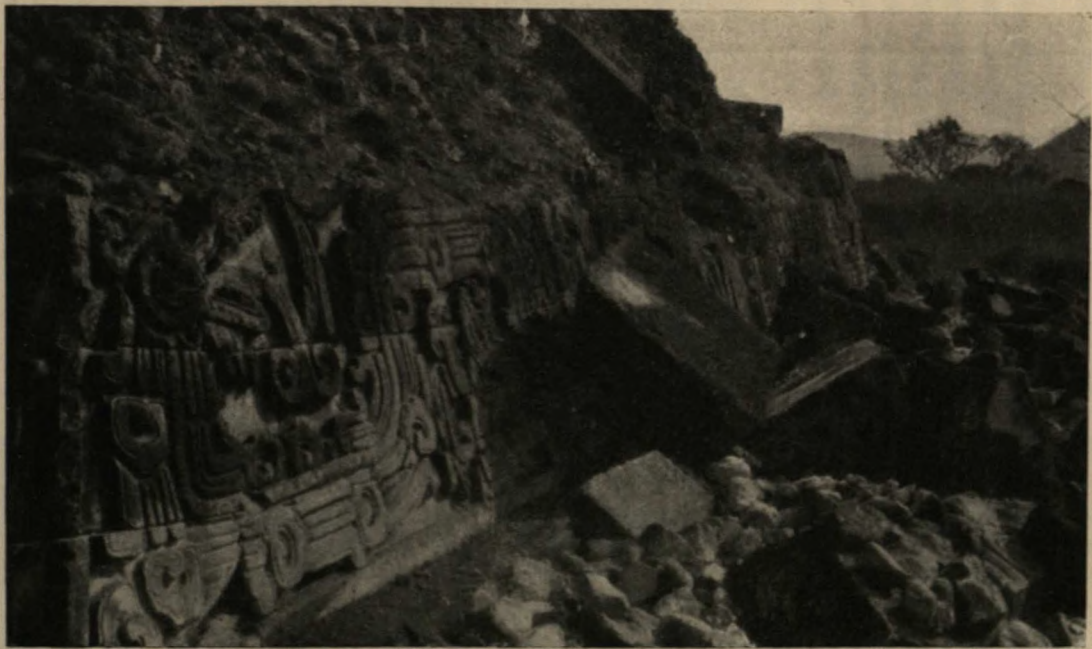
Cuarnavaca. — Ogród.

nawet tutaj — żyzny i wydajny. Potem po kolacyi, do której miejscowym zwyczajem zasiadają oficjaliści, Meksykanie do uprawy roli, i Amerykanie kierujący fabryką cukru, rozeszliśmy się do naszych pokojów. Do mojego zaglądały przez zakratowane okna olbrzymie liście bananowe. Mieliśmy ruszyć o świcie, ale wyjazd przeciągnął się do 9-tej. Przestroną bryczką na 8 osób, krytą i opatrzoną firankami, które dowoli zapuszczać i podnosić można, ruszyliśmy do Xochicallo (nie ręczę za ortografię). Ledwie opuściliśmy dolinę



Osada meksykańska.

strumienia, który zalewa i użyźnia pola zasiane trzcina, wjechaliśmy w znany nam już dobrze kraj pastwisk i pustek, po których próżno szuka wzrok czegokolwiek prócz trawy zeschłej i gdzieś tam chudego bydła pstrokatej maści; poblizie wody zwiastują wszędzie zielone soczyste łany cukrodajnych szuwarów. W półtorej godziny jazdy zatrzymaliśmy się w szczerem polu. W cieniu kępki drzew czekały na nas konie, te same, na których onegdaj odbyliśmy drogę z San Gabriel do Cacahuamilpa, a nazajutrz stamtąd do Octopan. Do przewodnika przyłączył się wyrosły jak z pod



Cuernavaca: ruiny Xochicalco.

ziemi stróż i krętą ścieżką wyjechaliśmy na szczyt pagórka, gdzie zachowały się resztki pogańskiego chramu. Widok ze szczytu na okoliczne wzgórza, dalsze pasma i wulkany — rozległy i wspaniały. Aż pod sam szczyt sądzić można, że pagórki i zwaliska są w rodzaju tych, które mamy na Pannieńskiej Górze; z świątyń zachowały się szczątki schodów i obmurowania pokryte płaskorzeźbami podobnymi do asyryjskich. Wąż, który tak wielką rolę gra w mitologii Azteków, służy za główny element dekoracyjny. Przewodnik pokazał nam również grotę, gdzie zapewne chowano zmarłych, albo skarby.

Oaxaca, 1/III 1903.

Przedwczoraj o 4-tej ruszyłem z Meksyku do Puebli, o 8¹/₂ stanąłem w Grand hotelu, wszystkie pokoje zajęte, a Radziwiłła niema, bo pojechał do Jalapy. Idę odwiedzić p. Z. chcąc mu polecić powstańca z 1863, biedaka, którego losy przypominają smutne koleje Latarnika. Pan Z. już śpi o 9-tej. Idę więc na obiad i czekam na Loche'a, który wreszcie się zjawia, każe wstawić łóżko do swego pokoju, tak, że znalazłem schronienie, bo inne zajazdy były przepełnione. Nazajutrz włóczęga po mieście, a popołudniu wyjazd do Cholula, miasteczka o sześciu ledwie tysiącach mieszkańców, która liczy jednak przeszło 50 kościołów.

Cholula odgrywała w mitologii Azteków ważną rolę, była miejscem świętem, do którego zdążyły pielgrzymki i spływały ofiary. Usypano tam cztery kopce, z których najwyższy, większy conajmniej razy dziesięć od kopca Kościuszki, bo wznosi się na nim duży kościół, pod wezwaniem św. Anny; zwie się »Górą łask«. Kościół przeładowany — jak zawsze tutaj — złoceniami i ozdobami; z kościelnej wieży widać Pueblę, cztery wulkany, czyli: Popocatepetl, Ixtaxiatl, Malinezi, Orizaba i szeroki szmat kraju. Wśród kościołów zasługuje na wzmiankę jeden, stawiany za rządów Filipa II i nigdy nie ukończony, o siedmiu nawach, podobny nieco

do hiszpańskiej katedry w Cordowie, przerobionej jak wiadomo z meczetu. Kościół dokładnie odpowiada pojęciom religijnym owego czasu, bo ogromny, a jednak pusty; drugi obok, o ciekawem gotycko-hiszpańskim wiązaniu i drzwiach nabijanych bretnalami, przedziwnej kowalskiej roboty. Przed farą pokazuje nam mały Indyanin, który narzucił się nam na przewodnika, ogromną płytę kamienną wpuszczoną w ziemię, na której jakoby zdobywcy tracili pogan.

Nazajutrz trzeba było wstać o 5-tej, a o 6-tej być na dworcu, bo pociąg do Oaxaca rusza przed 6¹/₂. O wschodzie słońca rumienią się w zorzy śniegiem ubielone szczyty wul-



Oaxaca.

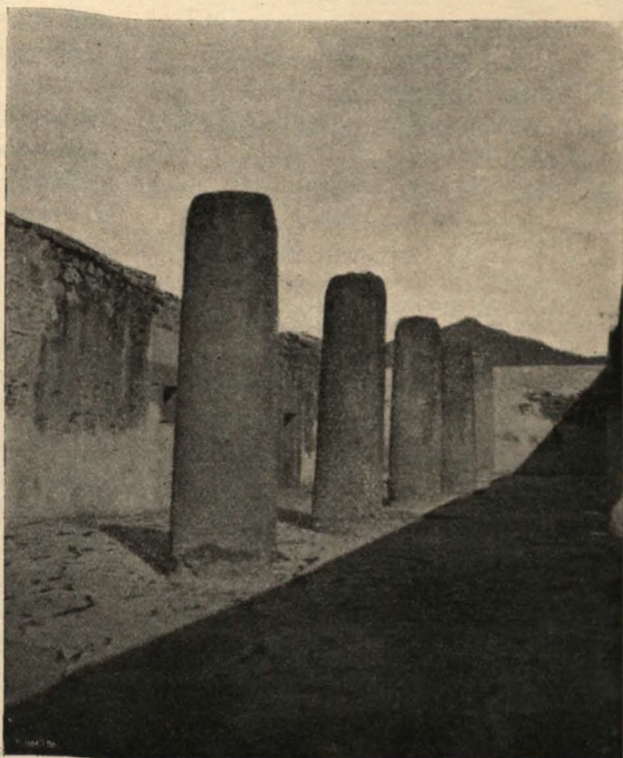
kanów (dwóch pierwszych, które już wymieniłem) oddzielających niebotyczną przegrodą dolinę Meksyku, od doliny Puebli. Potem 13 godzin nudnej, jednostajnej drogi po płaskim kraju, zacieśniającym się dalej w wąwóz, a nie wzbudzającym zajęcia ni wśród gór, ni na dolinie. O zmierzchu staje się w Oaxaca. W przechadzce poobiedniej po mieście, spotykamy kościół otwarty o 10¹/₂ wieczorem, oświetlony elektrycznością i odwiedzany o tej niezwyklej nocnej porze przez garstkę pobożnych, którzy modlą się półgłosem lub spowiadają po cichu przed księżmi siedzącymi nie w konfesyonałach, ale w ławkach, choć konfesyonałów nie brak. Nazajutrz idziemy na targ, gdzie ładne dziewczyny i przedwcześnie podstarzałe kobiety sprzedają owoce, jarzyny,

kwiaty, krupy itd. Zwiedzamy katedrę z chórem hiszpańskim wprost głównych drzwi, odgradzającym nawę od wielkiego ołtarza, z pięknym obrazem Matki Boskiej, dobrego hiszpańskiego pendzla. Kościół św. Filipa o ciekawych złoceńiach w miejscowym stylu t. zw. »churuguresco« wykwintnej roboty i subtelnego rysunku. Srebrny Chrystus dawnego mistrza, rozpięty na świeżym krzyżu, świadczy raz jeszcze o tem, jak mało, albo wcale nie postąpiła sztuka w ostatniem stuleciu. Podziw budzi San Domingo, ogromna świątynia, rażąca trochę zbyt świeżem odnowieniem, ledwie przed czterema miesiącami ukończonem, ale niezwykle okazała i zasługująca rzeczywiście na miano »jednego z najwspanialszych kościołów w Ameryce«, jak to ze słuszną dumą wypisano złotemi literami na pamiątkowej tablicy erekcyjnej. Na sklepieniu u wejścia pod chórem rzeźbą drewniana przedstawiająca drzewo Jessego z przodkami Pana Jezusa i Matką Boską z Dzieciątkiem u wierzchołka, jest nietylko ciekawa; ale prawdziwie i bez zastrzeżeń piękna. Na sklepieniu nawy głównej sceny starego i nowego Testamentu w płaskorzeźbie, lub malowaniu ściennem, uzupełniają pomysł wyrażony symbolicznie rozrosłą winną macią już od samych drzwi. W bocznej kaplicy drewniany posąg św. Dominika, godzien współzawodniczyć z najlepszymi sewileńskimi pomnikami snycerskiej sztuki. Ten kościół to przybytek Boga-Króla, „*Divina Majestad*“ mówią Hiszpanie; jak gdyby stawał go ów Król-Mędrzec, który w stajence betleemskiej ofiarował małemu Panu Jezusowi złoto, na znak królewskiej godności. — Popołudniu wybrałem się z nieodstępnym Lochem do Monte Albano, gdzie przechowały się zabytki fortyfikacyjne z przedhistorycznych czasów. Kopce i wały przypominają żywo to, co pod kierownictwem oficerów inżynierji i jeneralnego sztabu sypie się po dziś dzień pod Przemysłem i Krakowem. Co ciekawe, to szereg płyt, na których rylcem wyryto ludzkie podobizny w niezgrabnych swych kształtach do małych dziwnie podobne i które u wejścia

do podziemia odkopanego w roku przeszłym tańczą jakiś archaiczny taniec śmierci jak w Bazylei, lub Campo Santo pizańskim. Szczerzą zęby jak kły w przeraźliwym uśmiechu i rękami jak łapy, zaznaczają niewytłomaczone ruchy, inne zaś podnoszą do ust czaszę, jakby szukając zapomnienia i oszołomienia przed śmiercią, zmorą ludzkości dziś i po wszystkie czasy...

Oaxaca, 3/III 1903.

Już bez ciężkich ogromnych meksykańskich ostróg, ale jeszcze w butach i ogromnym meksykańskim kapeluszu dużo praktyczniejszym od angielskiego hełmu, siadam do listu, by zdać mamusi sprawę z wycieczki do Mitla. Wczoraj o 6-tej z rana obudził nas, t. j. zawsze Loche'a i mnie, tupot kopyt końskich pod oknami. To Aurelian, który z żołnierską akuracnością stanął na zawołanie o naznaczonej godzinie. Wyruszyliśmy o 7·10, a o 2·10 byliśmy w Mitla. Po drodze, w Tule, na podwórzu probostwa widzieliśmy słynne drzewo, na którym dotąd odczytać można wyrzynięty w korze napis Humboldta z przed stu z górą lat; zdaniem niemieckiego przyrodnika, było to ogromne szpilkowe drzewo już na początku XIX wieku najgrubszym drzewem na świecie. Obwód pnia wynosi podobno 54 metry; mówię »podobno« bo mimo rad, których udzielali mi życzliwi Niemcy, nie zabrałem z sobą szpagatu, by go zmierzyć. Korona jakkolwiek wspinała, nie odpowiada wyjątkowej grubości pnia, tak, że z daleka wygląda owo drzewo bardzo pięknie, ale zwyczajnie, z bliska zaś nadzwyczajnie, ale mniej pięknie, bo sądzićby można, że drzewo cierpi na wodną puchlinę. Droga jak zawsze w tym bezludnym, bezleśnym, bezwodnym kraju dosyć jednostajna, jakkolwiek bardziej urozmaicona niżli zwykle. Po drodze spotykamy typy z Telmantepu, gdzie byłem przeszłego roku, a które należą do stanu Oaxaca; przejeżdżamy kilka wiosek i miasteczek i stajemy na miejscu. Gubernator, który dostarczył nam koni i dwóch żołnierzy,



Ruiny Mitli.

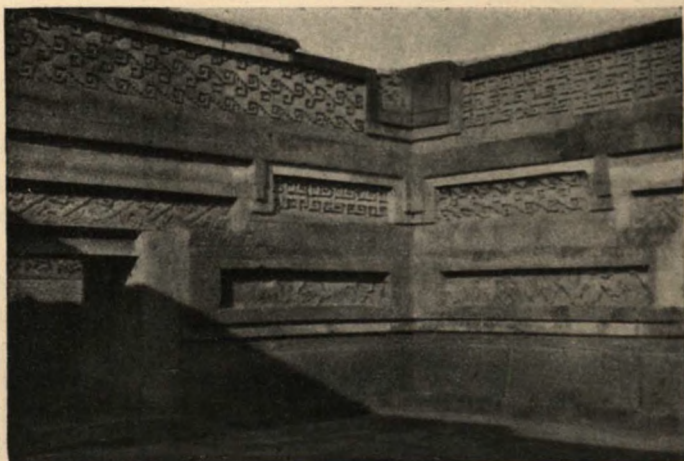
musiał telegraficznie oznajmić nasze przybycie, bo na spotkanie nasze na placu miejskim podobnym do rynku w... Ustrzykach (bo nie śmiem porównać go z rynkiem w Czchowie, Zakliczynie, a tem mniej w Brzesku), zjawia się cała czereda Indyan w koszulach i szarawarach i prowadzi do ciemnej izby zdobnej w litografie don Porfiria Diaz (urodzonego w Oaxaca) w różnych porach wieku, gubernatora Stanu, i oczywiście Juareza, który również był rodem z tych stron. Każą nam się zapisać uroczyście w książce pamiątkowej

i traktują nas z niezwykłym uszanowaniem. Pokazuje się, że ci obywatele, to ojcowie miasta, *Senatus populusque mittacensis* — że to rajcy godni stanowić o losach Baranich Główn z Sienkiewiczowskich *Szkieł węgłem*. Książęcy tytuł Loche'a wprawia ich w zdumienie. Dzisiaj niema tytułów w Republice, ale za hiszpańskich czasów, księżęta bywali tylko królewskiego rodu; ztąd przypuszczenie, że Loche, to chyba ks. Walii!!...

W hotelu czeka już stróż zabytków, który prowadzi nas do ruin. Nie są to wykopaliska w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo po wszystkie czasy sterczały ponad ziemią. Z pałaców zachowało się podwórze cementowane (które niegdyś musiało być zewsząd obudowane, jak starożytne atrium) i t. zw. świątynia, czyli drugie podwórze kątem do pierwszego przystające, z którego zachowały się nietylko mury, słupy, ale nawet ceglane ozdoby w rodzaju arabesków z palonej gliny, widniejące na murach, gzymsach, fryzach itd.



Ruiny w Mitli.



Mitla.

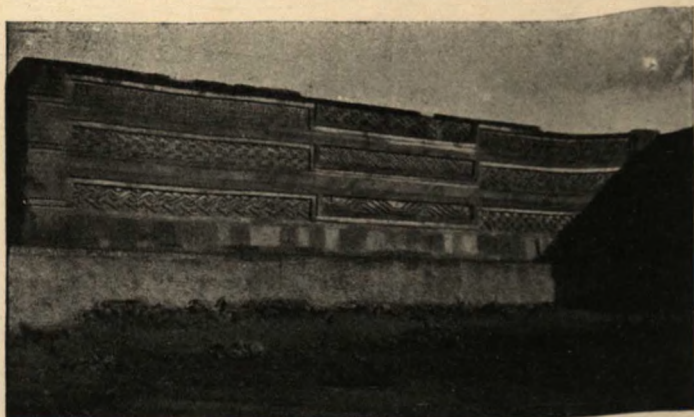
Dochowały się i resztki czerwono-żółtej polichromii. Rysunek jej ciekawy jest, ale jednak nie odpowiada naszym wyobrażeniom estetycznym, bo sztywny — linia krzywa jest prawie nieznaną — urywany, zygzakowaty i mimo kilku odmiennych wzorów, jednostajny. Między ogromnymi płytami z ciosu, które najwidoczniej z wielkim trudem i zachodem sprowadzano z daleka, wprawiono te cegły i ceglane ozdoby tak, że *mutatis mutandis* jak pruski mur wyglądają owe mury ciężkie, przysadkowate, o podstawach nie pod pionem stawianych, ale pochyłych, szerszych u dołu niż u góry. Są i podziemia, bardzo umiejętnie budowane, opodal zaś, tam gdzie dzisiaj stoi parafialny kościół, szczątki murów o tym samym rysunku, i ponad stajnią proboszcza znikające już zupełnie resztki polichromii, która przedstawiała potworne jak zawsze postacie Indyan. W Mitla otwiera się na rozcież pole do najśmielszych hipotez, bo niema pisanych zabytków pouczających o wyglądzie i rozkładzie mieszkań w tych kamiennych rozwalinach. Za czasów Korteza i pierwszych *con-*

quistadores już były one w gruzach i wyglądały — że nie wspomnę o kilku żelaznych podporach — tak jak dzisiaj mniej więcej. — Od ruin w Xochicalco i Monte Albano różnią się przede wszystkim tem, że leżą w dolinie, w środku wsi, a nie na górze, jak tamte, że są bez porównania większe i lepiej zachowane i że próżno szukać w nich ludzkiej podobizny. Robota świadczy, że muszą należeć do dużo późniejszej epoki, i że wykonano je według prawideł już wykształconej sztuki budowniczej.

W pięć i pół godzin wróciliśmy do Oaxaca, conajmniej 48 kilometrów. Byłem u gubernatora, żeby mu za konie i ludzi podziękować, i pożegnałem się z żołnierzami, którym nasze towarzystwo widocznie do smaku przypadło, bo chcieli nas nakłonić do dalszych wycieczek konnych. Zwiedziliśmy po raz drugi S. Domingo, katedrę (obraz Matki Boskiej jest rzeczywiście bardzo piękny), targ, a po raz pierwszy dom, w którym urodził się don Porfirio Diaz, kościół Soledad, spacer zwany Llano de Guadalupe, San Felipe de Aguas, miejscowość z ślicznymi ogrodami o 3 klm. od miasta, dwa zbiory starożytności azteckich, dom konsula niemieckiego stary i ciekawy. Jutro o 6-tej rano wyjeżdżamy; za 24 godzin będziemy w Meksyku...



Mitla.



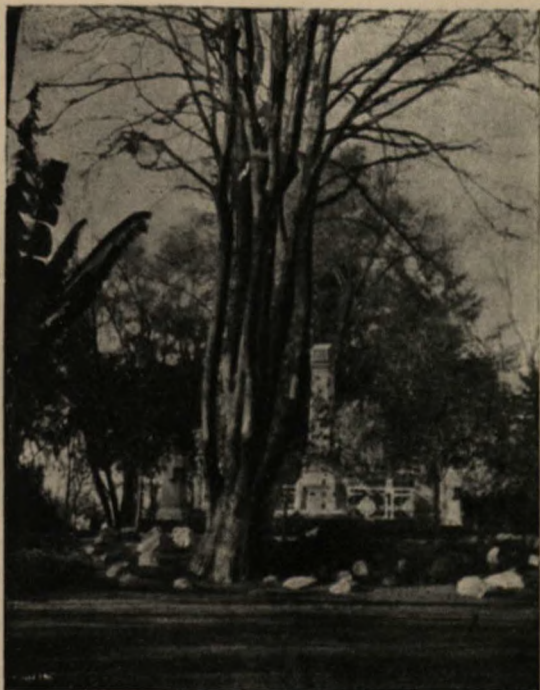
Mitla.

Meksyk, 7/VI 1903.

W tym tygodniu odbyłem w licznym towarzystwie pań i panów konną wycieczkę do »El Desierto« starej pokarmelickiej pustelni. Ruszyliśmy o 7-mej z rana, p. R. pożyczył mi swego konia, który od 1½ r. ogromnie się rozrósł i wypiękniał, a ponieważ za mało pracuje, tak wzrósł w siły, że mógłby nie 8, ale 16 godzin bez zmęczenia iść galopem i kłusem.

Droga częścią na przełaj przez orne pola, częścią po dawnej hiszpańskiej drodze dotąd zwanej *el camino real*, która niegdyś łączyła Guatemalę aż z San Francisco. Minęliśmy Santa Fé. Panie zatrzymują się po karczmach dla napicia się limonady; spotykamy dziadów, baby, chłopów z tobołkami na małych konikach itd. wracających z odpustu i udających się na targ. Kraj dziki, smutny, bezludny, źle uprawny; przejeżdżamy kilka jarów podobnych do podolskich, które tu nazywają się »baranca«, aż do chwili wjazdu w szpilkowy, wysokopienny, aromatyczny las. Brzegiem ruczaju jedziemy pod górę, każdy rad, że znowu po długim czasie znalazł się w lesie. Zwierzyny, albo jej śla-

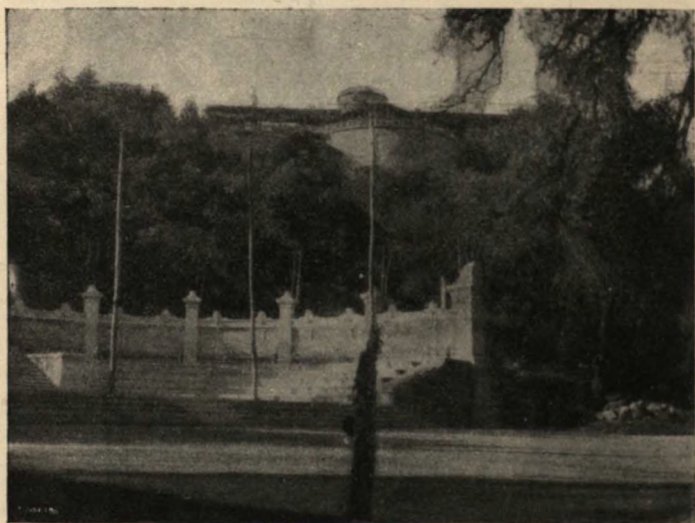
dów, jak zawsze, brak zupełny. O 11-tej stajemy na miejscu i zastajemy służbę z prowiantami. Ogromne opactwo, dziś opustoszałe, stoi na małej polanie, zewsząd jak okiem sięgnąć, aż do gór szczytów otoczonej lasem. Z wieży kościelnej widać rozkład podwórz; jest ich sześć, szczątki korytarzy, zwaliska celek i innych klasztornych zabudowań. Kiedy w roku 1857 wypędzono mnichów, musieli Indianie okoliczni zabrać wszystko, co tylko zebrać i przenieść było można, bo nawet haka, ani szyby w zwaliskach znaleźć niepodobna. Ogród, gdzie zapewno pielęgnowano jarzyny i kwiaty, również porósł zielskiem i chwastem. Pod klaszto-



Ogród w El Desierto.

rem ciągną się podziemia ogromne również, opodal zaś jest domek letni odznaczający się niezwyklej akustyką. Całość przedstawia się malowniczo, choć architektura nie musiała być równie wykwintną jak była okazała; jest to najmniej meksykańska rzecz, którą w Meksyku widziałem. Wsiedliśmy o 3¹/₂ na koń i inną, ale dłuższą drogą wróciliśmy tutaj w 4 godziny. Tylko nasi Meksykańczycy, którzy woleli po śniadaniu drzemać, niż zwiedzać ruiny, zgubili się, mimo że powinni znać język i kraj, a mieli ze sobą służbę. Ale są to i będą zawsze niedołęgi.

.....



Pałac w Chapultepec.

Meksyk, 2/VII 1903.

Nie wiem jeszcze kiedy stąd wyjadę..... ale żegnam Meksyk bez najmniejszego żalu; piękniej tu być musiało za czasów *de los conquistadores*..... *adios Mexico!*

Z KRAJU FARAONÓW.

I.

EGIPT W LECIE.

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Teby, Kair

O Egipcie dziś pisać jest nie lada zadaniem. Kto ziemi Faraonów nie odwiedził, kto nie starał się utrwalić wrażeń tam doznanych dla siebie i dla innych? Od Herodota począwszy, ojca historyi a protoplasty z lewej ręki drukowanych przewodników, Baedekerów i t. d., aż do dziennikarzy przyjeżdżających gromadnie co zimy, któż nie położył podpisu pod zapiskami z nad Nilu?

Uczeni wyrażają się pogardliwie o utworach dorabianych dla objaśnienia fotografii podróżnych, o szkicach żyjących życiem jednodniówki na kapuścianych liściach — *feuilles de choux* — prasy europejskiej i amerykańskiej. Tym uszczypliwym ocenom nie można odmówić słuszności. — O Egipcie nie należałoby pisać inaczej jak Słowacki w *Liście do Aleksandra H.* i w *Podróży na Wschód* to znaczy »jak perłami« żeby użyć porównania wykwitłego pod piórem najświetniejszego mistrza naszego języka, lub skupić wynik pracy długoletniej w uczonem dziele przenikającym przeszłość lub rozświetlającym



Piramidy w Gizeh.

teraźniejszość jak n. p. *Histoire Ancienne des Peuples de l'Orient* najślynniejszego z żyjących egiptologów, dyrektora kairskiego muzeum, G. Maspero, lub jak *La Question d'Egypte* francuskiego statysty Freycineta.

Niestety nie każdy ma na swoje zawołanie polot poety lub skrzętnie nagromadzoną wiedzę rozkopywacza grobów i czytelnika hieroglifów; nie jeden zaś myśli a może tylko się łądzi, że ma coś nowego do zauważenia i przelania na papier w obliczu piramid, Sfinksa i obelisków.

A jednak nie łatwo ograniczyć potrzebę pisemnych zwierzeń do samych tylko pocztówek; w opisowość popada się tam jak w nałóg i zamiast pachnidła z wonnej czary, rozlewa się z kałamarza atrament na cześć starego bożka — Nilu, który nie odwykł od hołdów i ofiar.

Ale bo też obrazy wijące się przed oczyma od cytadeli kairskiej po pierwszą kataraktę są takie barwne, takie sło-

neczne, takie pełne słodyczy południowej i gorącego uroku, że pragnie zachować się je w pamięci zanim przyjdzie powrócić w krainę słoty i cierpkich jagód, gdzie perły rosy ścinają się w brylanty szronu, gdzie słońce zezem z za chmur spoziera, a wesoły uśmiech jest kwiatem z cieplarni, krótkotrwałym i sztucznie wypielęgowanym.

Prawdziwe szczęście jest zapewne równomierne i wszędzie rzadko na kuli ziemskiej rozsiane, ale są krainy, gdzie o pewnych porach roku zdolność używania życia się wzmacnia, gdzie z każdym oddechem wciąga się pełną piersią powietrze podniecające jak szlachetne wino, gdzie pod stropem niebieskim, jak pod kloszem, spala się w płucach czysty tlen i krew



Sfinks i piramida Chefrena.

do szybkiego krążenia pobudza. Takim krajem jest Egipt. Przybyszów z północy uderza niefrasobliwość miejscowej ludności. Żebrak w łachmanach domagający się natarczywie jałmużny, *effendi* zasiadający od samego rana przy filiżance kawy i wodnej fajce, zamożny panicz w doróżce, automobilu, czy na tarasie modnego hotelu, zadawalają się chwilą obecną, nie troszczą się nazbyt o jutro, nie rozmyślają o zmianie ani o poprawie losu.

Nikt nie poczuwa się do obowiązków obywatelskich, nie walczy w obronie swoich przekonań, nie kroczy za sztandarem politycznego czy społecznego obozu; nikt także nie docieka tajników wiedzy, nie stawia sobie i innym dręczących pytań, nie wspina się na wyżyny artystyczne, nie goni zwodniczych mar z własnej wyobraźni powstałych, nie zapręga się jednym słowem do pracy, pod której jarzmem ugina się Europejczyk.

Wszak życie samo w sobie jest tak powabne, takie proste, tak niczem nie zmęczone, że byle mózdz czerpać z jego źródła, nie warto się kusić o rozwiązanie zagadek nie będących w bezpośrednim związku z uciechą i rozkoszą.

Ale czerpak musi być szczerozłoty. Więc też cała energia, cały wysiłek woli i naprężenia władz umysłowych kieruje się do zarobku, do nagromadzenia szlachetnego a brzęczącego kruszczu, za który można z Paryża sprowadzić wszystko, czego — nie dusza wprawdzie, ale zmysły zapragną; dusza zaś jak dziewczeczka ewangeliczna »nie umarła, ale śpi«.

Od przekupnia obnoszącego po ulicach bakalie i paciorki, do bankiera układającego w wykwintnie umebłowanym kantorze nowe emisje papierów wartościowych, wszystkich trawi gorączka pieniężna, zajmuje wyłącznie ruch na giełdzie i na tych wszystkich polach, na których majątek można pomnożyć albo i stracić.

Nawet urzędy egipskie wyglądają raczej na domy handlowe, niż na części składowe maszyny biurokratycznej. Mniej

się w nich spisuje protokołów i zbiera ankiet, mających rozstrzygać *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a więcej załatwia spraw natury finansowej, udziela rządowego pozwolenia na rozmaite przedsiębiorstwa, sprzedaje ziemi należącej do skarbu państwa i rozpisuje dostaw na rzecz więzień, szpitali, kolei, drukarni i t. d. a na taką modłę zawiadywania rzeczą publiczną nikt się właściwie nie żali!

Dolce far niente, zupełna obojętność na sprawy i zagadnienia z dziedziny duchowej, a zarazem mrówcza pracowitość wszędzie tam, gdzie chodzi o zarobek materialny, są cechą niewolniczego usposobienia i właściwością egipską. *La bourse et le boulevard* — jak trafnie określał położenie znakomity francuski uczoney — są ogniskami życia nowoczesnego w odwiecznym kraju Faraonów.

Nic za nic. — Odkąd uznano powszechnie dolinę Nilu za raj na ziemi w zimie, utrwaliło się przekonanie, że letnią porą, musi być ona, jeśli nie piekłem, to conajmniej czemś nakształt czyśca, czyli miejscem udręczenia, gdzie w żarze promieni słonecznych, w pragnieniu i w czoła pocie czekają wszyscy z utęsknieniem jesiennego chłodu.

Do mniej lub więcej istotnych dolegliwości ciała dołącza się duszne cierpienie.... Gorzej bowiem od *hamuil*, od wrzodów, które już za biblijnych czasów nawiedzały mieszkańców egipskiej Deltę, jątrzy się rana drażnionej miłości własnej na myśl, że pobyt w krainie Sfinksa i Piramid za skwarnych miesięcy nie stosuje się do wymagań wykwiutnego spędzania, czy zabijania czasu.

Jaki taki *arbiter elegantiarum*, a choćby jego warszawskie wcielenie w osobie pana Zygmunta Podfilipskiego — potępiłby niezawodnie takie wykroczenie przeciw umiejętności »urządzenia sobie życia«; wiadomo zaś, powszechnie, że duchowe potomstwo bezdzietnego Petroniusza rozpleniło się z czasem niby piasek morski i gwiazdy niebieskie; mniej wprawdzie zna się dzisiaj na poezyi i posągach od swego

protoplasty, lecz tem surowiej za to przestrzega przepisów *savoirvivre*. Szczęśliwy kto próżności próżen, próżnej męki sobie nie przyczynia. Lecz jakże niewielu wolnych jest od przywary, rozwielenionej w kraju, gdzie szlachetnej dumy tak mało, a osobistej godności omal wcale spotkać się nie zdarzy.

Od chwili, kiedy angielskie jaskółki, pulchne francuskie przepiórki, słowiańskie czajki, gruchające niemieckie turkawki, ba! amerykańskie rybitwy, a wśród tej skrzydlatej rzeszy oczywiście i słonki oraz kukułki wątpliwego pochodzenia, zaczęły stale nadlatywać tu do słońca i niezachmurzonego błękitu, uroiły sobie miejscowe gęsi, dzikie lub nawpół oswojone indyczki, stare czaple, żorawie — tu pomijam inne gatunki błotnego ptactwa — a nawet najzwyczajniejsze kwoki domatorki, że muszą także szybować wśród przestworza i zrywając się ociężale już od maja, zapadają stadami w Montreux, Vichy, w Karlsbadzie, czy poprostu na bulwarach paryskich.

Oczywiście zaś te, którym nie dano polecieć po nowe upierzenie na *rue de la Paix*, gęgają czy też klekocą załóżnie aż do powrotu towarzyszek.

Za samiczkami lecą mniej lub więcej dobrowolnie samcy, gęsiory i kaczory, za kurkami koguty (czarne.... kapłony zostają na straży kurników) i Egipt wyludnia się peryodycznie, jak peryodycznie wylawa Nil, a żyzny egipski namuł, który w Europie osiada, musi być nad wszelką miarę wydatny, bo co 3 lub 4 miesiące zazwyczaj, cieszą się już obfitem żniwem właściciele hotelów i zakładów kąpielowych, krawcy i modniarki, lekarze i t. d. i t. d.

Z tem wszystkiem i dlatego wszystkiego właśnie Egipcyanin zatracił pojęcie ojczyzny.

Człowiek bądź co bądź nie jest wędrownem stworzeniem; przeciwnie jest on niewątpliwie w ten czy inny sposób *glebae adscriptus*. Trafnem jest porównanie tak często używane przez ascetycznych pisarzy: doczesnego życia do



Wojsko angielskie na wielbłądach.

wędrowki po padole płaczu. Lecz wszakże nie trudno odróżnić pojęcie ziemskiego tułactwa po drodze do niebieskiej krainy, od systematycznego rozwałęśniania pod hasłem już nie nawet: *Ubi bene ibi patria*, ale: tam nam żyć, gdzie najwygodniej, gdzie ciepło za mrozu, a chłodno w upał.

W Egipcie wielkie pomniki ludzkiej pracy powstały przed wieków długim szeregiem i znowu niszczały lub dotąd sterczą dumnie, lecz ani Faraonowie nie byliby wystawili piramid, ani nieznany a potężny władca nie byłby wprowadził w podziw potomności aż do dni dzisiejszych tajemniczym Sfinksem, ani Ptolomeusze nie byliby zbudowali pierwszej latarni morskiej, założyli pierwszą wszechnicę i pierwszego księgozbioru, gdyby unikając gorąca opuszczali rokrocznie swój kraj i ściągali do Memfis, Heliopolis czy Aleksandryi tylko na zimowe leże.

Na czcigodnego (a wbrew niedawnym względnie badaniom, które podobno znowu są przestarzałe), na wiarogodnego »Ojca historii« i na natchnionego pisarza Pentateuchu, powołują się wszyscy, którzy o Egipcie pisali, aż do lorda Milnera, zawiadującego przed kilku laty skarbem egipskim, obecnie zaś gubernatora angielskiej Afryki południowej.

Już Mojżesza i Herodata uderzyły szczególne rysy ludności nad Nilem osiadłej, która w wyjątkowych żyjąc warunkach, ukształtowała się samoistnie i odznacza się niejedną cechą nienapotykaną gdzieindziej.

Najcharakterystyczniejszą z nich jest *bierna odporność* na wpływy czy napory zewnętrzne. Nietylko narody zachodniej Europy, tak dumne ze swojej starej rzekomo cywilizacji, ale światowładni później Rzymianie i Prometeuszowe plemię, które od Efezu po Foceę roznieciło ogniska ludzkiej myśli i działalności — żywili się jeżeli nie żołądźmi to niewiele lepszą strawą, gdy kraj Mizraima przebiegł już był cały zwykły okres rozwoju, rozkwitu i upadku państwa i popadł wreszcie w niewolę, podał kark w jarzmo obcej służby.

Od czasów Kambyzesa do doby lorda Cromer'a Egipt nie rządził się nigdy własną wolą, coraz to innemu najeźdźcy podlegać i kwoli zmieniających się panów pracować musiał.

A jednak uciemiężony przetrwał ciemiężycieli, niewolnik ostał się, gdy po wielkorządcach — czy oni zwali się prokonsulami, kalifami, mamelukami — i wspomnienie się już zatarło.

Nie potrzeba być uczonym egiptologiem, żeby na pierwszy rzut oka odkryć podobieństwo między robotnikami Faraonów, którzy kowali głazy do monarszych grobowców i których podobizny zachowały się wiernie na współczesnych albo niewiele późniejszych płaskorzeźbach, a dzisiejszymi murarzami w niebieskiej *galabii* z drelichu i szmacie na głowie, obrabiającymi żółtawy kamień pod hotel i domy czynszowe stawiane przez jakie angielskie przedsiębiorstwo lub akcyjne towarzystwo wagonów sypialnych.

Na to jednak, by się przyjrzeć tej *misera plebs contribuens*, należy na nią patrzeć nie przez tumany pyłu wzniesione szeregiem powozów Tomasza Cooc & Son; na pomniki trzeba spojrzeć nietylko z miejsca wskazanego i o godzinie zaznaczonej gwiazdką w Beadekerze, melodyi ludowej wygrywanej na piszczałce czy teorbanie, tej przygrywce powieści gminnej, warto przysłuchać się wówczas, kiedy nie zagłusza jej *Amoureuse* czy *Valse bleue* pseudocygkańskiej kapeli rozbrzmiewająca po hotelowych salach.

Egipt w lecie jest sobą samym — w zimie jest coraz bardziej *station d'hiver*, to znaczy miejscem zbornem rozmaitych rozbitków i niedobitków, włóczęgów i niedołęgów a może raczej wyrajem niż rajem.

* * *

ALEKSANDRYA.

Kiedy po kilku dniach przeprawy po morzu Śródziemnem zamajaczą płaskie wybrzeża wokoło Aleksandryjskiego portu, sięga się pamięcią do składu wiadomości historycznych, otrzępuje z kurzu zapomnienia za pomocą pierwszego lepszego podręcznika nazwiska wielkich ludzi oraz wspomnienia ważnych wydarzeń dziejowych i oczekuje się naiwnie, zali postacie sławą promieniejące nie obleką się w kształty dostrzegalne oczom duszy.

Wszelkie wysiłki wyobraźni w tym względzie idą w Aleksandryi na marne.

Można na via Appia posłyszeć kohorty miarowym krokiem maszerujące na podbicie świata, na Palatynie roją się bodaj że i w biały dzień krwawe mury Cezarów, a wielkie cienie Grachów i Cyncerona nie trudno sobie odtworzyć na Forum Romanum; w Wenecyi i Sewilli poprostu trudno dojrzeć rzeczywistość poprzez widziadła minionych czasów; na krakowskim Rynku wreszcie, bez farb ni pendzla, na tkance wysnutej z głębi swej istoty — niby na pajęczynie, którą przędzie pajak dla własnej pociechy czy folgi — któż nie odmalował sobie uczuciem hołdu pruskiego i wesela Zamoyckiego z Batorówną.

A owoż miasto nazwane na cześć Aleksandra Wielkiego i w którym zwłoki jego pogrzebano, stolica Ptolomeuszów, widownia wypadków rozstrzygających o dziejach całego rzymskiego Imperium za Kleopatry, metropolia helleńskiej cywilizacji, pierwszy uniwersytecki gród co do czasu, a przez setki lat i co do znaczenia, ojczyzna św. Katarzyny i całej szkoły filozoficznej oraz teologicznej zwięcej się dumnie szkołą aleksandryjską, nie ma zdolności ewokacyjnej — nie wie co tradycya.

Ozdobny konny posąg Mehameda Alego na Placu Konsulów witający przybysza od strony morza, zda się

uwiecznić, nie ostatniego wschodniego władcę wielkiego pokroju, ale pierwszego plantatora bawełny na egipskich niwach.

Pasmo historyczne wspomnień przerwane, święty znic miłości ojczyściej zagasł — Aleksandrya wyparła się wspa- niałej przeszłości.

Wyparła się..... albo może tylko o niej zapomniała. Cierpienie długie, nielitościwe, wiecznie żywe jest najlep- szym izolatorem, jaki wyobrazić sobie można; a tyle łun świeciło nocami nad miastem, tyle krwi zaczerwieniło wody kanału Mahmudie, tyle pożóg lizało płomienistym językiem marmurowe podwoje świątyni, tyle portyków zamieniło się w bezkształtną kupę gruzów, że pod brzemieniem coraz to nowych nędz, smutku i rozpacz, Aleksandrya odrętwiała i woli zapomnieć, niż wspominać dawne bóle, zapuszczając sondę w dawno zaschłe rany.

Była królowa Śródziemnego morza nie rościła sobie zresztą nigdy praw do hołdów winnych surowym cnotom, nigdy nie była świętym grodem, siedzibą rycerskiego plemie- nia, kolebką żołnierzy o śmiałym sercu i wielkodusznych porywach, nigdy nie była rodzicielką bohaterów, Cornelią, czy matką Machabeuszów, ani nawet *Rachel plorans filios suos et nolens consalari quia non sunt*.

Przeciwnie była siedliskiem uciech i zabaw jak przed nią Niniwa, do której posłan był prorok Jonasz; jak «córka Babilońska», jak w kilka tygodni wieków później za czasów Odrodzenia i potem Wenecya; jak od dwustu z górą lat i aż do dni naszych — Paryż.

Nadobny kształt w wyższej cenie tam bywał niż jędrna treść, rozkosz życia była życia celem a wokoło ponęt zmy- słów, snuły się pokusy myśli — subtelne rojenia i wdzię- czne ułudy greckiej sofistyki.

Do Aleksandryi ściagała zapewne złota młodzież za Ptolomeuszów i za Cezarów na miły pobyt, którego wy- mówką miały być poważne studia.

Wśród grona paniczów musiały się uwijać książątka ogołocone ze swych państewek przez Rzymskie legiony, tak jak na placu św. Marka spotykali się w zapustnych strojach i humorach bezdomni potentaci opisani uszczypliwie w jedynym naprawdę nieśmiertelnem dziełku Woltera, w *Candide*, lub — jak na Champs Elyseés i w lasku Bulońskim pocieszają się po stracie ojczyzny i korony ci, którzy Daudetowi służyli za model do *Rois en exil*.

Aleksandryja nie była wprawdzie rzeczpospolitą, a królestwa bez królestw lgną — jak uczy historia — dużo bardziej do republikańskich ustrojów niż do monarchii z Bożej łaski i oddychają swobodniej tam, gdzie nie sięga władza byłych »braci« i kolegów po berle i tronie; ale powietrze aleksandryjskie nasiąknęło dostatecznie lekkim sceptycyzmem, by niem oddychać lubo mogły piersi »na miarę krawca nie Fidyasa«.

W mieście, gdzie przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, rozbrzmiewała grecka mowa i wymowa, urodził się, urósł, wybujał hellenizm.

Stosunek Hellady do hellenizmu nasuwa porównanie zbiorowego angielskiego ducha i umysłu — (wzdrygam się przed szpetnym neologizmem »światopogląd«) do amerykanizmu.

Na pierwszy rzut oka podobieństwa są znaczne. Tu i tam ten sam język i w pewnej mierze ten sam szlak ludzi aczkolwiek z silną przymieszką obcej krwi na szerszej zamorskiej widowni; wielkie arcydzieła — Homer, tragiccy, Szekspir — wspólne obu organizmom, lecz na starej ziemi powstałe, ten sam typ rodzinny, a jednak inna indywidualność i t. d.

Możnaby dopatrzeć się jeszcze niejednej cechy analogicznej w dalszym ciągu, lecz błahem byłoby to zestawienie Aleksandryi z New Yorkiem, wyspiarskiego Albionu z greckim Archipelagiem. Najwybitniejszą właściwością Amerykanina jest silna, nieugięta wola w ciągłym ćwiczeniu czyli ciągłej

walce, a właśnie brak woli, tej kości pacierzowej moralnego człowieka i narodu, był znamieniem i nieszczęściem helleńskiej rasy w czasach, kiedy Aleksandrya rozkwitła jak piękny lotus między morzem a mareockim jeziorem.

Naród wprawdzie nie wybrany, ale udarowany jak żaden inny przed nim ni po nim, który każdą ścieżką i drogą dochodził na wyżyny — ujął i objął dłonią swych rzeźbiarzy piękność plastyczną, dotarł dociekaniem filozoficznym do samej niemal prawdy, przeszłość swą ubrał w tęczową szatę legendy, najbogatszą poetyczną wyobraźnię kojarzył przedziwnie z bystrym sądem, trzeźwym, prawdziwie kupieckim zapatrywaniem na ludzi i rzeczy, stworzył pojęcie kalokagotii i urzeczywistnić je zdołał, osiągnął najwyższy i ostatni szczebel doskonałości ludzkiej, a w ostateczność nie popadał; nie byłby owym niedoścignionym wzorem potomności, gdyby obok Sofoklesa i Platona, Fidyasza i Tukidydesa, Solona i Pitagorasa nie mógł szczycić się bogom podobnymi wojownikami.

W nieporównanej harmonijnej harfie greckiej pierwszą struną pękniętą, zerwaną, ucichłą, była struna bohatera. Zagasł żołnierski animusz, znikła niepowrotnie grecka odwaga, rozsła się aureola otaczająca skronie bohaterów od płowego Achillesa począwszy aż do baraniorogiego Macedończyka.

»Stara krew helleńska, w której coś boskiego zostało« — zaskrzepła, a zwyrodniały mieszkancie Grecyi i greckich kolonii odziedziczył po przodkach całą przebiegłość Odysseusa, lecz nie z rycerskości urodziwego syna Tetydy — i z Greka został się tylko Graeculus.

Cesarz Hadryan, który żywił taką cześć dla helleńskich pomników i wspomnień, oceniał trafnie duchową wartość ludności aleksandryjskiej. — Słynny jego list pisany do szwagra, Servianusa konsula, przytoczony zarówno przez Gregorowiusa jak i dawniej przez francuskiego historyka Grevier, świadczy o tem wymownie. Uskarża się on na niewdzięczność

Aleksandryczyków, zarzuca im brak przekonań, określa ich jako »buntownicze plemię nieogłędne i obraźliwe«, a przy-



Kobieta egipska.

znając im i zalety jak np. pracowitość, zaznacza wyraźnie, że *unus illis deus est — nummus*.

Cóż dziwnego, że tamtejsze pospólstwo chytre, płocze i bojaźliwe nie umiało ostać się burzom, które z końcem

rzymskiego, z nastaniem bizantyńskiego cesarstwa rozszalały się na Wschodzie, że jego stateczność nie była według słów psalmisty »tarczą ani puklerzem mocnym«, że szło w jassy i pod handżar zdobywców, ruszających na podbój świata w imię Proroka i jego nowej nauki, nie zmierzywszy się z nimi wstępnym bojem i że jego prawnuki woleli zapomnieć o przeszłości, niż sięgać pamięcią do dawnej niesławy?

Aleksandrya nie przesunęła się, jak to niekiedy bywa z miejsca na miejsce; wznosi się dziś tam gdzie wznosiła się za dni Ptolomeuszów i rzymskich Imperatorów. Zdjęcie topograficzne starożytnego miasta — owoc skrzętnych poszukiwań uczonego kustosa muzealnych zbiorów zmarłego G. Botti — pokrywa się niemal z planem współczesnego miasta jak dwa przystające trójkąty i nie ma wątpliwości, że główna ulica *de la Porte Rosette* biegnie dokładnie tym samym szlakiem, kędy przed setkami lat prowadziła główna arteria komunikacyi do Kanopijskiej bramy.

Ale chyba przybyły z daleka angielski admirał lub katolicki książe kościoła troszczy się o dokładne oznaczenie starożytnego Muzeum i księgozbioru; wykwintnie ubrany Żyd czy Grek urodzony w Egipcie, kształcony w Europie, nie wychowany wcale, popija turecką kawę w cukierni Zarniego, lub rozsiada się na tarasie klubu Mehemed Ali i ani dba, że o kilka sążni poniżej zachowały się zapewne podwaliny wspaniałego Serapeum.

Les grandes pensées viennent du coeur, lecz gdy z serdecznego źródła nie płynie ożywczy strumień wyjąłwia się powoli grunt rozumu i pole myślenia.

Niechaj oby archeologowie spierają się o dawny rdzeń dawnej stolicy, dziś nie trudno określić, gdzie bije serce nowoczesnej Aleksandryi. Jest niem okazały dwupiętrowy budynek ozdobiony portykiem na całą długość gmachu i zajmujący cały wązki bok przestronnego Placu Konsulów. To giełda. Po przez dwa rzędy platanów oceniających starannie pielęgnowane ogródki wśród owego rynku, dostrzedz można że

wszystkich stron na czole domu wielki ścienny zegar wybijający godziny. Czy napis okalający nieraz staroświeckie narzędzia do mierzenia czasu: *Horas non numero nisi serenas* — byłby tu na miejscu?

Latem jak już wspomniano, Egipt wyludnia się i niemal obumiera. Zamykają się hotele, gospody, mieszkania, pałace, międzynarodowy trybunał zawiesza roki sądowe, wiele sklepów stoi tylko półotworem, szeregi okien zasunięte drewnianymi okiennicami, na progach i przyzbach opustoszałych domostw drzemią nubijscy stróże. Wyjeżdżają lekarze i bankierzy, sędziowie i hotelowi posługarze, modniarki i urzędnicy angielscy, na ulicach ruch maleje i zdawaćby się mogło, że na miasto Kleopatry zeszedł nie sen ale zgon, gdyby nie słabe tętno życia w letargu wokoło t. zw. giełdowego koszyka.

Co dzień już o 9 rano suną ci, co stale uczęszczają na giełdę, do kawiarni otwartej dla ich wygody w samym budynku, czytają pobieżnie depesze ajencji telegraficznych, odbierają listy i telegramy, zbijają się w kółko lub naradzają po kątach we dwójkę i żeby czasu nie tracić, zasiadają do *tric-trac'u*.

Z uderzeniem godziny 10-tej poczyna się w wielkiej sali wokoło już wspomnianego koszyka, czyli drewnianej poręczy w elipsę, wrzask niby karczemnej burdy doszłej do paroksyzmu. — To dwustu pośredników wywołuje cyfry całymi godzinami aż do ochrypnięcia, przyczem każdy stara się przekrzyknąć swoich współzawodników i wymachuje pięściami, jak gdyby miotał obelgi i przekleństwa. Gdyby mieszkańcom kulparkowskiego zakładu pozwolono zachowywać się do woli, poczynaliby sobie niechybnie przystojniej i spokojniej.

Akcyje tramwajów, browarów, cukrowni i wszystkich innych przedsięwzięciach, które wczoraj stały dajmy na to 125; podskoczyły do 11-tej na 130, a 12-tej będą w cenie 128, a 1-szej 133. Dlaczego — nikt naprawdę wytłómaczyć nie może, chociaż każdy tłómaczyć na swój sposób próbuje, ale każdy wie, że 133 to zarobek, 125 to strata, a może 5 czy

10 piastrow, frankow, funtow dodanych lub odjetych, to znaczy tyle co niespodziewany majatek lub nieunikniona ruina, chyba, że gra jest *à qui perd gagne*, że zniżka wartości przedstawia korzyść, a zwyżka uszczerbek majątku.

Pora obiadowa, a potem siesta; cisza zalega i w tym ulu nawet, w którym niewątpliwie brzęczy więcej trutniów niż pracowitych pszczołek; ale kiedy promienie słoneczne zaczynają padać ukośnie z zachodniej strony, odradza się gwar na giełdzie i do późnego wieczora rozlega się głuchy łoskot drewnianych znaczków *tric-tracu* na osobnych deseczkach, domina na stolikach, pionków i figur szachowych na szachownicach. Gra i gra bezustanna — przerwana wieczera a podjęta jeszcze w noc, czasem do białego rana — przy zielonych stolicach baccarata, pokera, mniej lub więcej tajnej i prawidłowej rulety. O 1-szej w nocy wzmaga się raz jeszcze zgiełk — to depesze amerykańskie zwiastują ostatnie ceny nowojorskiej bawełny.

Telegramy zawierające ostatnie wiadomości o politycznych wypadkach wywołują tylko powszechną uwagę o tyle, o ile wpływają pośrednio na targ pieniężny, wszystko zaś, co się nie tyczy zblizka czy zdaleka handlu, nie obchodzi zgoła nikogo. Naprężone nerwy tracą elastyczność, widnokrąg duchowy zacieśnia się tak, że zamykają go szczelnie i ze wszech stron zwyżka i zniżka.

A ponieważ ludzkie oko jest już takiej budowy, że nieczułe na tram, który mu dolega, widzi źdźbło w zrenicy bliźniego, przeto ci krótkowidze kawiarniani litują się np. nad biurokratą posiwiałym w kancelaryjnej pracy i pytającym naiwnie, jak odróżnić na pierwszy rzut oka spekulantów *à la hausse* od ich przeciwników z obozu kontrminy!

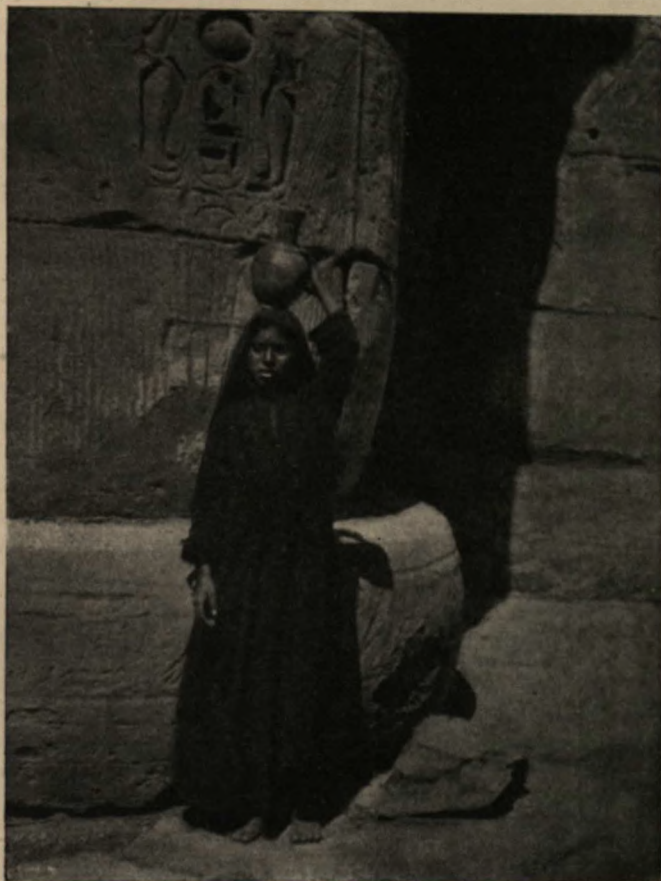
Takiem życiem dygoce całe miasto, nie zna spokojnej pracy, ni swobodnej uciechy, nie wie przedewszystkiem czem myśl swobodna, lecz nieustannie przechodzi z parnej łaźni przesadnych oczekiwań do zimnej kąpieli przedczesnego zniechęcenia i w pogoni za złotem naraża na szwank zdrowie,

bo zastraszająca liczba jego mieszkańców umiera na udar sercowy a zbyt wielu kończy samobójstwem.

W grze giełdowej biorą zaś w Aleksandryi udział wszyscy bez wyjątku; dentysta oddaje na los szczęścia honorarium, urzędnik i sędzia płacę, pokojówka napiwki, szewc zapłatę za buty, rolnik grosz za zboże, nieledwie żebrak jałmużnę. — Pośrednicy, których się stale na giełdzie widuje należą do wszystkich narodowości zamieszkujących Wschód. Jeszcze najmniej sztywnych Anglików, wyrachowanych Belgów, przezornych Niemców — brak zupełny Francuzów, niewiele nawet prawdziwych Arabów: prym trzymają Lewantyńcy; a w tem zbiorowem pojęciu mieszczą się poniekąd południowi Włosi, Grecy z Grecyi i Azyi Mniejszej, Turcy, o ile są wykolejeni, dalej Żydzi, przedewszystkiem Syryjczycy. Bardzo charakterystyczne są te chude, zwinne postaci, o błyszczących oczach, żółtej cerze — znaku wątrobianej choroby — ubrane po paryzku albo na tandecie, w czerwonych fezach czy w słomianych kapeluszkach, z papierosem w ustach, trawione gorączką, odznaczają się zazwyczaj wielką wstrzemięźliwością, nie piją nic prócz kawy, a także chłodzących nie zaś podniecających napojów.

Owa giełda w śródmieściu nie jest jeszcze jedynym źródłem spekulacji. W dzielnicy nadmorskiej jest jeszcze giełda bawełniana. Ta druga ważniejsza od pierwszej, nie mniej hałaśliwa, podobniejsza do jarmaku, roi się od kupców po części wprost z Europy przybyłych. Wokoło skrzynek oszklonych i zapieczętowanych a zawierających próbki towaru stoją zaprzysiężeni znawcy i spełniają swój urząd z powagą westalek dorzucających drwa do świętego ognia. Kto zajrzy pierwszy raz na dziedziniec, na którym się ów handel odbywa, myśli mimowolnie, że choć termometr wskazuje 30^o ciepła i wyżej, uścieliła się ponowa, bo białe płatki padają nieustannie jak u nas na św. Marcin.... Tylko mądry będzie, kto po tym sztucznym śniegu tropić potrafi, choć

drapieżników w najbliższym sąsiedztwie nie brak, a potulna
płochliwa zwierzyna chodzi stadami.



Dziewczyna arabska.

Po za temi dwoma ogniskami handlowego ruchu nie
ma w Aleksandryi bodaj nic godnego uwagi.

Podróżnik nie ma wyznaczonych dróg i może przekonać się do woli, że kościół św. Katarzyny byłby jako fara ozdobą chyba powiatowego naszego miasteczka, że wszystkie meczety stawiano tu wówczas, kiedy zanikła już była sztuka muzułmańskiego budownictwa, że pałac kedywialny Ras-el-tuc wznosił Mohamed Ali w czasie i »stylu« Ludwika Filipa, zastosowawszy go do wschodnich wymagań i że morza w tem mieście portowem niemal znikąd nie można dojrzeć.

Wszystko wydaje się tu podrobione; francuskie wino pochodzi z Dalmacyi, perskie kobierce z niemieckich fabryk a paryskie kapelusze wyszły z rąk lewantyńskiej modniarki.

Jeżeli prawdziwem jest twierdzenie, że kult piękna rodzi zniewieściałość i męzkim cnotom uwłacza, powinnyby dawna stolica Kleopatry błyszczeć jasnym hartem polerowanej stali.

Pomników starożytnych próżno szukać w mieście liczącem 2000 lat z górą historycznej przeszłości. Ismail Basza rozdarował — niby bawidełka — dwa obeliski Anglikom i Amerykanom; ostała się tylko t. zw. kolumna Pompejusa, zabytek — jak dowiodły nowsze poszukiwania — Dyoklecyanowych czasów, dlatego zapewne, że nie nęciła nikogo.

Ów słynny rozrzutnik ofiarował podobno półzartem w przystępie wielkopańskiej fantazyi granitowy monolit przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych, ten zaś, wiedząc, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ, przewiązał natychmiast podstawę olbrzymą gwiazdzistym sztandarem; miasto New York objęło niezwłocznie w posiadanie cenny i ciężki podarunek i ustawiło go w Central Park, gdzie znów zapewne wieki przetrwa.

W bok ulicy *de la Porte Rosette*, pod pagórkiem zdobnym kopułką meczetu i iglicami minaretów mieści się podobno grobowiec Aleksandra W. Pożądliwie spoglądają w ową stronę miłośnicy archeologicznych rozkopów, jak patrzą myśliwi na ostep, w którym »obcięto« odyńca. Niestety ani marzyć o tem nie wolno, by motyka uczonego targnęła się

bezbożnie na ziemię uświęconą domem modlitwy. Indyferentyzm religijny tak daleko jeszcze nie zaszedł w muzułmańskim kraju.

Radzi nieradzi muszą panowie badacze ograniczyć pracowitą swą ciekawość do budynku w pseudo-greckim stylu, gdzie zebrano prawdziwe zabytki z grecko rzymskich czasów. Jest to muzeum miejskie.

W salach nieudolnie pomazanych cegląstą barwą stoją rzędem ułamki i odłamki. Boginie są tak pokaleczone, że ich nagość przestała być bezwstydną, albo wstydliwie przytrzymują utraconą ręką fałdy odzienia, z którego ostały się tylko kamienne strzepy, bohaterowie prężą muszkuły i w łuk napinają potężne barki dla wykonania niezrozumiałych, bo anatomicznie niewytłómaczonych wysiłków. Widać wszędzie dotkliwy brak nosów; najczęściej brak i całych głów, gdzieniegdzie lepiej zachowane popiersie rzymskiego prokonsula czy też wojskowego przewódcy, rozumnie, zimno, przenikliwie spogląda wążko osadzonemi gałkami ocznymi bez źrenicy; wszystko to widziało się już nieraz po zbiorach, któremi szczyć się może lada prowincjonalne miasteczko południowej Europy od Konstantynopola po Kadyks.

Zielone posążki w gieźlach pośmiertnych, niby w powiśniętych, cenne świstki papirusów za szkłem, zapełniają całe szafy, lecz nie zwracają uwagi przechodnia — wyjątek stanowią trzy marmurowe główki odcięte od tułowia, przedstawiające wielkiego syna Filipa, ucznia Arystotelesa, młodzieńczego wojownika, który po zachodzie ateńskiego słońca a przed brzaskiem rzymskiego światowładztwa, przeleciał błyskawicą z Zachodu na Wschód, uderzył gromem w perską monarchię, zapalił Persepolis i zgasł jak raca na babilońskim tronie.

Ogromny rzymski orzeł i boski Apis, zwinny i chyży mimo swej marmurowej powagi, podobny z kształtu raczej do byków widywanych na hiszpańskich arenach, niż do roboczego bydła Deltę Nilowej — przypominają, że dziejowe

epoki wiązały się na egipskiej ziemi nierozzerwanymi ogniwami po przez wieków szereg. Tysiącletnie hafty koptyjskie wyszyte czerwonym zapalem na zgrzebnem szarem płótnie przechowały się w grobach, gdzie zasłaniały oblicza umarłych, wśród mnogich innych pamiątek, wraz setkami urn przeznaczonych na popioły.

Osobną salkę — najciekawszą — przeznaczyła dyrekcya greckim okazom tego, co dzisiaj nazywałoby się sztuką stosowaną. Prześliczne maleńkie lampki gliniane, zwłaszcza zaś jedna, wyobrażająca skrzydatego Erosa i Psychę, dziecięcych oboje a złączonych uściskiem i spojonych pocałunkiem, jest arcydziełem wykwintnego smaku i delikatnego wykończenia. Nie tylko w wyrabianiu lampek celowali zresztą Aleksandryjscy garncarze — niewielkie figurki gliniane przedstawiające lutnistki i tympanistki o rudych włosach uczesanych tak mniej więcej jak w 20 wieków później czesano się za czasów drugiego Cesarstwa w Paryżu, w jasno różowych lub blade niebieskich sukniach, realistyczne kanefory, stoją na półkach oszklonych szaf a zdobiły zapewne ongi gotowalnie miejscowych patrycyuszek.

Sztuka ta musiała rozwinąć się na stopniu cywilizacji zbliżonych do ogłady XVIII stolecia, które zasłynęło również cackami porcelanowemi, opatrzonemi znakiem wiedeńskiego ula, splecionych dwóch L burbońskiego Sewru, skrzyżowanych mieczów z Meissen, i t. d.

Lecz w owych królewskich fabrykach pracowano jedynie w dworskim stylu, lepiono z gliny i wypalano tylko sielankowe pasterki i przymilających się paniczów, kiedy egipscy współzawodnicy tanagryjskich artystów odtwarzali i ludowe typy, rzemieślników, gawieź uliczną; rubaszna lecz istotna *vis comica* przechowała się na gapiowatem np. obliczu jegomościa, który dostał policzek i dłonią zasłania się przed nowym razem. Saska czy Sewrska pocelana jest wyłącznie bukolicznej natury, garncarstwo aleksandryjskie *humani nihil alienum a se putat*.

W salach muzealnych zazwyczaj pustki — Aleksandryjczyk tam nie zachodzi, bo to przecie zbiór jego rodzinnego miasta; przejezdny nie zatrzymuje się dosyć długo, żeby cokolwiek oglądać, lecz spieszy do Kairu i dalej aż hen do Sudanu. Czasem więc tylko arabskie kobiety zagląдают tam gromadnie szukając chłodu w skwarne dni, albo w nadziei, że widok bogów i półbogów, choćby nadkruszonych, podziela w sposób niewytłómaczony lecz skuteczny na zawiedzione i bezpłodne oczekiwania.

O t. zw. aleksandryjskich katakumbach w Kom Szugała milczą jak dotąd zawzięcie tak przewodnicy jak tuzinkowi turyści. Powodem tego jest to, że naukowe prace nieukończone w tym względzie, nie skryształizowały się jeszcze w wyciągach na użytek bezmyślnej rzeszy wędrowniej, najnowszej i dotkliwej plagi egipskiej. Każdy kto sam patrzeć nie umie, nie wie, czy podziwiać, czy też obojętnie mijać owe groby z czasów Nerwy i Trajana. Nie ma jednak wątpliwości, że są one uwagi i zastosowania godne.

Prowadzi do nich prostopadły, długi, okrągły szyb, w okół którego wiją się ślimakiem schody.

O kilkanaście sążni pod powierzchnią ziemi zaokrągła się kopałka na słupach ponad zwierciadłem wody: wchód do nekropolii jest poprostu cembrowaną studnią. Od niej w bok ciągną się komnaty kowane w miękkim tufie — więc *triclinium* zachowane tak, że w całym Rzymie nie masz mu podobnego. Tylko tam, gdzie niegdyś ustawiano stoły do uczt, i gdzie na wezgłowiach układali się biesiadnicy, pełno dzisiaj ludzkich czaszek i piszczeli; sala jadalna zamieniła się w trupiarnię. Dalej właściwe grobowe krypty, w nich sarkofagi zdobne godłami, płaskorzeźby na ścianach w stylu ni to greckim ni egipskim, lecz mieszanym; i tak np. medaliony z wyobrażeniem Gorgony opierają się na charakterystycznych wężach egipskich w podwójnej koronie. Posoch Hermesa i laska Dyonizosa krzyżują się z knutem Faraonów i hiero-

glificznym znakiem szczęścia, posągi odziane w chlamidy trzymają zwitki papirusu w rękę, a wśród kamiennego liścia korynckich kapiteli wyrastają lotusy i zagłuszają architektoniczną roślinność obcą egipskiej glebie. Z cyklu śmierci, mumifikacji i zmartwychwstania Ozirisa przedstawili w płaskorzeźbie epigonowie artystów współczesnych Ramzesowi II tylko zabalsamowanie zwłok zmarłego boga. Na pośmiertnym łożu w kształcie stylizowanego lwa leży martwy bożek z Abidos; w okół niego stoją Tot, Chnum, Anubis o głowach psa, jastrzębia i szakala, jako bliscy krewni zajęci ostatnią posługą. Hieroglify, ten nieodzowny komentarz snycerskich dzieł dawnego Egiptu widać i tutaj, ale wyryto je tylko dla proporcji; odczytać ich nie można, bo ten, który je pisał, pisma kapłańskiego nie znał i naśladował tylko niezrozumiałe sobie znaki, jak małe dziecko kreśli ołówkiem znaczki zanim się abecadła nauczy.

Dalszym izbom podziemnym brak wszelkiej ozdoby; długie korytarze wiodą do grobowców bez napisów ni rzeźbionych postaci. Domniemują się uczeni, że za czasów krwawej łaźni, którą sprawił Caracalla mieszkańcom Aleksandryi tutaj szukała strwożona ludność schronienia przed pościgiem żołdactwa, że ukrywała się tam z dobytkiem (o czem świadcząby szczątki końskich szkieletów) i że wspomnienie owej rzezi odstręczyło późniejsze pokolenia od nekropolii pełnej nieopogrzebanych trupów, aż niepamięć ogarnęła z kolei i to miejsce wiecznego spoczynku.

Na wschód od Aleksandryi, na piaszczystych wydmach wydartych koczowniczym Beduinom, ciągną się wązkim, nadmorskim pasem ogrody i pałacyki podmiejskie. »Ów jasny brzeg« eleuzyński ocieniają palmy i pinie, mają róże, gardenie, pelargonie i wszelkie ogrodowe krzewy, którym ożywczej wody dostarczają wodne wiatraki, a szpecą go domki stawiane przez rozmaitych dorobkiewiczów podług własnych, zazwyczaj niefortunnych pomysłów. Kto nie widział

psów, karłów, sarn i całej niemal szopki z papierowej masy ustawionych na murawach pani Gianalis, żony znanego na cały świat fabrykanta papierosów, nie wie jakich orgii może się dopuszczać zły smak wyzwolony z czujnej kontroli uszczypliwej opinii publicznej.

Nie wiele lepiej przedstawia się hotel San Stefano przerobiony z nieudanej cukrowni; nie jest ani kształtny ani do zamieszkania miły, jest jednak w braku czego lepszego miejscem pobytu egipskiego rządu oraz przedstawicieli europejskich mocarstw od czerwca do października.

Zabawnie wyglądają ministerstwa *en miniature* i zdrobniałe dyplomatyczne urzędy w hotelowych numerach, pocieszenie zaś dygnitarze idący w szlafrokach do kąpieli morskiej, zapytujący za każdym spotkaniem: »Co nowego?« i stwierdzający żałośnie, że nowego nic, a wertujący pilnie *New York Herald* i kronikę towarzyską francuskich dzienników w smutnem przeświadczeniu, że nie dla nich zapalają się co wieczór lampy żarowe kursalów od Ostendy aż do Dinard, od Karlsbadu po Ischl.

Takie chóry westchnień i lamentsy nucone na głosy brzmią nad morzem, które zda się naigrawać z owych dusznych cierpień i szumi tuż obok, bije falami o brzegi, pianą bryzga, roztacza wiecznie młode wdzięki, kobiecą jakąś zalotnością o sobie zapomnieć nie daje..... Z rozkołysanych głębin raz po raz Amfitryta błyska czarownym uśmiechem i ani dba, czy jej urok promienieje na bezludne skaliste werpety, na ożywione tłumy weselszych wybrzeży, czy też na sztywne, nudą tchnące postacie dzisiejszych mieszkańców elezyńskiej Riwiery, którzy jej ponęt odczuć nie umieją.

* * *

DELTA.

Panująca moda, wszędzie kapryśna i samowolna, w Egipcie jest wprost absolutna i od zachodniej królowej Opinii nawet potężniejsza, bo żadna Magna Charta osobistych zdań w jakiegokolwiek dziedzinie nie ogranicza jej praw ani roszczeń.

Każde ona jeździć codziennie pięknym paniom i złotej młodzieży aleksandryjskiej nudnym gościńcem do San Stefano nie zaś uroczą drogą wzdłuż kanału Mahmudie podle pańskich siedzib egipskich książąt, tureckiego komisarza, a zwłaszcza ogrodów p. Antoniadis. Dobór drzew, kwietne kobierce, cięte szpalery, krzesane krzewy, strzyżone trawniki, a wśród tego sadzawki i wodotryski, altany, tarasy, posągi — fabrycznego co prawda wyrobu — sady pomarańczowe, gaiki wysmukłych i powiewnych palm, szerokie liście banany, tego południowego łapuchu, są uciechą dla oczu tych nielicznych, którzy przekładają samotne przechadzki nad przemykanie się wśród ścisłu i wymijanie rozpędzonych automobilów, zdradnych bicykli i nieumiejtnie kierowanych zaprzęgów w tumanach kurzu na zapyłonej drodze.

Po za pierścieniem letnich a zbytkownych rezydencji poczyna się kraj uprawny, rodzajny od tyłu lat, a bynajmniej nie wyczerpany, podzielony na drobne pola, na których znać staranną chłopską motykową pracę. Kępki drzew, tu i owdzie szeregi masztów o żaglach wydymany lekkim wiatrem, lub opadających jak zwinięte sztandary po drzewcu, u łodzi niewidocznych nawet na bardzo niewielką odległość, bo płaskich i płynących płaskimi brzegami, wązkich a szeroko rozgałęzionych kanałów — są jedynem oparciem wzroku mknącego po zielonej lub pożółklej równinie.

Okolica, aczkolwiek mlekiem i miodem płynąca, nie sprawia wrażenia dostatku ani nawet dobrobytu. Osady złożone z nędznych ciemnych, ciasnych, niskich i niezdrowych lepierek, zarzuconych nawozem i mierzwą, podobnych raczej

do ogromnych kretowin, niż do ludzkich mieszkań, są siedli-
skiem ludności pracującej na roli tak jak wówczas, kiedy
Mojżesz wywiódł na rozkaz Pański Izraela »z ziemi ucisku,
z domu niewoli«. — Uderza brak dróg bitych, na rozdepta-
nych ścieżkach i po groblach wzdłuż wody kłusują zwinne
osiołki, lekko dźwigające ociężałych jeźdźców pod parasolami,



Domostwo fellaha egipskiego.

stapają miarowo wielbłądy objuczone snopami żółtawego
zboża, idą sznurem kobiety proste i chwiejne jak trzciny,
owinięte w czarne płachty i rzucające szeroko pięknymi
źrenicami ciekawe lub bezmyślne spojrzenia bez poruszenia
ni odwrócenia głowy.

Na ścierniach i przydrożach wypasa się małemi gro-
madkami czerwone bydło nieszczerzłego wyglądu, to znowu
gęsi skubią trawę po wygonach, w pobliżu domostw podry-

gują spętane osły, i bardzo nieliczne konie chude, słabe i jakby niedokrewne, oganiające się nieustannie rojom much. Pod cieniem rozłożystej sykomary zbijają się w stada bure owce pospolitego gatunku, albo leżą pospołu z ludźmi leniwe bawoły i zobojętniałe na wszystko wielbłądy. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie dojrzysz wozu, a zrzadka tylko parę wołów u pług. Czasami, ale również wyjątkowo tylko, widzi się smugę dymu z lokomobili lub z komina jakiej fabryki gospodarczej, który po części wyparł, choć nigdzie pod estetycznym względem nie zastąpił, iglicy modlitwy — minaretu. Nigdzie nie masz dużych łąnów, stert na polach, gumien w ogrodzeniach, ni zabudowań folwarcznych, nigdzie drzew sadzonych rzędem, żywopłotów, wzorzystych płodozmianów i tego wszystkiego, co stanowi sielskich krajobrazów ozdobę winną cywilizacji; że zaś przyroda nie jest w Egipcie rozrzutną ni kapryśną, lecz tylko nad wyraz sumienną, że wypłaca najrzetelniej wysokie lichwiarskie procenta włożonej w ziemię pracy, lecz mniej niż gdziekolwiek darmo coś daje, więc i roślinność nie buja, nie stroi się w jaskrawe kwiaty, nie strzela ku bladym lazurom niebieskiego stropu rozwielenionymi łądogami ziół i krzewów, lecz wschodzi tak i tam, gdzie i jak ją skrzątny siewca posiał i zwłaszcza podłał.

Gdy więc tak i ludzie jak nieświadome siły natury skąpią trudów i wysiłków, by piękno krzewić i rozpleniać, byłyby egipskie niwy obrane z wszelkiego uroku, gdyby nie wieczna, niezmienna pogoda i pewien świetlisty pyłek przenikający powietrze i ogarniający wszystko, który za wszelką malowniczość starczy.

Na wydatność egipskiej Deltę składają się, okrom żywej, słonecznem ciepłem przepojonej gleby, jeszcze dwa czynniki: pracowitość fellaha i woda z rzeki a raczej z »morza«, jak zowie lud swego karmiciela tego, którego nasz Słowacki przezwiał tak ładnie »ojcem naszych snopów«, kładąc to określenie w usta tubylca, a który obywa się bez nazwy, bo nie

potrzebuje odróżnienia od czegokolwiek w podobnym, czy choćby zbliżonym rodzaju: słowo Nil, Neilos jest obcego, prawdopodobnie greckiego pochodzenia.

Pracowitość, jak wogóle cały ustrój duchowy mieszkańca Dolnego Egiptu — jest osobliwa.

Każdy wysiłek a nawet każdy ruch jest mu tak wstrętny, że dzieckiem nie opędza się od owadów, które siadają mu na oczach i przyprowadzają o ślepotę; zdolen on jednak równocześnie okopywać godzinami i dniami całymi na największym skwarze grządki bawełnianych krzaków, których biały puch nie tylko nie jest »marnym« jak twierdzi poeta, ale owszem jest najcenniejszym plonem gospodarczym.

Cudzoziemiec zamieszkały w nadnilowym kraju od lat kilku, czy choćby od paru miesięcy, przejmuje się zbyt łatwo powszechną odrazą i pogardą jaką tchną dla tego niestrudzonego próżniaka wszystkie warstwy społeczne bez względu na swoje pochodzenie obyczaj i religię. Zapewne, ów przygarbiony rolnik, niechlujny i chciwy, okrutny dla dzieci i zwierząt, zabobonny i materyalista zarazem, chytry a tchórzliwy, bez potrzeb ni porywów, nie łatwo zaskarbia sobie serca bliźnich — ma on dwie tylko namiętności: niepohamowany pociąg do płci nadobnej, który sprawia, że nie może się nagiąć ni ograniczyć do monogamii — dziś już powszechnie przyjętej przez zamożniejszych muzułmanów — i ogromne przywiązanie do ziemi, która go żywi i trzyma.

»Temu tylko płuży socha,
Kto tę czarną ziemię kocha«.

A kocha on każdą skibę prawdziwie i rzetelnie, nie tkliwem uczuciem sielankopisarza, nie przelotnem rozczuleniem mieszczanina na majówce zbierającego pęki maków i bławatków wśród zbóż, ale po swojemu, po chłopsku. Zagona nie opuszcza, nie bieży za chlebem poza granicę ojczyzny. Exodus wybranego ludu był jedyną tłumną emigracją jaką zapisały dzieje Egiptu od 5000 lat — prze-

ciwnie, fellah zadłuża się i zastawia, by gruntu dokupić, ojcowiznę rozszerzyć; wzrokiem ni pragnieniem nie sięga poza płaski widnokrąg znany mu od urodzenia i żąda jedynie od swego pola, by mu plennem ziarnem za pot krolisty płaciło.

A kiedy spekulant — któż zaś nim nie jest w społeczeństwie, w którym żądza szybkiego z bogacenia się jest nie tylko głównym lecz wyłącznym bodźcem pracy i zapobiegliwości? — uważa rozległe przestrzenie pod uprawę zdane za warsztaty do wyrabiania talarów i angielskich czerwieniów z podobizną św. Jerzego na jednej, królowej Wiktorji na drugiej stronie, to dla fellaha posiadanie ziemi jest przede wszystkim celem, nie środkiem, szczytem marzeń i wiecznych pożądań przedmiotem.

Każde uczucie, byle szczere i głębokie musi znaleźć w ludzkiej mowie wymowny swój wyraz, to też nie kto inny jak fellah zdobył się właśnie na najpiękniejsze określenie tej swojej ziemi; posłany na oględziny roli w celu kupna, powrócił radośnie niosąc wiadomość, że jest »piękna jak lico dziewczęcia«. Porównanie to, którego nie powstydzilby się żaden poeta liryczny, tak trafne dla każdego kto widział ciemnozłotawą płec kobiet egipskich, łączy w jednym uniesieniu to wszystko, kwoli czemu bije serce w piersi wieśniaka z pod piramid.

Lecz ziemi ani niewieście bezpłodną być nie wolno: a że czarnoziem staje się płowym i lotnym piaskiem pustynnym, skoro go woda nie zalewa, więc też jej rozprowadzenie jest głównym zajęciem ludzkiego mrowia w czarnych opończach i białych zawojach. Od świtu do mroku skrzypią też staroświeckie »sakije«, kieraty, które porusza wół czy bawół w pojedynkę lub parą, a które z dołów cebrami dostarczają płynnych metów powyżej położonym polom i półkom; kiwają się żórawie opatrzone wiadrami, kręcą beczki obracane przez nagicz parobków, którzy zwleczone szaty zostawiają opodal, jak nasi żeńcy rzucają odzienie na miedzach nim nadejdzie

chwila wytchnienia; świszczą i parą buchają pompy ostatniej
modły i odbierają zawartość rzeki — ta zaś niezmiennie.....
*flows through old hidden Egypt and its sands like some
mighty thought threading a dream.*



Sakija.

Lecz dzisiejszy sprężysty i pomysłowy zarząd irryga-
cyjnego departamentu stara się o to usilnie, żeby Delta przed-
stawiała się nie sennie wcale ani widziadłowo, niby jakieś
pola Elizejskie, żeby na równinie rozpostartej jak staranie
rozprasowany liść papirusa, zapisywały się nie marzenia
i westchnienia, lecz raczej ściśle obliczenia nakształt ban-
kowego *conto corrente*.

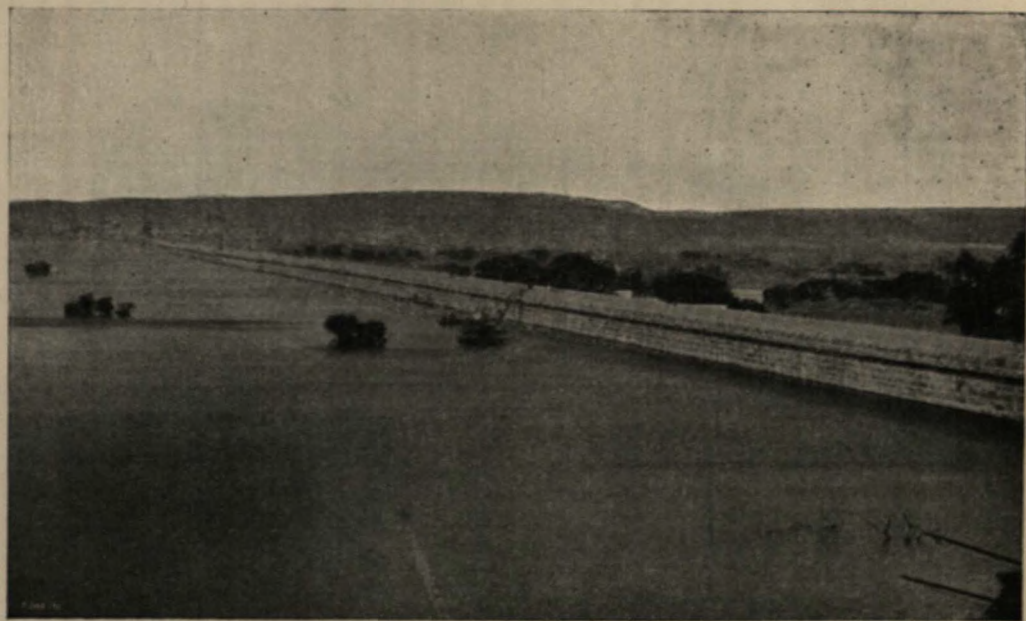
Niczem nie ma rządzić przypadek, o niczem stanowić ślepy traf. — Więc nawet spokojny zalew, krzykami wesela witany od wieków, niechaj ustąpi przed nowymi wynalazkami inżynierskiej sztuki! Użyźnia on wprawdzie wybrzeża, lecz nie dosyć intesywnie, nie w miarę wzrosłych życzeń opartych na rachunkach, które bądź co bądź są jednak zawsze jeszcze rachunkiem prawdopodobieństwa; a przytem tyle się wody marnuje! Więc precz z tą zestarzałą modłą, dobrą może za czasów wiary w »noc kropli« *Zelet en Nukta*, kiedy według podania, boska kropla, łza Izydy, spadała w oznaczoną noc z gwiazdzistego nieba w nurt nilowy i działała niby drożdżowy zaczyn, pod którego wpływem rzeka rosła, jak świeże pieczywo i występowała z brzegów, jak z dzieży.

Podobno tego już na przyszłość nie będzie. Wybudowano już jeden jaz w Assuan, postawi się z czasem drugi w Esuch, potem trzeci i t. d. gdzie będzie potrzeba i regulować się będzie do woli przybytek lub opadanie świętego strumienia jak jakiej sadzawki, gdzie hoduje się karasie.

Tak mówią i piszą inżynierowie angielscy — Ale Nil płynął, kiedy ich nie było, Nil płynąć będzie, kiedy po nich mniej śladu, niż po Faraonach, zostanie. A gdyby nawet urzeźbicielni swoje zamysły, na wieków kilka tygodni pozbawiliby krainę Mizraima jednej i nie najmniejszej piękności; bo powodzi egipskiej z żadną inną porównać nie podobna. Nie jest ona nieoczekiwaną i złowrogą, burzliwą i burzącą, niema ludzkiej rozpaczy ni biedy w swym orszaku, szum jej fal nie łączy się w minorowy akord z płaczem kobiet i lamentem dziecięcym. Owszem jest pożądaną i upragnioną, spokojną i pogodną, jak samo błogosławieństwo Boże:

....the higher Nilus swells,
The more it promises: as it ebbs the seedsman
Uper the slime and ooze scatters his grain
And shortly comes to harvest.

*

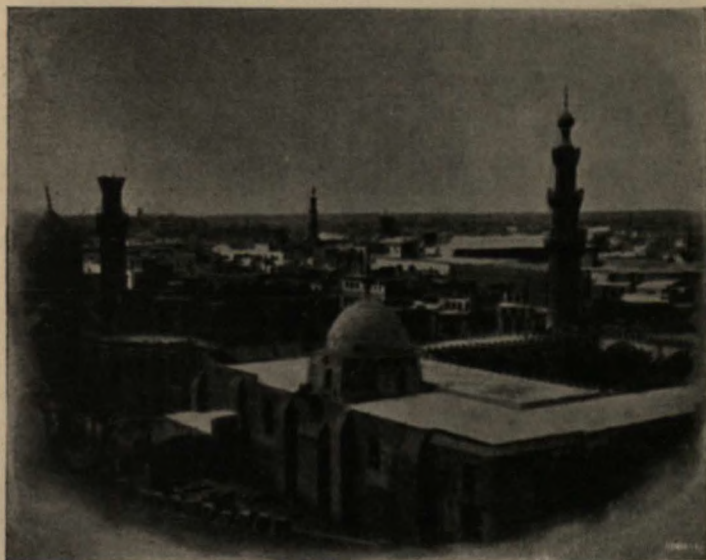


Tama w Assuan.



Wyspa File powyżej tamy w Assuan.

Tam, gdzie się dolina Nilowa zwięża do tyła, że gołem okiem objąć można pagórki arabskiej i libijskiej pustyni założył przywódca beduińskich zastępów stolicę swoją — Kair. Odległy o strzał armatni od zwalisk Memfis, najstarszego grodu na ziemi, stanowi on zarazem wierzchołek deltonowego trójkąta i podstawę Górnego Egiptu.



Kair.

Faraonowie i Kalifowie, aczkolwiek nie mieli kartograficznych zdjęć i pomiarów, wiedzieli, gdzie się na stałe osiedlać.

Miasto o milionowej blisko ludności nie może latem obumierać tak jak obumiera Aleksandrya. — W europejskiej dzielnicy przycicha gwar i słabnie ruch na ulicy. Wraz z wyjazdem turystów i zamknięciem najlepszych hoteli niknie zgraja przekupniów, oślarzy, wróżbitów z talii kart czy z ręki,

grajków, oprowadzających tłumaczów i innych wydrwigroszów, oblegających w zimie tarasy domów zajezdnych.

Ale handlowe transakcye nie ustają, więc też banki, domy komisowe, sklepy nie mogąc zwinąć się na kilka miesięcy, stoją otworem. — Zapuszczone okiennice angielskich domostw świadczą wprawdzie o tem, że wyjechał kto mógł, ale takich, którzy nie mogli, jest jeszcze pokaźna liczba.

Na Muski zaś, na głównej arteryi komunikacyjnej lewantyńskich mieszkańców, wre życie w najlepsze. Rankiem aż do południa i po godzinie siesty ani domyślić się tam nie można, że w Kairze »nie ma już co się zowie nikogo«. Brakuje garstki Europejczyków — może; ale kto dopatrzy się tego braku wśród tej cizby różnobarwnej, hałaśliwej, ożywionej, wśród szeregu dorożek, dwukolnych wozów ładownych, owczych trzód, wielbłądzich stad, w tłoku nieustannym, gdzie śniady Indus potrąca oliwkowego Maltańczyka, Pers w czarnym barankowym kołpaczku mija Sudańczyka, Grek z Azji Mniejszej sprzecza się z kupeczykiem urodzonym w Marsylii, a żyd z Tarnopola porozumiewa się z Koptem z pod katarakty nilowej.

Wszyscy tu bez wyjątku za groszem gonią, ale metody do owego ostatecznego celu wiodące, są oczywiście najprzeróżniejsze.

Wszak inaczej poluje ryś a inaczej łasica, inaczej wielki kundys i nadwodna wydra.

Sprytny poganiacz osłów zabiega drogę każdemu z przechodniów w kapeluszu i woła:

— Guter Esel mein Herr, Herr Baron, Herr Doktor, grood donkey please! — i towarzyszy mu natarczywie, aż usłyszysz gniewną odpowiedź po arabsku: Idź do licha! Wówczas dodaje jeszcze: — Ein anderes mal... — i czatuje na następnego Europejczyka o płowych włosach i o niebieskich oczach, któremu ofiaruje temi samemi słowy swoje usługi. Wędrowny handlarz z ocukrzoną wodą dźwiga na plecach lub na biodrze ogromne naczynia gliniane albo mosiężne, zatkane

niby czopem, dużym kawałkiem lodu i stuka co chwila mo-
siężnemi czarkami, niby metalową kastaniętą, dla zwrócenia
na się uwagi. Fellah z okolicy obwozi na ruchomym straganie
pietruszkę, prażoną kukurudzę, cebulę, kiszzone ogórki, żółte
dynie, melony i zielone harbuzy, to znowu przybysz z nad



Typ egipski: oślarz z osiołkiem.

Gangesu, Eufratu czy innych świętych a dalekich wód zaleca
w głos sznury paciorków, małe buńczuki od much, szkatułki
z sandałowego drzewa itd. itd. U drzwi sklepów bławatnych
czyhają na ofiarę subjecki w koszulkach włóczkowych,
przed wystawami jubilerskimi stają gromadki gapiów zapa-
trzone w złote zegarki i łańcuszki, poprzez duże tafle szyb
widać wschodnie panie w czarnych jedwabnych sukniach,

w poufnych i przyciszonych rozmowach z właścicielem owych kosztowności. Niektóre z nich targują klejnoty, ale częściej przynosi ukradkiem niejedną jejmość, przyciśnięta nagłą pieniężną potrzebą, w zastaw czy na sprzedaż to bicz pereł, to sznur koralu, manele i naramienniki, zausznice, czy naszyjnik jaki.

Co kroków kilka napotyka się golibrodę, uderza zaś niezwykła ilość sklepików, gdzie na pozór rzędy moździerzy kuchennych czekają na nabywców — w istocie są to formy do odprasowywania czerwonych fezów, powszechnego nakrycia głowy.

Wśród ludzkiej rzeszy płynącej wąską ulicą, stałą ostoją są żandarmi na straży jeżeli nie porządku to bezpieczeństwa publicznego. Dorodni, czasem bardzo piękni mężczyźni pieszo lub konno, w granatowych mundurach na noc, a niepokalanie białych w dzień, bez broni u boku, starają się, o ile mogą, trzymać się zasady zaleconej przez prawo międzynarodowe dla użytku co prawda rządów nie sierżantów: zasady wstrzymania się od wszelkiej interwencji. Kiedy zaś nie mogą się od akcji uchylić, walą pięściami i obrzucają gradem obelg co najsłabszych i najuboższych ziomków. Bardziej niż przepisy, strach prawie zabobonny nie pozwala im podnieść ręki na Europejczyka. Ludowa anegdota, na kairskim bruku powstała, określa ich dosadniej i trafniej niż rozwlekły opis. — Kiedy Pan Bóg wypędział pierwszych rodziców z raję po popełnieniu grzechu pierworodnego, posłał do nich arabskiego »czausza«. Ów próbował łagodnego przekonywania: — »O przyjacielu — radził Adamowi — trzeba ci się stąd zabierać. Idźże sobie stąd wraz z żoną. Opór na nic się nie zda. Idź póki proszę..... Zresztą kto wie! może tam po za rajem lepiej i milej ci będzie niż tutaj«... itd. — Adam wręcz oczywiście odmówił i »czausz« musiał jak niepyszny stawić się przed bożym tronem z wiadomością, że mu się wykonanie rozkazu nie powiodło. Na to Pan Bóg do zbuntowanego człowieka posłał tureckiego policyanta. Ten nie wdawał się

w żadne namowy ni ceregiele, ale z miejsca krzyknął groźnie: Za drzwi! precz!* i zatrzasnawszy rajska bramę, oznajmił, że polecenie spełnione.

Powiatka musi sięgać czasów Mameluków... dziś Turka zastąpiłby Anglik, który nawet głosu nie potrzebowałby do-



Ulica Muski w Kairze.

bywać; rozkazujące skinienie i spojrzenie wystarczyłoby na poskromienie krnąbrnej zachcianki.

W prawo i lewo od Muski ciągną się słynne kairskie bazary. Na głównej ulicy nabywa ludność miejscowa prawie wyłącznie towary do życia niezbędne, w pobocznych zaspakaja potrzeby drugorzędne, wygodzie i przyjemności służące.

Tkaniny srebrnolite czy srebrem i złotem na jedwabiu haftowane, wiotkie jak pajęczyna lub sztywne jak starożytne szaty kościelne, dywany z Bagdadu i Chirazu, ze Smyrny i z Buchary z dalekiego Afganistanu i z odległych Indyi, perskie kwieciste kobierce i drogocenne obicia leżą na ścianach i rozścielają się na żądanie przechodnia, nęcąc oczy subtelnem choć żywym zabarwieniem i uczonym rysunkiem wzorów, z których wykluczono odtwarzanie ludzkich postaci. Dalej przedziwne cacka japońskie i chińskie rzeźbione w kości słoniowej, maleńkie figurki drobiazgowo wykończone, sepekiki, szkatułki z wonnego drzewa wyrosłego gdzieś na wyspach Malajskich, wykwintne okazy snycerskiego kunsztu, sprzęty wykładane perłową masą i hebanem.... wyliczaniom nie byłoby końca.

Samem sercem tej dzielnicy jest Khan Kalit gdzie złotnicy kowają w szlachetnych metalach doskonałej próby mistrzostwa filigranowe ozdoby przeznaczone na podarki dla zakwieconych dziewcząt i niewiast, gdzie miedziane imbryki, mosiężne tace i lichtarze, krzywe damascenki, krótkie handzary o rękojeściach kościanych turkusami i krwawnikami sadzonych połyskują w półmroku sklepów makatami zasłanymi i raczej do jaskiń podobnych niż do miejsc przeznaczonych na wymiany towaru i pieniędzy.

W osobnym labiryncie uliczek i zaułków mieszczą się handlarze pachnidła.

Z dawien dawna celują wschodnie narody w sporządzaniu wonnych maści, płynów i olejków.

W Piśmie Świętem czytamy nieraz o namaszczeniu włosów czy całej osoby miłego gościa dla wyrażenia mu tym samym czci i przywiązania; już Lady Macbeth wiedziała, że żaden kosmetyk, ani nawet »wszystkie zapachy Arabii« nie zetrą z jej białych rąk zdradnych śladów krwi zbrodniczo wylanej, a polanie rąk różaną wodą należy dziś jeszcze do ceremoniału przepisanego prawami gościnności; kiedy zaś muzułmański dygnitarz wydaje ucztę nacechowaną oryen-

talnym przepychem, lecz zarazem europejską ogładą, zwykł skrapiać komnaty gościnne pachnącym jakim rozczyntem przygotowanym uczenie i tajemniczo dla znawców, tak jak na Zachodzie dla znawców i smakoszków odkorkowuje się butelki najlepszego wina.

Kairscy właściciele owych składów ku ucieście powonienia w osobnych puzderkach ofiarowują dobór flaszeczek, słoików, szklanych rurek wraz z ich zawartością i mniemając nieraz, że mają do czynienia nie z barbarzyńcą, lecz z wykwintnym sybarytą o wyrobionym smaku, zalecają n. p. raczej indyjskie niż perskie wonności, tłumaczą, że chińskie perfumy przewyższają jakością wszystkie inne, czy też przeciwnie, zachwalają odwary Azji Mniejszej, aż przekonawszy się o nieokrzesaniu kupującego, patrzą nań pobłażliwie, lecz i pogardliwie, jak paryski handlarz starożytności na bojara nie oceniającego różnicy między niemiecką chromolitografią współczesną a zabarwionym sztychem angielskim z XVIII w.

Jak nauka astronomii graniczy z astrologiczną wiedzą, jak medycyna sąsiaduje z czarnoksięską sztuką, tak i przemysł pachnideł miesza się nieznacznie i łączy z doświadczeniami alchemii, z wyrabianiem cudownych środków dla uniknięcia zła, ziszczenia pragnień, spełnienia życzeń karygodnej lub wprost występnej natury. Wszędzie Ignie człowiek do oszukaństwa i ułudom podlega; na Wschodzie, gdzie przebiegłość kojarzy się przedziwnie z łatwowiernością, dzieje się to w wyższej jeszcze mierze, niż gdziekolwiek.

Że zaś tak łatwo połączyć handel olejkiem różanym ze sprzedażą wody młodości, urody, siły, powabu oraz z udzielaniem niemylnych środków na to, »by się darzyło« temu, kto drogo środki owe opłaca, zwłaszcza zaś, by jego bliźnim coś złego się przygodziło, więc nie dziw, że niejeden kupiec owej dzielnicy jest potrochu i czarownikiem.

Interes na tem nie traci a »malowniczość« zyskuje.

Kto popołudniową porą zapani się w sieć szczelnie zabudowanych przejść i przesmyków bazaru, ten najczęściej

aż do zmierzchu tam zabawi. Do odwrotu zabiera się zbłąkany Europejczyk dopiero, kiedy wazki skrawek nieba widny



Z bazarów wschodnich.

ponad tarasami zbłękitnieje do tyła, by zamigotały na niem gwiazdy. Stróże nocni t. zw. *gafiry* ubrani w bure płaszcze



Z bazarów wschodnich.

i także mycki na głowach i poczynają stukać kosturami w drzwi sklepów, próbując, czy dobrze zamknięte a strasząc

przytem nietoperze oraz ćmy nocne. Zrzadka tylko mruga tu i ówdzie światło kaganka, pod którym siedzi na kilimku siwobroda jaka postać w jedwabnym chałacie i białym zawoju, przesuwając bursztynowe paciorki różańca i mrużąc 99 pochwał na cześć Ałłacha a wówczas tylko patrzeć, czy nie pojawi się gdzieś z ukrytej jakiejś furtki mądry i dobrotliwy Kalif Harun-Al-Rassyd w przebraniu ubożego wyrobnika, Aladyn z cudowną lampą ukrytą w zanadru, stara jaka wiedźma, czy młoda wróżka, lub którakolwiek z postaci *Tysiąca i jednej Nocy*.

Egipt jest jak wiadomo, krajem ostrych, bezpośrednich przeciwieństw i przeciwstawień bez przejść, odcieni, ni stopniowań. Rażące światło słoneczne odcina się jaskrawo od iście egipskich ciemności, panujących wszędzie tam, gdzie nie dochodzą pęki promiennych strzał boga Ra; soczystą zieleność doliny nilowej uwydatnia martwota płowej pustyni. Zwierciadło świętej rzeki odbijało niegdyś obrazy przepychu i rozszalałych namiętności na wyuzdanym dworze Kleopatry a także uduchownione postaci pustelników Tebaidy, żywych wzorów umartwienia i zaparcia się siebie. Po dziś dzień dobro graniczy tam bezpośrednio ze złem, piękno z brzydota, płomienna gorliwość z kamienną obojętnością, ze zbytkiem — nędza, z nienawiścią — miłość.

Słynny meczet *El-Azhar* zdaje się temu prawu krańcowych zestawień hołdować, bo wznosi się tuż obok handlowej dzielnicy. O kilka kroków kipi war targowego życia. Wysiłki i zabiegi tysięcy wahają się tylko między zapotrzebowaniem a podażą, każda myśl jest tam rachunkiem, każde spojrzenie i ruch wszelki fortem kupieckim, każda czynność obraca się w kole strat i zysków.

Tuż obok istnieje dziedzina odrębna — ba, poprostu świat odmienny.

W murach wspaniałej budowli, najcenniejszego zabytku z czasów Fatymidów mieści się muzułmańska wszechnica. *El-Azhar* znaczy ponoś »kwitnący«; i zaiste okazały gmach

godnie nosi dumną swą nazwę. U Bramy Balwierzy, tak nazwanej, bo tam przed laty podawali się uczniowie w ręce golibrodów — oddaje się kartki wstępu. Owa brama jest już arcydziełem sama w sobie. Ponad wykwintnym łukiem sklepienia nad drzwiami, pośród złotych wypisów z Koranu, widnieją



Z wnętrza moszei El-Azhar.

na bledo niebieskim tle naszkicowane lekko palmy i cyprysy. Całość przedstawia się jak olbrzymia pierwsza stronica świętej księgi, owoc długoletniej pracy uczonego kaligrafa i nieporównanego mistrza w drobiazgowem malarstwie.

Do wnętrza świątyni nie wolno wejść w obuwiu, ale jak w najlogiczniejszym języku, w łacinie, dwa przeczenia są tylko wzmocnionem twierdzeniem, tak ciżmy na trzewikach dorównywają, jako oznaka czci, bosym nogom.

Poprzez niewielkie podwórze, skąd na prawo prowadzą drzwi do kwestury, na lewo do biblioteki, przechodzi się na wielki dziedziniec, lśniący i niepokalanie biały.

Dalibóg, trudno coś piękniejszego nietylko zbudować, ale nieledwie wymarzyć. Rząd cienkich marmurowych słupów podtrzymuje sklepienie krużganków wzdłuż ścian. Ponad kapitelami i zagięciem łuków mijają się na gładkiej, dziewiczo czystej powierzchni górnego muru, stalaktytowe rozety i prostokąty o kształcie modlitewnych dywaników, jakie prawowierni muzułmanie rozścielają po meczetach. Nad tem wszystkim dzierżgany na przestrzał rodzaj fryzu również biały, lecz przeświecający modrem tłem nieboskłonu jak szlarka weneckiej koronki na weneckim aksamicie. Z sześciu

minaretów — nie owych tureckich prostych i strzelistych, lecz egipskich, podobnych raczej do naszych wieżyczek kościelnych — rozwidła się jeden u samego szczytu w dwa zakończenia i przywodzi na pamięć jodłę rosnącą na górach naszych niekiedy nie jednym, lecz dwoma pędami u wierzchołka.

Poza dziedzińcem wznosi się dopiero sam meczet obszerniejszy od wszystkich innych na świecie, z wyjątkiem kordowańskiego, złożony ze starszej i nowszej części, wsparty na szeregach kolumn, zasłany rogózkami, rojący się od uczonych i uczących się, dalej wspaniały grobowiec założyciela zdobny jaspisem i złotymi napisami, studnie służące do ablucyi itd. itd. — Muzułmańska *Alma Mater* przechodzi liczbą słuchaczy największe uniwersytety europejskie. Dziesięć tysięcy żaków kłębi się w tym przybytku nauki, dziesięć tysięcy ślęczy nad Koranem, uczy się go na pamięć, stara się wniknąć w myśl natchnionego autora i jego prawowiernych komentatorów. Na kruzgankach, lecz zwłaszcza w ogromnej i jedynej sali wykładów, zbijają się oni w gromadki, otaczają kołem profesorów siedzących na drewnianym zydlu albo poprostu na ziemi i słuchają lekcyi czytanej albo wygłaszanej z pamięci. Opodal inni leżą na runach owczych, śpią, drzemią, gwarzą, czasem płatają sobie figle, wszczynają sprzeczki, przepisują jakieś zadania, zwyczajnie jak studenci. Tu i ówdzie podnosi się który z legowiska, poprawia turban na głowie i odmawia przepisane modły nie oglądając się na drugich. Tylko francuski czasownik: *anonner* oddaje obrazowo a wiernie umysłową czynność uczniów w *El-Azhar*. Mozolne wbijanie w pamięć całych ustępów, ba całych rozdziałów i foliałów z wyłączeniem wszelkiej krytyki jest podstawą i samą treścią nauki.

O tym pisze ironicznie książę biskup warmiński:

Cytując bez rozsądku maksymy i strofy,
Śmiałość głupstwa dumnego czyni filozofy.

Jak alfą i omegą średniowiecznych szkół na Europejskim Zachodzie była wiedza zawarta w dziełach nieśmier-

telnego Stagiryty, tak jest nią dla mużułmańskiej wszechnicy jeszcze w pełniejszej mierze księga Proroka.

Scholastyczny duch ustąpił już przed wiekami pola nowym sposobom myślenia i badania, w egipskiej uczelni trwa on dalej w całej mocy.

Szczodrze wyposażony uniwersytet nie posiada laboratoryów ni narzędzi do doświadczeń w jakiegokolwiek dziedzinie. Niewielki mikroskop w sali biblioteczej służy jako dziwowisko, nie jako przyrząd do celów naukowych i wygląda niemal jakby był obcym a nie u siebie wśród ogromnych *in quarto* ustawionych po oszklonych półkach, służy on chyba do odczytywania drobnutkiego pisma, którem uczony a zapomniany ulema odpisał z wielkim uszczerbkiem czasu i wzroku świętą księgą na kilku stronicach.

W murach tej szkoły żywej a jednak oschłej, uspionej i spełniającej swe zadanie jakby przez sen hypnotyczny pod wpływem sugestyi działającej aż z Mekki, wywołuje wyobraźnia obraz Sorbonny, Bolońskiej czy Padewskiej Akademii z przed-renesansowych czasów. Uczniowie dzielą się tu jak i ówdzie na »nacye«.

Same nazwy bram: indyjska, turecka, dalekiego Zachodu, czyli marokańska, wskazują z jak daleka przybywają wyznawcy Islamu do tej skarbnicy umiejętności. Chorwacki hodża z Sarajewa koleguje z Sudańczykiem i kaukazkim czcicielem półksiężyca a obcuje z dalekim przybyszem z Borneo i hen aż z wysp filipińskich.

Nie dziw, że *El-Azhar* wywiera wpływ ogromny na cały świat mahometański, że przyczynia się do tej jedności wiary pojęć i obyczaju, które panują wszędzie tam, gdzie muezinowie wielbią Boga z wyżyn minaretów, że jest soczewką skupiającą i rozpraszającą promień duchowego światła mahometańskiego. Jego zasklepienie się w sobie, oderwanie od terażniejszości, zapatrzenia w przeszłość a zwłaszcza wykluczenie wszelkiego powątpiewania w prawdziwość tego, co *El-Azhar* przedstawia, są warunkami jego

siły moralnej, bo niewytłomaczonym lecz nieomylnym pewnikiem jest siła przywiązania do przekonań, myśli, pojęć itd. będąca w odwrotnym stosunku do pracy duchowej, którą nas kosztowało przyswojenie sobie tego właśnie dobytku intelektualnego.

Religia tu w grę nie wchodzi, gdyż będąc Bożego początku, rządzi się nadnaturalnem prawem.

Nikt, nawet najbardziej zakuty domator, nie może nie wiedzieć, że są w Kairze zbiory i pomniki sztuki nęcące

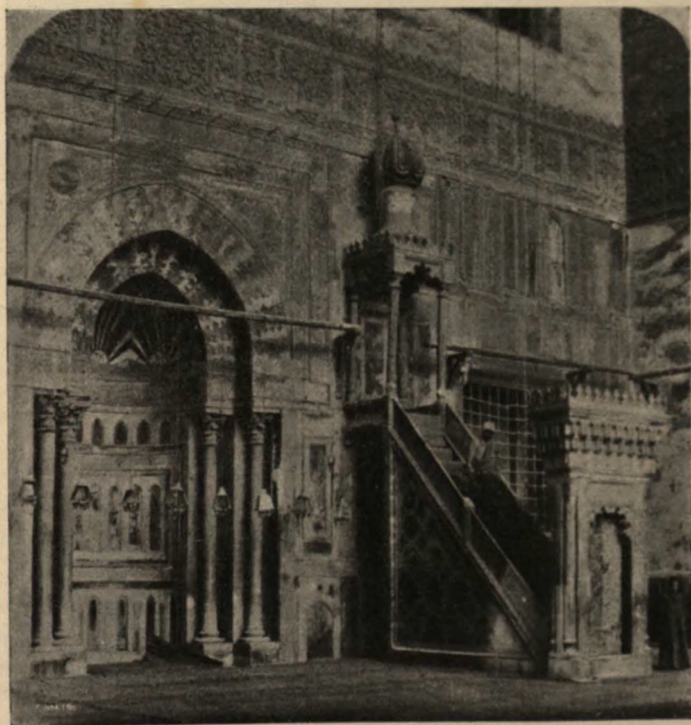


Groby Kalifów w okolicy Kairu.

powszechną ciekawość, że w muzeum w Gizeh można oglądać mumię Ramzesa II, że grobowce Kalifów są godne podziwu nawet w obliczu piramid, że wielki meczet Sułtana Hassana jest najpiękniejszym zabytkiem muzułmańskiego budownictwa, którego dziełem jednakże jest i Alhambra i dżamie Ispahanu. Atoli opis tych dzieł i arcydzieł egipskich z czasów Faraonów i arabskich zdobywców nie mieści się w ramach *Egiptu w lecie*.

Wszystko wprawdzie stoi otworem i to za półdarmo, lecz kto zechce przy 40° C. w cieniu podejmować wędrówki do

najcenniejszych nawet trumien i sarkofagów? Już w Rzymie podobno tylko »cani e Polacchi« włączą się po ulicach w godzinie siesty. Niżej podpisany nie spotykał nawet psów na pustych drogach wiodących do przybytku egiptologii, rodaków niestety nie było o tej porze roku, a pośród sprzętów, tkanin i posągów z przed ośmiu tysięcy lat, spotykał tylko oliwkowych jegomościów z górnego Egiptu i jeszcze górniejszych wodospadów nilowych, którzy zjechali do Kairu — bo wszystko na tym świecie jest względne — szukając tam chłodu i świeżego powietrza.



Kair. Moszeja Sułtana Hassana: kiblach i mimbar.

Zresztą muzeum pełne jest huku i stuku. O tym czasie przedsiębierze dyrekcyja potrzebne przemiany, przeróbki i przenosiny.

- »Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga,
- »Z kamienia płaskorzeźby wygląda twarz Boga«.

Ów kamień zaś wygląda ze skrzyni, w której przyjechał z pustyni z nad Czerwonego Morza czy też z Teb albo z Karnaku.

Tak jak elegantki kairskie, przymierza i stroi się w nowe ozdoby gmach poświęcony starożytnościom, żeby zabłysnąć świeżym blaskiem w zimową porę.

Ta *vita minima*, którą żyje stolica przez długie miesiące nieustannego skwaru i nieubłaganej pogody, nabiera żywszego tętna dopiero przed zachodem słońca. Wówczas ze wszech stron ciągną długim korowodem tłumy na most *Kas-er-Nil*.

Człkawka automobilów łączy się z turkotem zamkniętych powozów, w których migają z muslinowych osłon gwiaździste oczy tureckich i arabskich pań; wołania bosych *saisów* czyli laufków biegnących parami co sił starczy przed końmi, mieszają się z niecierpliwem dzwonieniem bicyklistów torujących sobie drogę wśród ludzkiego mrowia; doróżki jednokonne, wysokie biedki angielskich oficerów, pojazdy dygnitarzy i finansowych potentatów zaprzężone w ciężkie konie sprowadzone z Neapolu, skąd pochodzą także i woźnice, lekkie bryczki złotej młodzieży, osiołki, na których pędzą gołowąsi irlandcy artylerzyści z czapeczkami na bakier, wielbłądy objuczone złotawą dynią, zielonymi harbuzami i melonami, łożą się na żelaznym moście, z którym tylko podobno słynny most w Pera na Złotym Rogu porównać można.

Celem przechadzki czy przejażdżki są ogrody Ghesireh t. zh. wyspy utworzonej przez ramiona Nilu.

Promienie słońca coraz to skośniej padają na rzekę, na łabędzie pierze żaglowych łodzi, na miasto, któremu za

to służy czerwonawy grzbiet Mohatanu, na kopułę samotnej a wyniosłej cytadeli wieńczącej owe skaliste wzgórza niby zawój, na jej dwa minarety do czaplich kitek podobne, na białe mury gmachów i domów, które się zdają śnieżnym burnusem Kairu, księcia orientalnych grodów.

Niżej, tuż ponad wodą, stoją szeregiem pałace książąt a pośród nich skromna siedziba lorda Cromera.

Cienie akacy przydrożnych wydłużają się coraz bardziej, złota kurzawa w którą spowity cały krajobraz, nasiąka coraz to czerwienią barwą, aż słońce obniży się do krańców widnokregu i wreszcie zapadnie w piaszczyste wydmy libijskiej pustyni, nie tracąc do samego zachodu nic ze swej olśniewającej mocy i rozżarzonego blasku — niedościgłe żadnem porównaniem i urągające wszelkim opisom.

Po ustąpieniu tego samodzierecy jasności, poczyna działać zbiorowo cała rzeczpospolita świateł i światełek. Sznury lamp znaczą w nastającym zmierzchu kierunki ulic i dróg ogrodowych. Powozy stają na chwilę i puszczają się w ruch przy oświetleniu świeczek niby kocich oczu, samochody rażą odtąd nie tylko powonieniem kopciem i słuch miarowym rykiem, ale i wzrok oślepiającym acetylenem, na *Kasr-el-Nil* zaś płonie rząd latarni, rzucając fantastycznie zolbrzymiały cień mostu na mętny nurt pod nim płynący: zdaleka sądzićby można, że cały rój świętojańskich robaczek stanął w szeregu, żeby wskazywać drogę ludzkiemu mrowiu dążącemu z powrotem do miasta.

Ghesireh jest miejscem zbornem najzamożniejszej części ludności, ale jak cała Warszawa wylega w Aleje Ujazdowskie tylko na łamach reporterskich kronik, tak i mieszkańcy Kairu, liczącego kilkakrotnie sto tysięcy ludności, nie ciągną wszyscy w jedną stronę. Prócz Ghesireh jest jeszcze i *Rad-el-Farag* dokąd dojeżdża się tramwajem i gdzie jest przystań galarów dowożących zboże, kukurydzę, groch, na potrzeby stolicy.

Trzebaby chyba pióra jakiego egipskiego Gorkija, żeby wiernie oddać życie, obyczaje i duchowy ustrój owych flisaków

nilowych, którzy wieczorem, po całodziennej pracy wypoczywają na worach i płachtach, pilnują łodzi, popijają kawę, gwarzą, swarzą się, piorą odzież, ważą skromną strawę, palą papierosy i nucą pieśni miłosne. Lecz komu powierzyć pędzel zdolny odtworzyć kabłączaste maszty i łodzie »białoskrzydne pławeczki« na tle nieba zapłonionego rumieńcem zachodniej zorzy?

Prócz dwu tych ujść od stołecznej spieki ku rzece jest jeszcze i trzecie w stronę pustyni.

Piaszczystą drogą poprzez Abbasieh wiódł niegdyś trakt poczty indyjskiej z Londynu do Bombaju, wówczas kiedy



Nil pod Kairem i stara nadrzeczna dzielnica miasta.

nikt, ani nawet pisarze o najbujniejszej wyobraźni nie marzyli o przekopie suezkim i kolejach żelaznych.

Potężne fortalicje stoją po dziś dzień na straży zaniechanego gościńca, ale czas rozbojów już minął i kobiety wraz dziećmi zapuszczają się bez obawy poza obręb miejskich murów w stronę kaganków migających z pod trzeciniowych strzech pobliskiej murzyńskiej wioski; natomiast chwaccy żołnierze i młodzi chłopcy zbijają się w gromadki i lękliwie mijają wytworny pałacyk stojący na uboczu. Wieść bowiem niesie, że tam właśnie mieszkała przed laty wielka pani księżęcej krwi i nienasyconych chuci. Ta czarnobrewa Kirke, pustynna Lorelei zastawiała podobno sieci, czyhała na łup,

rozsyłała rzezańców na drogi rozstajne, a kto przestąpił próg tej złowrogiej rusałki, stawał się jej igraszką i ofiarą i trupem dopiero wyzierał na biały świat z leniwych mętów Mahmudyjskiego kanału. Zmieniony porządek rzeczy nie zdołał dotąd wykorzenić zabobonnej trwogi w pamięci wystraszonych i łatwowiernych Sudańczyków.

Brzydki, posępny — jak noc: jest to w naszym języku utarte porównanie. I słusznie. Prócz niewielu rzadkich nocy około św. Jana i rzadszych jeszcze śnieżnych i miesięcznych około Bożego Narodzenia, któż doświadcza u nas czaru sennych godzin od zmroku do świtu? Natomiast w arabskiej mowie noc jest ponoś przedmiotem porównań pochlebnych i równie trafnych jak nasze, choć są z naszymi sprzeczne. Zaiste doskonałości bliskie musi być to wszystko, co naprawdę zasługuje na określenie: piękne jak noc arabska. Bo nie jest ona czarną ni burzliwą, mroźną ni dżdżystą, ale owszem błękitną i pogodną w korzenie z gwiazd, z księżycowym sierpem u czoła. Orzeźwia ona i rozmarza, budzi z odrętwienia ludzi a rośliny skrapia rosą, wiatr jest jej wachlarzem, nie biczem; a obłoczki, w które się stroi, są jej białą szatą weselną, nie zaś burym pokutniczym habitem.

Zewsząd dolatuje śpiew tęskny, namiętny, miłosny jak świegot ptasi na gody; nie ucichnie on przed brzaskiem, a choć niezrozumiały, choć wartością muzyczną zbliżony dużo bardziej do mazurskich produkcyi wokalnych, niż do włoskich »canzon« jest tak bezpośredniem odbiciem powszechnej *joie de vivre*, że nie stanowi rozdzwiku w melodyi wrażeń.

Po wieczerzy raz jeszcze ciągną tłumy na most i nad rzekę. *Dahabie*, czyli statki zamienione na mieszkania letnie, stoją rzędem u brzegu na kotwicy i wrą huczmem życiem — bogacze wydają na nich uczyty, goszczą przyjaciół i pieczeńiarzy, przypatrują się taneźnikom, palą mdłe nargiles (jestto rodzaj fajki przepuszczający dym przez naczynie nakształt samowara) lub zakazany haszysz, lecz przedewszyst-

kiem oddają się słodkiemu *kief* t. zn. zupełnej beczynności, bezmyślności i nieruchomości.

Kto sobie zaś na tak zbyt kowne próznowanie pozwolić nie może, ten urządza je sobie tańszym kosztem, wybiera się poprostu z towarzyszanmi piechotą, siada na ogrodowej ławce i tam popada w owo rozkoszne dumanie od snu milsze, bo świadome a wszelkiego wysiłku wolne.

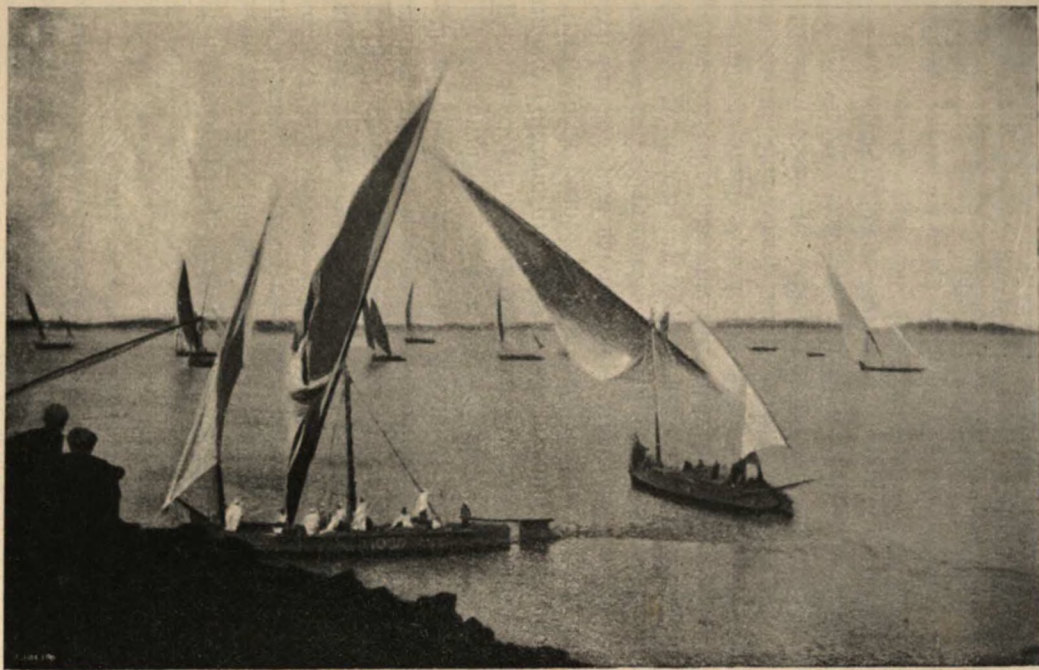
Europejczycy, jak wiadomo, umięją lepiej niż ktokolwiek nabywać środki do życia, lecz używać ich nie zdołają. Dla swego wczasu nie wynaleźli nic lepszego jak wybudowanie ślicznego teatrzyku rococo, dzieła wiedeńskiego budowniczego, i co wieczór spieszą raczyć się piwem, winem szampańskim oraz widokiem artystek podkasanej muzy.

Publiczność składa się prawie wyłącznie z zastępców rozmaitego rodzaju: zastępcy posłów pełnomocnych, zastępcy konsulów jeneralnych, zastępcy dyrektorów bankowych, zastępcy kierowników rządowych, wydziałów i oddziałów, wszyscy ci, których — jak Ludwika XIV nad Renem — *sa grandeur Vattache aux rivage*. Nie przemijająca wielkość, ale trwały brak pieniędzy na wyjazd więzi na deskach u niowych brzegów personal teatralny, więc rad nierad tańczy on *cakewalk* i śpiewa przemęczonym głosem śpiewki znane do syta, które z wiekiem wydają się jeszcze bezlitośniej głupie, mizerniej pospolite, niż wówczas, kiedy były nowością.

Dalibóg Arabi słusznie litują się nad nieumiejętnym sposobem zabijania czasu, Europejczykom właściwym.

Lecz wydarza się niekiedy, że traf nie tak ślepy, jak twierdzi się powszechnie, przychodzi w pomoc poezji udręczonej przez kawiarnianą Melpomenę i ogródkową Talię.

Gasi on w tym celu uporeczywie raz po raz żarowe lampki kinkietów. A wtedy niepodobna zamknąć oczu na piękność nieba i ziemi, zalanych srebrzysto zielonym blaskiem miesiąca, na wspaniały portyk palmowy o chwiejnych kapietelach z liści, na kopuły sykomor i wreszcie na zwierciadlaną falę, do której zawsze zdąża wzrok, by zaczerpnąć



Nil.

coś z jej świeżości, wypławić się w tej cichej świetlanej a zdradnej głębi.

Nad brzegiem tej rzeki jedynej, dobroczynnej w dzień, a tak uroczej w noc, nachodzi człowieka pokusa niepowszednia w dzisiejszych czasach: pokusa bałwochwalstwa, i wówczas rozumie się dopiero te gwałtowne i niemal namiętne słowa Pisma św. — »To mówi Pan Bóg: Owo ja na cię Pharaonie, królu Egypcki, smoku wielki, który leżysz w półśrodku rzek twoich a mówisz: Moja jest rzeka a jam uczynił sam siebie«. (Ks. Ezechiela, Rozdział XXIX. w. 3); i dalej: »A poznają, że ja Pan, za to, żeś mówił: Moja jest rzeka i jam ją uczynił«. (Ezechiel, XXIX. w. 9).

DAMIETTA.

Ktokolwiek opowiada się szczerze i rzetelnie przy liberalnem credo i jego dogmacie zasadniczym, wierze w postępowość powszechny, niepowstrzymany żywiołowy; kto sobie wyobraża postępowość ten, opiewany codziennie na trzy zbytki i na wszystkie tony, jako drabinę opartą jednym końcem o ziemię, lecz gubiącą się drugim, czy właśnie brakiem drugiego, w obłokach nieokreślonego nieba — gdyż oczywiście nie tego, które Pan Bóg stworzył i na pobyt wybranym przeznaczył — ten zaiste przyjmuje do swej mózgownicy owe próbki tak często bez wartości, jakie odbiera pod opaską dzienników całego świata, lecz nie używa swego rozumu jako przetaka dla odwiania ziarna od plewy.

Wniknięcie bowiem w siebie i przeniknięcie bliźnich pouczyłoby go snadnie o tem, że jedyny istotny postępowość w dziedzinie duchowej, postępowość jednostki na drodze zwycięstw nad sobą samym, posuwa się naprzód linią falistą a raczej spiralną, jak się wyraża Pascal. Samoistny zaś zmysł spostrzegawczy doprowadziłby go po niezliczonych przykładach do przekonania, że postępowość jest tylko jednym z ramion para-

boli, której koniecznem dopełnieniem jest upadek; że wszelki rozwój nosi w sobie zarodki śmierci; że wszystko, co zakwita, nieuniknienie okwitnąć musi.

Ponieważ pogląd na świat nie da się ująć w geometryczne formułki, więc i przestrzeń między kolebką pełną sił a trumną — nie zawsze jest równomierna. Niemniej jednak owo prawo nie zna wyjątków. Podlegają mu i rzeki. Biegu ich górnego, średniego i dolnego zazwyczaj odróżnić nie trudno. Niektóre z nich skaczą wprawdzie w morską otchłań jednym śmiałym rzutem, jak nurek, lecz te niedługo zwykle wiją się w łożysku: »Wybrańcy bogów umierają młodo«. Te zaś, które setkami mil płynęły ku przeznaczeniu, kończą niekiedy w trzęsawiskach i moczarach na uwiad starczy. Wspaniały Ren, nadobny Dunaj w tak nędzny sposób rozstają się z ziemią. Nil do samego ujścia przedstawia się okazale.

Już od Kairu rozdwaja się on na główne odnogi kierujące się jedna do Rosetty druga do Damietty, a wszędzie po drodze nasyca pragnienie spiekłych pól i zeschłych warg rojnej ludności; niemniej jednak wpada on w Śródziemne morze przepyszny jeszcze strumieniem.

Statek parowy, który rzeka unosi łątwo i rączo, nie osadzając go na mieliznach po drodze, dopływa nocą do Damietty.

Jedną z osobliwości Egiptu wśród tylu innych jest to, że jego dwie główne przystanie Aleksandrya i Port Said nie leżą nad Nilem, że Rozetta i Damietta zawistnie patrzą muszą na szybki rozwój współzawodników, który im z prawa logiki należećby powinien.

Temu handlowemu upośledzeniu przypisać należy oryginalny wygląd nadrzecznych owych miast; zachowały go nie z wyboru lecz z musu, tak jak zachowały się mallownicze stroje ludowe w tych tylko zakątkach, do których dowóz tanich wyrobów fabrycznych jest jeszcze trudny a zatem i kosztowny. Pierwszem wrażeniem w Damieccie jest jej uderzające podobieństwo do Wenecyi. Wązkie trójkienne

domki, ganki wystające, schody do połowy skąpane w wodzie, owocowe stragany tuż nad jej brzegiem, kopuły meczetów do sklepień kościelnych podobne i minarety przypominające *campanile* przedstawiają się oczom po raz pierwszy, jakby coś już widzianego. Oczywiście nilowego ramienia porównywać nie można z Canal Grande; nie masz na niem ani mostów, ani obok niego placu nakszałt placu św. Marka. *Un air de famille* jest jednak niezaprzeczony i uwydatnia tylko orientalny pierwiastek miasta lagun, które »stawiali bogowie« a które wschodnim swym cechom zawdzięcza może swój niewysławiony czar i urok.

Dzianie: Abu-El-Moati, El Meenieh, żeby wymienić tylko najważniejsze, należą do najstarszych i najcenniejszych za-
bytków arabskiego budownictwa na ziemi Egipskiej.

Owa sztuka jednak, wykluczająca nieubłagane ludzką podobiznę z zakresu swych starań i usiłowań, pozbawia się samochęć najpewniejszego wabika — zaciekawienia. Najuczepsze zwłknięcia linii w arabeskach nie zdołają przykuwać uwagi tak, jak lada posążek lub rysunek nawet nie pierwszorządnej wartości.

Nie martwe też budowle lecz nieśmiertelne wspomnienia pobudzają myśl i ożywiają wyobraźnię w Damieccie.

Wszak tam popłynął, tam o Grób Zbawiciela kopię kruszył, tam jaśniał blaskiem bohaterskich cnót św. Ludwik!

O tych zapasach, idealnych ludziach i czasach wie się nie wiele, nie dosyć, a jednak uwaga powinaby chętnie zrywać się z bagien, marnych epok późniejszych, by dążyć do przejrzystego źródła i żartkiego strumienia, którym średnio-wieczne rycerstwo parło na Wschód.

Nie każdy godzien był, nawet wówczas, służyć w Pana Jezusowych chorągwiach.

Ani ambitny Barbarossa, ni przebiegły i krnąbrny Fryderyk II. ani nawet awanturniczy Ryszard Lwie Serce nie stanęli na wysokości szczytnego zadania, nie byli Krzyżowcami w całym a tak wzniosłem tego słowa znaczeniu;

jeden tylko Gotfryd de Bouillon i nadewszystko król Ludwik IX., który aureolą świętości ozłocił monarszą koronę i lilie herbowe na białem polu.

Zdobywca Damietty wojował nieszczęśliwie, lecz wspomnienie jego wyprawy orężnej dlatego promienieje takim blaskiem niezacmnionym aż do dzisiaj dnia, że natrafił na godnego siebie przeciwnika. Saladina tradycye, tego wielkiego władcy, były jeszcze długo potem w pamięci muzułmańskich kalifów.

Mało kto sięga do kroniki pana de Joinville, wiernego towarzysza królewskiego stadła, bo Małgorzata de Provence nie chciała rozłączyć się z dostojnym małżonkiem i dzieliła z nim trudy i niebezpieczeństwa wyprawy Krzyżowej mającej po przez ziemię egipską prowadzić go do Jerozolimy i Betleemskiej Stajenki.

Opisy kroniki Joinville'a tchną wielką i do przedmiotu doskonale zastosowaną powagą, kojarzącą się z niewysłowionym wdziękiem dziecięcej niemal naiwności.

Król Ludwik wkroczył do zajętej Damietty, nie jak zwycięzca, ale jak pokutnik, po długim nabożeństwie zamieniającem główny meczet w katedrę pod wezwaniem Najśw. Panny — na czczo, pieszo i boso w otoczeniu kościelnych dygnitarzy, książąt krwi i świeckich magnatów.

Kiedy zaś pociągnął z wojskiem w głąb kraju aż do miasta Mansurah, gdzie miał stoczyć nieszczęśliwą bitwę i dostać się do niewoli, została królowa na pieczy sędziwego rycerza, który nie odstępował jej na krok, w nocy sypiając na progu jej komnaty, a gdy trwogą zdjeta widziała się już w mocy nieprzyjaciół, uspokajał ją słowami: *Dame, n'aiés garde, car je suit ici.*

Ukląkwszy przed tym ośmdziesięcioletnim Wojskim zobowiązała go monarchini przysięgą do spełnienia swojej prośby: *Je vous demande, fist-elle, par la foy que Vous m'avez baillie, que se les Sarrasins prennent ceste ville, que vos me copez la teste avant qu'ils me preignent. Et le chevalier respondi: Soiés certaine, que je le ferai vo-*

lontiers, car je l'avoie bien en pensé que je vous occiroie avant qu'ils nous eussent pris.

Mniej oczywiście jeszcze od francuskich kronik znane są zapiski arabskich dziejopisarzy. Najślawniejszy z nich, Makrizi, wynosi jak przystało pod niebiosą czyny godne pamięci Saroceńskich wojowników. W nim to wyczytać można, że za panowania Saladyna napadł chrześcijański rycerz podczas zawieszenia broni na karawanę kupców bagdadzkich i złupił ją do szczytu. Saladyn nie zerwał z tego powodu umowy, kazał tylko oświadczyć wiarołomnemu przeciwnikowi, że sam go zetnie przy pierwszej sposobności, gdziekolwiekby go napotkał. W jednej z późniejszych utarczek popadł ów nieszczęśnik wraz z innymi panami w niewolę. W namiocie sułtańskim podano zgromadzonym i strudzo-nym jeńcom chłodzone napoje. Służba roznosząca sorbety pominęła jedynie owego wojownika; równało się to wyrokowi śmierci, bo gdyby dotknął się był jadła czy napitku byłby temsamem nietykalny, według obowiązujących wówczas praw gościnności, i życiu jego nie mogło już grozić niebezpieczeństwo.

Saladyn gotów był jednak i teraz jeszcze darować go zdrowiem, gdyby oświadczył natychmiast wszem wobec, że Bóg jest jeden a Mahomet prorokiem jego. Ale Krzyżowiec, nawet łupieżca, nie zaparł się swojej wiary, padł też pod razami monarszego bułata.

Takie to boje zarazem krwawe i okrutne, ale czci żołnierskiej pełne, toczyły się przed sześciuset z górą laty na żółtawych wydmach i pośród palmowych gaików, przeświecających pod liściastymi pióropuszcami czerwonym owocem w olbrzymich gronach. Nie wiele chyba śladu zostało z nich na miejscu, w samych tylko nazwach osad rybackich, z których jedna zowie się El Bořg, druga Geth-el-Nazara, co się tłumaczy: Przybycie chrześcian. Ludzie zaś w ciągu wieków zwyrodnieli. Miejscowy gubernator, przesadzający się w uniżonej grzeczności dla dyplomaty poleconego mu listem ministerstwa spraw zagranicznych, jest bijącym w oczy dowodem zanikłej

godności osobistej. Bo któż uwierzyć może zapewnieniem, że całe miasto poczytuje za wieczny zaszczyt sobie przygodne odwiedziny i kto nie uśmiechnie się na widok chustki rozmiarów prześcieradła, którą Ahmed Bey wymachuje — niby chorągwią w chwili poddania obłożonego miasta — za odpływającym gościem po kilkugodzinnej znajomości, która się chyba nie odnowi nigdy?

Ras-el-Bar u samego ujścia rzeki jest osadą, a raczej obozem, na piaszczystej ławicy między morzem a Nilem. Przez kilka miesięcy bywa on zalany wodą, więc żadna trawka ani mech nawet nie czepia się korzeniami lotnego gruntu. Natomiast od czerwca do października pokrywa się wążki ów a długi pas ziemi szałasami z kołków, trzciny i tarcie, w których mieszczą się: urząd pocztowy i telegraficzny, posterunek żandarmeryi, kramy, kawiarnie arabskie i gospody.

Zwolennicy powrotu na łono natury, powinni by uważać pobyt tamże za urzeczywistnienie marzeń, bo gdzie indziej mogą nacieszyć się widokiem poważnych dostojników ubranych w indyjskie *pidzamy*? (jak wiadomo przedstawiają one odzienie uproszczone do ostatecznych, acz dozwolonych, granic) — a przytem w angielski hełm i międzynarodowy monokl. Nawet obuwie uważane bywa za niepotrzebny zbytek. Panie również poświęcają dla wygody wymagania wykwintnych strojów. Za tą prostotą w dziedzinie krawiectwa idzie prostota w obejściu — niepodobna wysoko się nosić, kiedy się chodzi boso, ni drapować się w fałdy nieistniejącego płaszcza, kiedy się nie nosi nawet szlafroka.

Lecz niestety zbyt daleko odbiegła ludzkość od Arkadyi, by móż pędzić bukoliczny żywot. Nagość nawet przysłonięta, nadobną nie jest, a prostota, przeradza się w prostactwo. Gdyby Odysseus jaki zawinął do płaskich brzegów owego miejsca kąpielowego, nie spotkałby Nauzykai przy praniu bielizny, ni grającej w piłkę z rówieśniczkami, ale natrafiliby

na otyłe Lewantynki, które na lato i poza Kairem zaprzestały używać chwilowo różu i bielidła a, jak zawsze, unikają mydła i wody i tylko piżmem więcej niż kiedykolwiek zapełniają powietrze; na zgrają rozczochranych dzieci zabierających dorosłym osobom krzesła, by zamieniać je na sklepiki dla zabawki i z zabawkami i dających tem dowód, ku ucieście rodziców, jak dalece i głęboko tkwią w ich skłonnościach odziedziczone tradycje; wobec takiego spotkania wolałby przemyślny król Itaki nie lądować wcale i raczej na nowe puścić się bezdroża.

Najciekawszą osobistością na półwyspie jest niezaprzeczenie Mustafa. Liczy on sobie lat 16 a jednak w wieku, w którym chłopski syn u nas jest jeszcze poganiaczem a młody mieszczanin studentem wyższego gimnazjum, dorobił on się już majątku i stanowiska. Z zawodu jest rybakiem.

Musiał być nieledwie niemowlęciem, kiedy ojciec zabierał go na łódź i dawał w rączkę powróż uwiązany u masztu, czy sadzał u steru. Obecnie nikt mu nie dorówna w kierowaniu czółnem, nikt tak jak on nie umie napiąć żagla, by płynąć pod wiatr, nikt tak zgrabnie nie zarzuca wiewierza, nikt wreszcie tak śmiałych figlów nie płała strażom nadwodnym.

Zrywa się z posłania już przed świtem i lotem strzały mknie na swojej czajce o kilka staji, tam gdzie rozstawił na przestrzeni kilkaset sążni ogromne sieci, by wyławić nadlatujące przepiórki. Stary ojciec jego służy mu za dozorcę i pilnuje zarówno zwierzyny jak i drogich siideł. Ale Mustafa nie spuszcza się nawet na niego i podczas gdy starzec rozciąga kobierczyk i zwraca się twarzą do wschodzącego słońca dla odmówienia porannej modlitwy, śledzi bacznie, czy kto nie zakradł się nocą po ptaszęta, najeżonem pierzem i skrwawioną piersią trzepocące o niciane oka. Biada temu, ktoby się na to poważył. Mustafa sam wprawdzie łowi cudze ryby — prawo rybołówstwa wydzierżawił rząd przed laty przedsiębiorcy, który zarabia około dziesięciu a może więcej tysięcy na sto — ale swoich przepiórek broni zaciekle,

śmiałka złodzieja poznałby, jak twierdzi, niezawodnie po odcisku bosej stopy na cienkim piasku (nigdzie trudniej jak w Ras-el-Bar zatrzeć swoich śladów) i ukarałby przykładnie.

Zabrane łupy myśliwskie odwozi on do hotelu, gdzie wraz z ryżem będą ono stanowić główną a wyborną obiadową potrawę. Potem wybiera się sam lub z gośćmi na połów.

Nad morskim brzegiem chodzi godzinami tym charakterystycznym krokiem rybaka, wlepiając wzrok w ruchliwą falę, na plecy przygarbione od ciągłego naprężania mięśni przy ciągnięciu sznurów i holowaniu galarów, zarzucił — niby worek, sieć opatrzoną u kraju ołowianymi ciężarkami, oczyma załzawionymi i zmęczonemi od wpatrywania się w migotliwą wodę odbijającą promienie słoneczne, śledzi na pozór obojętnie podrygi rybek wyskakujących i pluskających się od niechcenia.

Aż upatrzywszy stosowne miejsce rozpościera więcierz, odskakuje dla rozmachu w tył i pokrywa jak płachtą dużą przestrzeń wody.

Poluje on i na ptaki zastawiając papierowe skrawki, łudząco podobne do stada kaczek, do których jak do towarzyszek zlatują się prawdziwe cyranki. W uprawianiu rzemiosła, które jest zarazem sztuką, nie przeszkadza mu nikt prócz rekinów, które podpływają pod sam brzeg. A rekin, mimo wystającej skrzelii na grzbiecie, umie ukryć się wśród dwóch fal, jak kot przyczaja się w skibie, kiedy się skrada na młode zajaczki.

Kilka razy powiodło się Mustafie umknąć przed morskimi potworami tylko dlatego, że zarzucił im sieć, w której się na chwilę uwikłały. Mimo wszystkiego musiało mu się szczęścić, bo kupuje co roku kilkanaście czy kilkadziesiąt drzew palmowych, z których każde czyni mu tyle, ile mórg średniej mazowieckiej gleby, a jest także posiadaczem ładnej i składnej łódki o jednym maszcie, koło której krząta się z takim przejęciem, jak polski parobek około ulubionej klaczy; małuje i pokostem ją zapuszcza, umiata, czyści itd.

Wieczorem wreszcie Mustafa, przybrany w śnieżną, świeżo wyprasowaną galabie, kraśny fez i pasek, zwija się z półmiskami i szczyrzy w ujmującym uśmiechu bieluteńkie zęby — na przyszły rok wykupi się z wojska, poczem będzie myślał o żeniactwie i zanim jego rówieśnicy europejscy przestaną zaliczać się do żaków i terminatorów, on już będzie ojcem rodziny.

Widoki z Ras-el-Bar są osobliwe a nie bez powabu. Łąd tak niewiele wystaje z wody, że budynki tameczne wyglądają z oddali jak gdyby maczały fundamenta w rzece. Mętne fale i piaszczyste wydmy zdają się prosić, by je kto sepią odtworzył na papierze. Nad tym przyplaszczonym i gli-nianym widnokręgiem zaokrąglą się strop niebieski nie tak nieubłagane pogodny, jak w głębi kraju, owszem nieraz puszystszy od białych baranków, które wiatr pędzi od morza, a jutrzenka i zmierzch przedwieczorny zabarwiają na wszystkich odcienia czerwieni i złota.

Jeziro Meusaleh słyneło za Herodotowych już czasów obfitością ryb i ptactwa. Nie się jak dotąd od półtrzecia blisko tysiąca lat w tym względzie nie zmieniło. Niedługo to jednak chyba potrwa, bo już powstało kilka towarzystw mających za zadanie osuszenie całej przestrzeni między Damietą i Port-Saidem. Co prawda mogą te przedsięwzięcia zbankrutować, a po gładkich wodach będą dalej pływać łodzie, nie zaś toczyć się ciężarowe pociągi, niemniej jednak plany wypracowano, a taniec rybek do słońca jest już może tańcem śmierci.

Jest ich bez liku. — Co chwila przemykają się one wśród bujnej podwodnej roślinności, to znów igrają na powierzchni jeziora. Czaple, pelikany, żórawie, dzikie łabędzie i gęsi, bociany i flamingi i ptactwa innego co niemiara, zapadają stadami tak tłumnio, że z oddali wyglądają niby wyspy i ostrowy ubielone śniegiem, czy też od godowych upierzeń pstrokaty.

Meusaleh, jak morze obszerne, bo jednym tylko brzegiem dla oka ludzkiego z ziemią związane, na przeciwległym

krańcu graniczące bezpośrednio z nieboskłonem, bywa zazwyczaj letnią porą tak spokojne, że aż martwe.

Duży i wygodny statek, oddany najuprzejmiej na usługi niżej podpisanego przez zarząd straży skarbowej, posuwa się wolniuteńko naprzód. Załoga złożona z sześciu marynarzy; mieniają się u żerdzi, któremi popychają okręciak, tak jak przewoźnicy, którzy przeprawiają promy na naszych rzekach. Cisza zalega zewsząd, ani wiatru ani tchnienia nawet, promienie sierpniowego słońca padają na pokład — niemal prostopadle; białe mury Damietty żarzą się w świetle porannem, nie maleją ni topnieją w mgłę oddalenia i zdają się urągać nieznacznym naszym postępom. Tak mijają godziny za godzinami, aż wreszcie, wówczas kiedy cień już od zachodu padać zaczyna, czuć słabe podmuchy. Mało kto śledzi u nas powstawanie wiatru, bo wszystko, co żeglugi dotyczy, jest nam zgoła obce, wiatr zaś nigdzie niemal u nas nie jest w służbie ludzkiego dowcipu i czasem tylko pomaga mleć otręby i razową mąkę, lecz zresztą płata nam tylko psoty i wyrządza szkody: obala drzewa, zrywa poszycia, czerwieni nosy, lub dym w oczy pędzi.

Ale na wodzie jest on upragniony, więc też nikt z oka nie spuszcza pierwszych poruszeń szklistej toni budzącej się jak ze snu pod delikatnym powiewem, do pocałunku podobnym.

Pieszczoty owe mnożą się wokoło statku, leniwe fale nie chcą się jednak ocknąć odrazu i zdawaćby się mogło, że pragną przedłużyć rozkosz takiego powoływania do świadomości. Napróżno; nie oprą się one miłosnej natarczywości oblubieńca; rozkochany Eol zwycięża Morfeusza. Zatrzeszczał z lekka zeschły maszt, zaszeleściły płótna żaglowe, łódź pochyła się i mknie jak rybitwa, podczas gdy żeglarze ocierają spocone czoła i powtarzają *Hamd Allah*, Bogu niech będą dzięki, że wiatr ich wreszcie w pracy wyręcza.

W niespełna trzy godziny — mającżeje już przed nami Port-Said.

PORT-SAID I PRZEKOP SUEZKI.

O najmłodszym z miast nad morzem Śródziemnem możnaby chyba napisać to samo, co Ignacy Krasicki napisał o Rzeczywole.

Kilka ulic przecinających się pod kątem prostym, hotel postawiony amerykańską modłą z żelaza, sklepy najpospolitsze z wyjątkiem tych, które zawierają prawdziwe skarby w japońskich tkaninach, haftach, wyszywaniach misternych, snycerskich wyrobach z drzewa i kości słoniowej; liczne szynki, szulernie, oraz domy, które opisywać umiał a pióra tem parać się nie wzdraga, jeden tylko Maupassant — stanowią rdzeń rybackiej osady przerosłej w duży port.

Ogromna latarnia morska, gmachy *de la Compagnie du Canal Maritime de Suez*, zwanej zwykle prosto tylko: *La Compagnie* z odcieniem uszanowania w głosie, przy wymawianiu nazwiska kłociowego przedsiębiorstwa — są niby tą ozdobą nieuleczalnie szpetnego grodu.

Jakie mury tacy i mieszkańcy. Napływowa ludność zawiera wiele mętów i szumowin społecznych. Każdy niemal statek pozbywa się tam najchętniej co niespokojniejszych duchów wśród załogi i przejezdnych. Porzuceni na bruku miejskim — który w Port-Saidzie jest nie rzeczywistością, ale chyba wyłącznie przenośnią — chwytają się ci straceńcy wszystkich rzemiosł, by zarobić na życie, a nie pogardziliby i zbójcekim procederem, gdyby nie surowa policja i zbrojne kawasy konsulatów zagranicznych.

Mimo tego zwady i bitki nieraz krwawe rozgrywają się co chwila po zaułkach i nawpół zabudowanych dzielnicach; stary lekarz oddawna pomiędzy taką hołotą osiadły zapewnia, że po zadanej ranie poznaje odrazu narodowość zbrodniarza. Inaczej bowiem uderza Maltańczyk, inaczej Grek, Korsykanin, Neapolitańczyk i Sycylijczyk. Jak w lechtunku na pałasze i szpady, tak w bójce na »majchry«, bywają

rozmaite szkoły pchnięcia i żgnięcia. Prócz przygodnych zabijaków trafiają się zresztą i zawodowi nożowcy, gotowi do wynajęcia swych usług, *rzetelnie* pracujący na akord, byleby ich sownie zapłacić i dokładnie t. zn. bezczelnie objaśnić o co chodzi, o kilka szturchańców, czy też o sprawienie upatrzonej ofiary... *fin al olio santo!!*

Port-Said nie ma stałego teatru nawet w zimie, lecz o każdej porze roku zatrzymują się tam, bodaj na kilka dni, aktorskie grona po drodze do stolicy i ze stolicy.

Olbrzymie afisze zapowiadają takie przypadkowe przedstawienie, a mianowicie: *Upiory* Ibsena.

Utwór północnego dramaturga w tłumaczeniu włoskiem, na scenie pod gołym niebem i przed publicznością zgoła niewykształconą, może być tylko parodią; nie mniej jednak Wiedeńczyk, mieszkający na Wschodzie od lat wielu, nagli, żeby nie pominąć przedstawienia, twierdząc, że uczęszczanie na takie widowiska jest dla Europejczyka konieczne dla jego higieny czy profilaktyki duchowej. Przejednemu wolno zapewne oglądać się tylko za ową nieokreśloną *couleur locale*, której są pełne opisy podróży, ale ten, kto na stałe lub na dłuższy czas przebywać musi pośród Lewantyńców, powinien zazdrośnie czuwać nad swoją odrębnością umysłową z obawy, żeby nie stopniała w obcym otoczeniu i nie zapominać o słowach poety:

Schön bist Du, doch gefährlich auch
Dem Schüler, wie dem Meister,
Entnerwend weht Dein Sommerhauch,
Du Capna der Geister.

Taka teoria przypomina wprawdzie studenckie czasy, za których pewien gołowas — dziś poważny ojciec rodziny — po mnogich libacyach używał Irydiona jako... alkoholometra, niby gorzelnego Tralesa, do mierzenia stopnia trzeźwości, jaki zachować zdołał; można jednak raz dla próby zażyć lekarstwa z norweskim znakiem ochronnym — przeciw rozluźniającym wpływom południowego klimatu.

Choroba jednak musiała już nami owładnąć niepostrzeżenie, albo może Ibsenowska mikstura jest już potrosze zwietrzała, bo i nas, Europejczyków z samego środka najobyczajniejszej części świata, ogarnia wobec najpatetyczniejszych scen, nie litość i trwoga, jak tego dla tragedyi domaga się Stagiryta, ale pusty śmiech, od którego zanosi się nasz gruby sąsiad w czerwonym fezie, śmiech gardlany nieustanny i bezmyślny.

Mimowolna *vis comica*, wywiązująca się z osnowy ponurego dramatu, nie może jednak zatrzymać widzów na miejscach, aż do ostatniego zapuszczenia kurtyny. Nieznośna woń garkuchni na świeżem powietrzu a przedewszystkiem zatęchłej oliwy, w której smażą się rybki i morskie mięczaki, przenika cienkie ściany teatru i do rejterady nakłania. Czyżby zrozumienie dusznych cierpień, lęków i przejść, które wstrząsają skandynawskimi bohaterami, nie sięgało po za granice krajów do których dowożą słynne dworskie masło kuchenne w puszkach?...

Przekop suezki mierzy 160 km. długości a 150 metrów szerokości, wygląda zaś wcale niepozornie. Nie estetyką, ale statystyką zaprzęta on myśl na swój widok. Gdyby wody mitycznego Paktolu płynęły jego korytem wybranem w piaskach, nie mogłyby dawać większych zysków tym, którzy mają prawo pobierać opłaty za przejazd towarów i ludzi. W sierpniowym tygodniu b. r. kiedy ruch żeglarski maleje, wynosiły dochody brutto 3 miliony fr. z górą.

To prawo nie zna wyjątków ani układów krakowskim targiem. Raz ponoś za wojny hiszpańsko-amerykańskiej próbował przedstawiciel arcykatolickiego królestwa nakłonić ks. Arenberga, prezesa kompanii Suezkiej, do ustępstw, lecz otrzymał odpowiedź, że słynne przedsiębiorstwo załatwia wszelkie tranzakcye tylko *a prix fixe*, a w dodatku radę, żeby nowoczesna Armada nie puszczała się w kosztowną a bezcelową drogę ku Oceanowi Indyjskiemu. Radę odrzucono dumnie, przejazd zapłacono; niebawem przyszło rady założyć a powrót kosztował powtórnie krocie.

Afrykańskim brzegiem biegnie, o kilka sążni od upłazu, błotnista struga słodkiej wody, szuwar tak gęsto nad jej brzegiem zarasta, że z toru kolejowego, który znowu o kilkanaście kroków dalej sunie równolegle, nie dojrzysz nieraz sztucznej morskiej cieśniny i oczy przecierasz, wierzyć im nie chcąc, kiedy patrzysz z jednej strony na ogromny okręt posuwający się wolno w pośród wydm pustynnych, z drugiej zaś strony oglądasz, obróciwszy głowę, znaczną przestrzeń ziemi przysypaną niby szronem, białawą solą, pozostałością po ustępującem jeziorze Meusaleh.

A jednak łącznik Czerwonego i Śródziemnego morza, choć nie piękny bez zarzutu, miewa swoje szczęśliwe chwile. Takimi są wczesne ranki złocące w promieniach wschodzącego słońca płowe faliste pagórki, lub oświetlenia wieczorne rozpościerające amarantowe błyski na wzgórzach Attaca i na skalistych szczytach Geneffa.

Statki zmuszone płynąć wolno, mijają dworce pobudowane co kilkanaście kilometrów, wśród starannie pielęgnowanych ogródków. Po lewym, azjatyckim brzegu nie rośnie nawet wrzos pustynny, na prawym krzewi się wiklina i trzcina, strzelają w górę pinie, palmy i cyprysy, czerpiąc korzeniami wilgoć z kanału słodkiej wody wspomnianego już powyżej. W pianistym szlaku wywołanym przez ruch okrętowy płyną najczęściej zwinne delfiny, co chwila dając krągłe susy ponad poziom morza.

Ismailia, w pół drogi między Suezem a Port-Saidem, kryje się w gąszczu ogrodów, których ciemna zieleń odbija od żółtych ławic i lazuruwej toni jeziora Timsak, czyli Krokodylowego, nad którym leży. W ziemi Faraonów, jeżeli jaki europejski wpływ przeważa dzisiaj, to bezwątpienia angielski.

Mała miejscina nad modrą jeziorą stanowi w tym względzie wyjątek. Dzięki przemożnemu wpływowi potężnej kompanii Suezkiej mającej tam swą główną kwaterę, pieniędzmi w obiegu są franki i napoleony, mową potoczną

francuzczyzna, zewnętrzny wygląd i moralna atmosfera za-
pożyczone są z nad Sekwany. Proste, szerokie, cieniste, bo
akacyami wysadzone drogi i ulice, małe dworki urzędników,
przewiewne gmachy towarzystwa, wielka ilość kwiatów, rabat
i klombów, miłutki kościółek Sióstr Miłosierdzia, wzorowy
szpital, szkółki, ochronki — wszystko to technie innem du-
chem, niż ten, do którego się w Egipcie przywyka. Czystość,
porządek, prostolinijność, ogólna zamożność, wesołe usposo-
bienie i uprzejma towarzyskość mieszkańców, świadczą na
korzyść Francyi i to nie Francyi dzisiejszej, podupadłej, zwy-
cięzonej, okaleczonej a toczonej niejedną ciężką chorobą, ale
Francyi cesarskiej, jaką znali i kochali nasi ojcowie, jaką
nasze pokolenie zna już tylko z tradycyi: *la Grande Nation*
ufnej w siebie i wiarę w siebie wzbudzającej, pohopnej do
zapału i poświęceń, lekkomyślnej, ale tak nadobnej i szla-
chetnej, że w polskim sercu, przepelnionem własnymi smut-
kami, znajdzie się zawsze miejsce dla najszczerzego współ-
czucia i tęsknego wspomnienia o jej wielkości i upadku.
Jakiś żołnierski animusz drga w afrykańskim powietrzu, niby
pobudka żuawów i spahisów; a kiedy z wieczora lekki wietrzyk
zadzwońi w miedziane druty telegraficzne, nadśłuchujesz, czy
nie nastroją się same nakształt harfy Eola, czy nie wygrają
z cicha: *Partant pour la Syrie*, a także kadryla z Pięknej
Heleny...

W tym odosobnionym zakątku nie ulotniła się jeszcze
pamięć i uwielbienie dla Lessepsa, którego sława jaśniejąca
takim światowym blaskiem za Cesarstwa, zaśniedziała za
trzeciej Rzeczypospolitej. Wspomnienia, anegdotki o tym,
którego nazywano powszechnie *le Grand Français*, żyją
jeszcze na ustach wszystkich, zwłaszcza starych urzędników
nastających do służby kompanii wówczas, kiedy roboty nie
były jeszcze ukończone. Dyplomata z zawodu, przedzierzgnął
się, jak wiadomo, po czterdziestym roku życia w przedsię-
biorcę i był duszą wszystkich prac; należał do tych
ludzi, którzy wykreślili z życiowego słownika wyraz: nie-

możliwość. Na słynnym siwku przebiegał on jak Farys pustynię, zachęcał i pokrzepiał wątpiących, energii swojej udzielał towarzyszom i mierzył »siły na zamiary«!

Nowoczesny Herkules dokonał dzieła znacznieszego, niż te, któremi popisał się w baśni syn Zeusa i Alkmeny, a przytem próbował ponoś, jak twierdzą złośliwe języki, dorównać greckiemu półbogu w owej trzynastej pracy, jednej z t. zw. parerga, o której milczą starannie mitologiczne podręczniki dla panienek i dorastającej młodzieży — pracy, która jednak znawców wprawiała w niedowierzający podziw — tak w starożytności jak i dzisiaj. Jakkolwiekbądź, nie tylko spiżowy posąg na grobli w Port-Saidzie, ale i niezwykła liczba żywych Beduinów, są jak zapewniają dawni znajomi, wiernem odbiciem rysów i postawy twórcy przekopu...

Najświetniejszym dniem w burzliwym jego życiu był bezwątpienia ów listopadowy poranek roku 1869, kiedy to trzydziestotysięczny tłum oczekiwał z zapartym tchem i bijącym sercem wjazdu monarszej drużyny otwierającej okrętom całego świata skróconą wodną drogę z morza Śródziemnego w Czerwone. Polak wychodźca, uczeń szkoły batiniolskiej, osiadły i zatrudniony w Ismailii od lat z górą czterdziestu — biała miejscina nad jeziorem Tomsah nie byłaby, czem jest, t. zn. zabytkiem z napoleońskich czasów bez polsko emigracyjnej przymieszki — wywołuje wspomnienia owej chwili dziejowej, której był świadkiem naocznym. Do ostatniej godziny panowała niepewność, żali statek wojenny, który ugrzązł był u wylotu kanału, nie zatamuje przejścia. Na rozkaz Ismaila wysadzono go wprawdzie w powietrze, ale nie zdołano usunąć na czas jego szczątków, które mogły stać się nieprzebytą zaporą. Lesseps w rozpaczę groził samobójstwem; bezpośrednio przed uroczystością zawisła czarna troska nad egipskim władcą i jego dworem: popis przed Europą mógł zamienić się w pośmiewisko. Strach okazał się próżnym; wszystko powiodło się znakomicie, uśmiech cesarzowej Eugonii odzwierciadlał się na twarzach

dostojnych gości, dworzan i aż na ciemnych obliczach be-
duińskich szczepów zgromadzonych zewsząd. Balom, ogniom
sztucznym, zabawom i widowiskom nie było końca, tygo-
dniami karmił i poił Khedyw rzeszę widzów.

Ów zaś czarowny uśmiech pięknej Hiszpanki na fran-
cuskim tronie był jakby ostatnim promieniem cesarskiego
słońca, słońca z pod Austerlitz, które w niespełna rok potem
zająć miało ponuro w krwawej kurzawie i dymu obłokach
na polach Sedanu.

Minęło lat trzydzieści i więcej, zanim wdowa po Napo-
leonie III wróciła staruszką — raz jeszcze obejrzeć wybrzeża,
kędy ongi płynęła tryumfalnie na czele koronowanych głów
ustępujących damie pierwszeństwa, gdzie hołdy słały jej się
pod stopy i brzmiały zewsząd na jej cześć okrzyki.

Maryusz na gruzach kartagińskich jest symbolicznym
obrazem, który Opatrzność odnawia najwidoczniej od wieków
do wieków, w zmienionej postaci, dla przestrogi i przekonania
każdego o znikomości rzeczy ludzkich.

PÓLWYSEP SINAI.

Od zatoki Sueskiej począwszy statki nie są już na za-
wołanie podróźnych, jak pociągi. Kto się wybiera do Chin,
Indyi, Australii czy Afryki Południowej, może liczyć na
przewóz w oznaczonym z góry dniu, ale komu droga na morze
Czerwone, ten nie powinien przebierać w okrętach, tylko
płynąć pierwszą okazją.

Taką okazją był dla nizej podpisanego parowiec wio-
zący do Mekki, a raczej do Świętej Ziemi Hodżosu, pielgrzy-
mów muzułmańskich.

Płyną wyznawcy Proroka z nad Nilu i z nad Bosforu,
z Sudanu i Samarkandy z Maroku i z Ispahanu, płyną Mu-
rzyni i Czerkiesi, Tatarzy i Bośniacy i z innego narodu wielu,

każdy w swoim stroju zachowuje, o ile możności, domowe obyczaje — nawet w drodze.

Obok turbanów, zawojów, szkarłatnych fezów, widzisz barankowe kołpaczki z nad morza Czarnego i białe obsłony powrózkami na skroniach przewiązane — z Algieru; obok safianowych sandałów, juchtowe buty z nad Wołgi i góralskie ciżmy z nad Narenty, obok beduińskich burnusów, barwnych żupanów, ciemnych chałatów — świty i krajki słowiańskiego kroju.

Wśród wełnistych czupryn, ciemnych ciał od oliwkowego odcienia do koloru mazi, pojawia się płowa główka



dziewczęcia, której kolebka mogłaby stać gdzieś na Mazurach, albo w północnych Niemczech.

W nakazaną podróż puszczają się ludzie wszystkich warstw i najrozmaitszych narodów: żebracy Derwisze i zamożni rolnicy, wieśniacy i panicze synowie bejów, uczeni w piśmie i gorliwe nieuki. Odbywa ją i gruby jegomość z Mezopotamii, pan olbrzymiej fortuny składającej się z kro-

ciowych wielbłądzich stad, z trzód bydła, kóz i owiec. Nie umie on czytać i pisać — od tego ma sekretarzy, których i tym razem zabrał ze sobą w drogę — ale pamięta ponoś po imieniu i nazwisku każdego pasterza w swojej służbie — a liczą się oni na tysiące — i poznałby nieledwie każdą jałówkę i każdego byka w swoich dobrach.

Towarzyszy mu w pobożnej wyprawie liczna, jak na bogacza przystało, służba i orszak, a także kilkunastoletni synek, który chowa się i ubiera w Anglii, a który jednak musi dopełnić wraz z ojcem religijnych przepisów i wróci do szkoły jako *Hadži*, ucałowawszy czarną Kaabę na grobie Mahometa.

Pokład zapchany tobołkami, workami, spiętrzonymi kuframi; na dywanach nieraz ładnych i cennych, rozesłanych

po podłodze buchają parą samowary, lub gotuje się w mosiężnych imbryczkach kawa nad miską z żarzącymi węglami. Rodziny zbijają się w ciasne kółka, próbują na lada żerdce rozwiesić kilimki a bodaj płaszcz tylko, żeby sobie urządzić namiot a w namiocie harem, czyli sypialnię dla niewiast, i ścielą sobie materace, poduszki oraz kobierce, podczas gdy inni wysypiają się jak mogą na pomoście, skuleni, zwinęci w kłębek, albo wsparłszy nogi i głowę na plecach pierwszych lepszych współpielgrzymów, śpiewają bez końca nosowym głosem wschodnie piosnki, dowcipkują, brzękają na drumlach; jeżeli są uczeni, rozczytują się w foliałach Koranu i jego komentarzy.

Ci ludzie skądkolwiek pochodzą, żyją a zwłaszcza wierzą, jak ich współwyznawcy za czasów pierwszych kalifów, posługują się jednak najnowszymi przyrządami i wynalazkami; tak n. p. wyciąga jaki taki z torby skórzanej, kupionej jak przeczytać łatwo w wiedeńskim sklepie: *zum Touristen*, doskonałe szkła polowe; inny puszcza dla rozrywki w ruch fonograf, który wśród jęku i stęku śpiewa ochryplym głosem marsz sułtański, potem kedywalny a dalej *Fischerin du kleine* i *La Cabane Bambon*; nawet singrowską maszynę do szycia wiezie ze sobą w słomianym koszyku jakaś jejmość, bo jak wspomniano i kobiet nie brak na okręcie.

A okręt ów, starszek czterdziestoletni, naładowany po komin, trzeszczy i służby odmawia, bo zardzewiała maszynerya nadaje się już raczej do dobrze zasłużonego spoczynku w składzie starego żelaziwa, niż do walki z bałwanami morskimi.

Szczęściem morze Czerwone jest na razie przyjacielskie i łaskawe a przytem tak cudnie niebieskie, że wspaniała gra barw ciśnie mimowoli pod pióro lichą i oklepaną grę słów.

Białe baranki puszą się na niebie do słońca; w oko wpada wytworny rysunek skalistego zrębu Arabii. Miejscami sypie się nieustannie z jego wietrzących krawędzi żółty

cienki piasek w morską głębię, niby w starożytnej klepsydrze, mierząc bieg czasu, znacząc godziny geologicznych dni, może dni stworzenia.

W El-Tor, gdzie lądujemy, jest pierwsza podobno kwarantanna na świecie. Szereg niskich domków za wysokiem ogrodzeniem, wyprana w karbolowej wodzie bielizna na sznurach i krzątający się na podwórzach lekarze w płóciennych kitlach i złotych okularach — oto nadobny widok uzmysławiający najlepiej za życia to, czem być musi czyściec po śmierci.

Lat temu pięćdziesiąt z górą, wówczas kiedy Słowacki zaczerpnął w El-Arish wątku do przedziwnego poematu boleści, kwarantannę odbywano w rozbitych na prędcie namiotach; dzisiaj murowane gmachy zastąpiły płótna przenośnych mieszkań, ale nie natchną one chyba nikogo do poetycznych opisów i uniesień; wdziękiem przypominają żywo urok składów i zabudowań kolejowych.

Podczas kiedy służba przytracza juki na grzbiecie wielbłądów wśród nieuniknionych wrzasków, swarów i złorzeczeń, niemiecki agent konsularny zaprasza gromadkę podróżnych na ostatni obiad po europejsku podany.

Bodajby się ograniczył do praśnych chlebów, daktyli i wody z cysterny!

Niestety, na ową ucztę złożyły się tłuszcze co najstarsze, mięsa żylaste i napitki, które sądząc po smaku muszą być chyba nalewką witryolu na kaktusy pustynne. Rozmowa dziwnie przypominała potrawy dowcip, chudy jej szkielet tonął w przyprawie grzeczności zjełczałej i nieświeżej jak łój barani, którego woń umilała pobyt w najokazalszym domu miasteczka. Wymiana myśli toczyła się po francusku jak po grudzie; żeby ją zrozumieć, trzeba było koniecznie znać niemieczynę oraz ów osobny lewantyński sposób posługiwania się językiem Woltera i Musseta, bo ani gospodarstwo ani goście nie władali biegle mową, w której sobie niestannie świadczyli.

Nie na tem kończyły się światowe obowiązki w El-Tor. Trzeba było jeszcze odwiedzić prawosławnego mnicha, należącego do zgromadzenia z klasztoru na górze Synai; czerniec ten pilnuje nad brzegiem morza zakonnego majątku: palmowego lasu czyniącego podobno rokrocznie niemniej niż kilka tysięcy funtów, czyli około dwukroć sto tysięcy franków.

Ten, na szczęście, umiał tylko po arabsku i grecku, więc obopólna uprzejmość ograniczała się tylko do ukłonów, uścisków dłoni i uśmiechów. Natomiast częstował wybornymi konfiturami i mocną, ale dobrą daktylówką. Racząc się tymi przysmakami, słuchało się niezrozumiałego rozhoworu; na widok zaś rostej barczystej postaci, gęstej ogromnie brody zarastającej po same błyszczące oczy i kruczej czupryny zwiniętej w warkocz z tyłu a spadającej na czoło i skronie z przodu, przychodził na myśl pierwszy wiersz zapamiętany w życiu:

- »Co za grzywa,
- »Strach porywa
- »A paznokcie itd.

Ponieważ wszystko, nawet targi i zatargi z Beduinami, kończyć się musi, więc wybiła i dla nas godzina wymarszu. Wielbłądy stają na nogi i zapuszczają się sznurem w wschodnim kierunku.

Póki nie straci się widoku na zatokę Suezką, póty krajobraz przedstawia się w czterech barwach jasno i wyraźnie odgraniczonych. Niebo błękitne, morze niebieskie, góry w zachodnim świetle różowe i żółte piaski odbijają, jedno od drugich, potęgują nawzajem świetne wrażenie, nie kłócą się jednak kolorystycznie, lecz owszem zgadzają w jaskrawej harmonii.

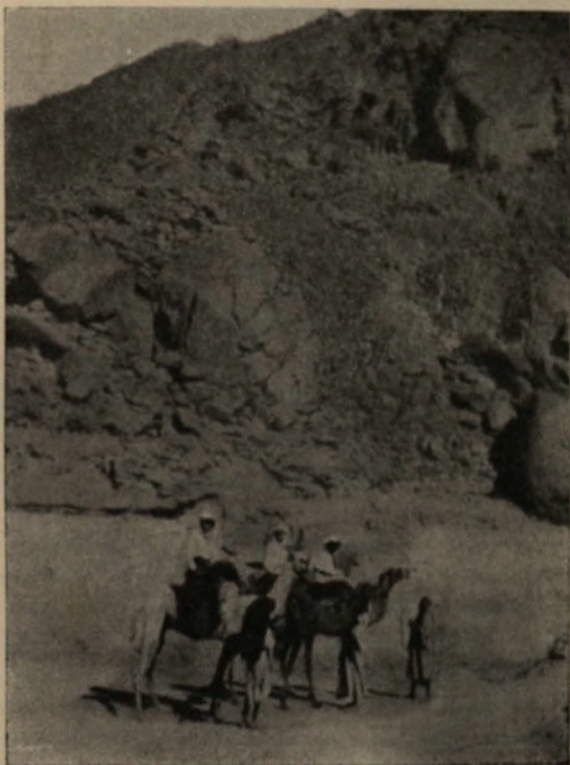
Ale po kilku godzinach trzeba się z morzem pożegnać i wkrótce zacieśnia się widnokrąg do rozmiarów doliny a dalej — strome go wąwozu.



Na dromedarze.

Łożyskiem wyschłego potoku, po piargach, zwałach, po drobnym żwirze i luźnych kamykach, wije się droga a raczej znaczy się zaledwie ścieżka, po której stąpają ostrożnie wielbłądy krokiem miarowym, niestrudzonym, zawsze równym. Na samym dole, gdzie sączy się strumyczek, albo gdzie woda zaskórna odwilża spragnione korzenie, wyrastają

i krzewią się, choć właściwie nie zielenieją, sitowia, palmy, mimozy o drobnym żółtym kwiecie, trawy i zioła aromatyczne. Służą one za paszę koziorożcom, których w tych stronach bywa ponoś jeszcze stadami, ale z których żaden na strzał ani nawet na oko się nie pokaże i patrzy chyba gdzieś z jakiego wirchu na wędrującą gromadkę. Skalne korytarze i schody prowadzące na dach półwyspu, na górę Mojżesza, mają ściany zdobne w naturalne mozaiki. Zbocza gór odarte z żyznego humusu, jak ze skóry, przedstawiają się



Z wycieczki na Synai.

niby naukowe preparaty; na nich studyować można anatomie ziemi: geologię. Rozróżnia się najdokładniej kamienne warstwy ciekawie ułożone, biegnące czasem w skos a czasem zawinięte pod górę jednym końcem, jak wiersze tureckich firmanów; czarne pręgi grafitu miejscami o szerokości kilku cali zaledwie, tkwią jak hebanowa listwa w pokładach czerwonego bazaltu.

Podróż męcząca i jednostajna nie jest jednak ani nudną ani uciążliwą. Koczowanie pod gołym niebem hartuje ciało na rozmaite drobne braki, których się w powszednim życiu nie doznaje; całodzienna jazda na wielbłądzie uniemożliwia prawie rozmowy, bo »okręty pustyni« żadną miarą nie chcą iść równolegle, ale tylko gęsiego — długie zaś milczenie i skupienie nastroja umysł poważnie; niewygody wreszcie, ograniczenie się w jedle, zmaganie się zwłaszcza z pragnieniem, nie dającym się zaspokoić każdego czasu, są doskonałym przygotowaniem do godnego odczucia podniosłych wrażeń u celu, do którego się zdąża. Wędrowka przemienia się prawie mimowolnie w pielgrzymkę.

W 48 godzin po wyruszeniu z El-Tor ukazują się mury klasztorne.

Nie wieńczą one górskich turni, ale przeciwnie ukrywają się w ciasnym parowie wśród dwóch spadzistych wierzchołków. Mieszkańcom tego zacisza mniej widocznie chodzi o rozległy widok z okien, niż o bezpieczną kryjówkę, a także i o cień tak pożądaną a tak rzadką w bezdrzewnej krainie. Wczesną jesienią pada on ze wschodu do jedynastej, zaś popołudniu już od drugiej służy przeciwległa góra za puklerz chroniący od pocisków słonecznych.

Klasztor założyła św. Katarzyna Aleksandryjska, jak niesie podanie, przed 1500 laty. Jest on niekształtnej budowy z surowych głazów; małe zakratowane okienka na wysokości drugiego i trzeciego piętra wyglądają na strzelnice. Przed potężną bramą zamykaną na ciężkie żelazne wrzeciadze jest murowana studnia, u której zatrzymać się musi



Pod murami klasztoru na Synaju.

każdy, kto do wnętrza dostać się pragnie, jakakolwiek byłaby jego godność. Ta brama niegościnna i nigdy na oścież nie otwarta jest już zabytkiem nowszych i względnie spokojnych czasów. Niegdyś, kiedy zakonnicy wystawieni byli na nieustanne napady beduińskich rabusiów, wejścia ani dostępu innego nie było, jak przez budkę bez dna, czy podłogi, a pod spiczastym daszkiem przylepioną do gładkiej ściany na kilka sążni od ziemi, niby gniazdo jaskółcze, pod którą wciągano po sznurach gości i pątników, oczywiście tylko w liczbie pojedynczej.

Dwóch ludzi u kołowrota ciągnęło przybysza jak się ciągnie wiadra z wodą u naszych wiejskich studni. Dziś jeszcze, chociaż klasztor przestał być fortecą, jest on jeszcze obronny w całym tego słowa znaczeniu i mieści dotąd zapewne zbrojownię, skąd guldynki powitałyby ogniem i ołowiem nieproszonych panów zagórskich.

Mnisi nie bali się i nie boją oblężenia, bo warowne mury mogą wytrzymać niejedno oblężenie a pięć źródeł wraz z nagromadzonymi zapasami żywności są rękojmią, że



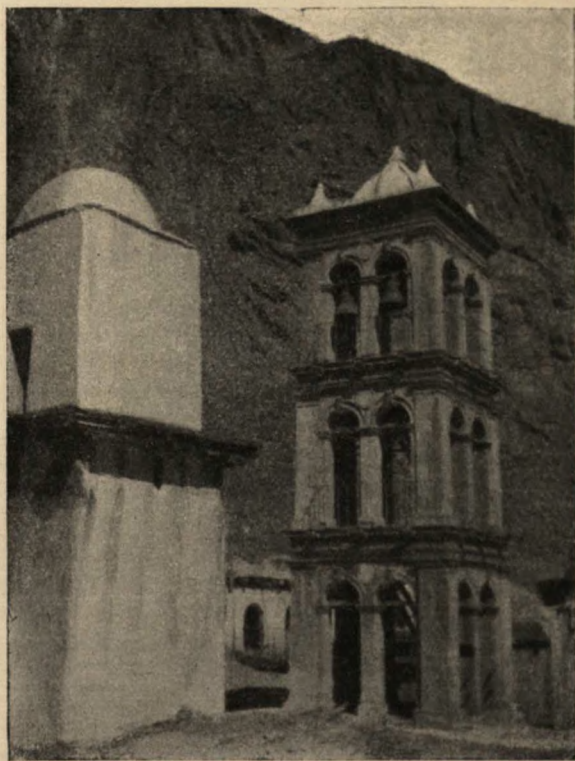
Przed bramą klasztoru na Synaju.



Klatka do wciągania przybyszów.

nie można głodem ni pragnieniem zmódc duchownej załogi. Wody jest taka obfitość, że starczy jej na podlewanie cyprysów cmentarnych oraz warzywnego ogrodu schodzącego po stopniach przestronnych tarasów aż do rzeczki a raczej do miejsca gdzieby płynąć mogła, gdyby nie było szkoda każdej zmarnowanej kropli na bezcelowe spłynięcie. Ogrodnicy w habitach popisują się z dumą grzędami kapusty i innych jarzyn objedzonych do szczytu przez szarańcze. Nie okazy flory zaciekawiają jednak przede wszystkim europejskich podróżnych.

Siwobrody i czeigodny opat-archimandryta przyjmuje nas w celi zdobnej w litografie przedstawiające carską parę, królewską rodzinę grecką a także szereg Aleksandryjskich patriarchów prawosławnych z krzyżem na piersiach i koł-



Cerkiew klasztorna na Synaju.

pakiem na głowie; zresztą cela urządzona jak wszystkie bawialnie na Wschodzie. Raczy nas konfiturami, papierosami, kawą i wódką i wreszcie pozwala na zwiedzenie osobliwości. Jeden z młodych czerńców podejmuje się przewodnictwa oraz udziela skąpych objaśnień łamaną włoszczyzną.

Pierwszy powierzchniowy pozór jest nieszczególny. Podwórza szczelnie zabudowane nie mają pretensyi do stylu ale też i stylu nie mają; nie odznacza się nim również cerkiew, przynajmniej na zewnątrz, natomiast wewnątrz słupy, na których wspiera się główna nawa, są najwidoczniej bardzo stare, o najrozmaitszych kapitelach w kształcie to zawoju, to znowu zwiniętego czy rozkwitłego lotosu. Do przyległej krypty wchodzi się, jak do meczetu, tylko zezuwszy obuwie. Pobożna tradycja twierdzi, że tu właśnie objawił się Mojżeszowi »Pan w płomieniu ognistym w pośrodku krza«.



Klasztor na Synaju.

Że »góra Boża Horeb« była w pobliżu góry Synai, że może nawet z nią się bezpośrednio łączyła, wynikać zdaje się z kilku ustępów księgi Exodus zwłaszcza w rozdziałach XVII i XXXIII w. 6. Mimo tego trudno pogodzić się z myślą, że krzak gorejący wyrósł nie na szczytach, a choćby na skłonie, lecz u podnóża skalistych wirchów.

Za carskimi wrotami przechowują się przy wielkim ołtarzu ręka i głowa św. Katarzyny w pozłocistych trumnach, a raczej szkatułkach opatrzonych szumnymi napisami. Fundowała je na cześć swojej patronki cesarzowa Katarzyna, tak dbała o zaznaczenie rosyjskiego świeżego wówczas wpływu i o rozpostarcie carskiej opieki nad wszystkim i wszystkim, którzy zaliczali się do prawosławia pod tureckim rządem. Owe relikwiarze ciężkiej roboty, lecz wielkiej wagi i ceny, noszą wszystkie cechy wyrobu na urząd.

Perłą mniszych zbiorów jest jednak biblioteka. Od Justyniana i Teodozjusza W. bizantyjscy cesarze, patriarchowie z Aleksandryi i Antyochii, wielkorządcy, książęta i dygnitarze zewsząd słali najcenniejsze foliały, bogato oprawne i kunsztownie kaligrafowane uczonym zakonnikom w podarku.

Dzisiejsi ich następcy nie zdają się dorównywać wiedzą dawno zmarłym poprzednikom; tem zazdrośniej czuwają natomiast nad bibliograficznymi skarbami, chociaż są one dla nich zakłete i własnem ich nieuctwem jak pieczęcią zawarte. Z dumą pokazują Ewangelię najstarszą, jak twierdzą, na świecie (a zbiory watykańskie?) zdobną w przedziwne wizerunki czterech świętych pisarzy, wykonane miniaturową robotą na złotem tle. Barwy, zwłaszcza niebieska, zachowały się zadziwiająco, jakby pędzelek, który je rozprowadził po pergaminie, jeszcze był nie osechł. Wizerunki te są najwidoczniej dobrej a bardzo dawnej szkoły, w niczem nie podobnej do greckich bohomasów średniowiecznych.

Uderza brak ikonów na ścianach; wiszą natomiast portrety rozmaitych wielkich ludzi między innymi Ludwika XIV — zaiste niezwykłą musiała być siła promieniowania wspania-

łego króla-słońca, jeżeli z Wersalu sięgała w owych czasach aż do zapadłego klasztoru w Arabistanie.

Bibliotekarz i dodani mu do pomocy bracia ni na chwilę nie spuszczają z oka przybysza. Niezliczone drzwi uchylają się niechętnie i natychmiast zatrząskują, odsuwają się i zasuwają rygle, zgrzytają w zamkach klucze a krzyżowy ogień spojrzeń upokarzająco pilnuje odwracania każdej kartki. Taka bacność nie jest zbytęzną.

Na półkach księżnicy gnieźdzą się same niemal białe kruki, a są one, jak wiadomo, ptactwem wędrownem. Nie tak dawno zerwały się z nich dwa i oparły się — jeden aż w Niemczech, drugi w Petersburgu.

Trzeba więc przeszkodzić odlotowi wszystkich innych.

Ostrożność rozciąga się zresztą nietylko do rękopisów i starych druków, ale i do kosztowności w drogich kruszczach i klejnotach, które nagromadziły się w ciągu wieków, lecz pochowane w kryjówkach nie widzą nigdy światła dziennego i podobno przepadają, niekiedy zupełnie, jeżeli skarbnik na łożu śmierci nie zdoła zlecić tajemniczego schowku swemu następcy.

Zgromadzenie liczy trzydziestu kilku członków. Rozmówić się z nimi niepodobna, ale gdyby nawet można przemówić do nich ich własnym językiem, nie wiele udałoby się od nich dowiedzieć: jak wszyscy na Wschodzie, i w większej jeszcze mierze, są oni skryci, podejrzliwi, mimo pozornej gadatliwości w sobie zamknięci. Czy istnieje w owym klasztorze klasztorne życie? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Kto zbada tajniki tych brodaczy w kołpakach i rewerendach? Duch zbiorowy musi w nich być niepośledni, bo nie ostaliby się bez niego na niebezpiecznym niegdyś a dzisiaj niełatwym jeszcze do obrony posterunku. Gdy ich zagadnąć o górę Atos, albo o prawosławną cerkiew w Egipcie, zastrzegają się z naciskiem, że z niemi nic wspólnego nie mają; utrzymują natomiast stosunki z Kijowem (zapewne z Ławrą peczerską)

i z Tyflisem, mają zaś ponoś w południowej Rosyi rozległe dobra. Z Beduinami są po staremu na stopie wojennej, chociaż tradycja krwawych zatargów zanikać poczyna. Przetrwali tyle, że jedynem ich zadaniem zdaje się być trwanie



Mury klasztorne na Synaju.

i wytrwanie w skostniałej wierze i nieodmiennym obyczaju.

Jedyną nowością od wieków to zapewne zamienienie całego jednego skrzydła w istny hotel; za skromne celki każą sobie płacić więcej, niż znana kompania wagonów sypialnych za wykwintne pokoje w hotelach od Ostendy po Konstantynopol.

Należy wstać i wyruszyć o świcie, żeby dotrzeć do ostatecznego celu wyprawy, na szczyt góry gdzie »Pan mówił do Mojżesza twarzą w twarz jako zwykły mówić człowiek do przyjaciela swego« (Exod. XXXIII w. 11). Wierchołek mierzy 2500 m. wysokości nad poziom morza. Ścieżka urywa się w pół drogi, więc ostatni kilometr trzeba się pięć po złomach krzemienia i okruchach porfiru. Ani żdźbła roślinności, ani mchu nawet, a tylko głazy tworzą coś nakształt schodów, po których musiał niegdyś wstępować przywódca Izraela.

Mija się kapliczkę poświęconą Aaronowi; dlaczego właśnie jemu — wyrozumieć trudno, bo jeżeli kto, to on nie był wzorem naśladowania godnym, właśnie u stóp góry Synaj. W rozpadlinie skalnej spostrzega się szczelinę, z której wylatują i do której wracają dwa ogromne orły zataczające szerokie kręgi na tle niezachmurzonego błękitu.

»Wyście sami widzieli, com uczynił Egipcyanom i jakom was nosił na skrzydłach orłowych« (Exod. XIX w. 4).

Każdy krok pod górę zda się zarazem krokiem w przeszłość a roztaczające się w okół nas widoki — nedorównanym komentarzem do słów Pisma św. Aż wreszcie po kilkugodzinnym marszu dochodzi się do wierchołka. Wzrok ogarnia krajobraz, stacza się w doliny, przebiega pasma wzgórz, sięga aż po morskie wybrzeża i gdziekolwiek się zwróci natrafia tylko skały, zwały, urwiska, aż znużony wraca do stóp góry tam, gdzie obozować musiał lud wybrany, gdzie uczcił bałwochwalczym pokłonem złotego cielca, gdzie ciężko pokutował za ów grzech krwią kilkudziesięciu tysięcy swoich synów.

Obrazy biblijne w całej swej grozie, powadze i prostocie, stają się nagle widzialne dla oczu duszy. Nic zapewne w sceneryi nie zmieniło się od czasu, kiedy krętymi wąwozami od morza Czerwonego ciągnęła rzesza izraelska: mężczyźni o semickich ostrych profilach, w jaskrawych zawojach i powłóczystych płaszczach otulających od zimna piersi i szyję a w upał rozpuszczonych poniżej kolan; kobiety o płomien-

nych spojrzeń i złotych licach kwefem przysłoniętych, zdobne w naszyjniki, naramienniki oraz srebrne obrączki u nóg; płaczące niemowlęta siedzące ojcom i matkom na ramieniu okrakiem; niesforne stada bydła poganiane przez pasterzy z długimi kosturami w ręku; powolne wielbłądy niosące cały dobytek rodzin i narodu przytroczony u grzbietu. Nie trudno sobie uprzytomnić swary i rozterki, zapawy i zniechęcenia, żywą gestykulację, to znowu posagową postawę tych dzieci południa, ryk trzody rogatej i beczenie owiec u źródeł wytrysłych z kamienia na skinienie przywódcy, natchnionego jękały, cudotwórcy i prawodawcy.

Nawet odtworzenie sobie najważniejszej chwili w 40 letniej wędrówce po półwyspie, kiedy nagle wśród stałej, niezmiennej, wiecznej pogody, owo zaranie zaświtało: »alić oto zaczęły być słyszane gromy y łąskać się błyskawice a obłok bardzo gęsty okrywać górę, a brzmienie trąby im dalej tym więcej się rozlegało: y zląkł się lud, który był w obozie« (Exod. XIX w. 16). »A wszystka góra Synai kurzyła się: przeto iż był Pan zstąpił na nią w ogniu i występował z niej dym jako z pieca, a wszystka góra była straszliwa« (Exod. XIX w. 18). Wszystko to wprawia tego, komu dane było po owej górze straszliwej stąpać i wodzić oczyma — w podziw i osłupienie, lecz nie przekracza jeszcze granic ludzkiego pojmowania.

Lecz kiedy wyobraźnia próbuje wzbic się na wyżyny, gdzie stanęło Przymierze między Panem Bogiem a ludem wybranym, wówczas brak jej tchu, brak polotu, zwija skrzydła i przenosi się do Sykstyńskiej kaplicy oraz do kościoła św. Piotra w Okowach. Tam zapożycza się u plastycznego geniusza Michała Anioła: Jehowę widzi takim, jakim Go namalował w wirze przedświatowości Buonarotti na Watykańskim sklepieniu, Mojżesza zaś takim, jakim wykuł go z marmuru.

A dopieroż te rozmowy między Stworzycielem a stworzeniem, wstawiennictwo Mojżesza u Pana za tym ludem

twardego karku, powierzonym jego pieczy, orędownictwo nieustanne i wreszcie żarliwe błaganie o ujrzenie chwały Najwyższego!

Beduiński przewodnik pokazuje kryjówkę, gdzie Mojżesz kajał się w prochu zanim oglądał Boży Majestat przechodzący mimo niego.

I jak areydzioło dłóta Michała Anioła tak i jego pierwówzór wydaje się istotą nadludzkich rozmiarów tam zwłaszcza, gdzie cała góra służy mu za piedestał. Jak potężnym być musiał ten gwałtowny, zapalczywy miłośnik Bożej sprawy, a zarazem rzecznik swojego plemienia, jak przedsiębiorczym i czyn nad marne słowa przekładającym, jak całą siłą ognistej swej duszy ukochał swoich rodaków, o tem świadczy cały jego żywot od pierwszego zarania młodości, kiedy zabił »Egipczyka« ujmując się za uciemionym Izraelitą, aż do modlitwy tak gorącej, że usmierzyła gniew Pański i wstrzymała prawicę Jego niosącą zagładę Żydom. »Niech nie mówią proszę Egypcianie: Chytrze je wywiódł, aby je pobił na górach i wygładził z ziemi (Exod. XXXII w. 12). Roztrzaskał ci on wprawdzie tablice Przykazań w świętym gniewie, ale poważyl się zwracać do Jehowy w słowach tak śmiałych ze nieledwie zuchwałych, gdyby nie ze zbolałego serca płynących: »albo im odpuść tę winę, albo jeśli nie uczynisz, wymaż mnie z ksiąg Twoich, któreś napisał« (Exod. XXXIII w. 32)...

Jak od rozczytywania się w Pentateuchu, tak od zadumy nad wszystkim, co wydarzyło się na górze niegdyś straszliwej a dziś jeszcze wspaniałej i ponurej — oderwać się trudno. Rozpierzchłe wrażenia zlewają się i łączą w potężny nastrój, jak rozmaite tony w jednolity akord i brzmia i grzmia na napiętych strunach duszy, niby pieśń uroczysta, słowa Dekalogu:

»Jam jest Pan Bóg Twój, którym Cię wywiódł z ziemi egipskiej z domu niewoli«....

Jeszcze jeden rzut oka na krajobraz skąpany w promieniach słonecznych i czas zabierać się w powrotną drogę.

Na kilkadziesiąt kroków od wierchołka zatrzymuje się każdy chętnie u studzienki, gdzie z zardzewiałej blaszanki na sznurku pije wodę kryniczną jak łąza i rozkosznie zimną. Wśród rozłamów na kamienisku rośnie i pachnie żółta dziewanna. Złotawy kwiat taki podobny do tych, które rozwijają się na naszych zielonych rozłogach, zda się w swem osamotnieniu żywą kadzielnicą »na wonność najwdzięczniejszą Panu« (Levit. II w. 2).

W nocy po księżycu, podczas kiedy Arabi zwijają namioty, ładują naczynia i sprzęty podróżne i na węglach gotują kawę, zaczyna się pacierz od Dziesięciorga Przykazań, które — jeżeli się tak wyrazić wolno — są u stóp Mojżeszowego wirchu przesiąknięte niewysłowioną barwą miejscową, przenikającą sumienie i wypełniającą myśli siedlisko. Już na wielbłądzie odwraca się głowę na zębata turnię oświeconą krwawym sierpem miesiąca w ostatniej kwadrze i stara się w pamięci wyryć na zawsze ostry zarys góry najważniejszej dla chrześcijan ze wszystkich innych po górze Kalwaryi. Ale karkołomna droga po źlebach i ruchomych upłazach zmusza wreszcie do patrzenia przed siebie, chociaż dromedara kierować nie można, ani nie potrzeba. Aż kiedy księżyc poblednie, gwiazdy przymrużą migotliwe źrenice a skory świt zabieleje, zapłonie i rozżłoci połać nieboskłonu od wschodniej strony — gubi się i niknie z widowni wyniosła skalna iglica, cel naszej wyprawy.

Sześć dni potrwa jazda do Suezu po przez okolice jałowe i obumarłe, bo tylko dwa razy uda się rozłożyć obóz w pobliżu słodkiej wody; o południowych godzinach nie zawsze napotka się bodaj skrawek dostatecznie ocieniony wystającym cyplem kamiennym lub rozłożystym drzewem, by się schronić przed najdokuczliwszym żarem słonecznym.

Jedynem kwieciem wyrastającym na szczerych piaskach pustyni są kwiaty owe mistyczne, co mały żywoty świętych

pustelników; wspomnienia jaskrawe bohaterskich czynów i wonnych cnót, zachowane jak rośliny w zielniku, na pergaminowych kartkach starych kronik kościelnych.

Nie tam od rozmyślań nie odrywa, nie od uduchowienia nie odwodzi, a nawet umartwienie jest wskazane i ułatwione brakiem zwykłych ponęt i zachceń. Szatan, kiedy chce kusić duszę, która aż tam przed nim zbiegła, musi pofatygować się sam w własnej dyabelskiej osobie; ojciec kłamstwa musi wysilać swój dowcip na uroczę mamidła, jego wierni sojusznicy, pożądliwości ciała i oczu, omijają nieurodzajne pagórki i równiny, gdzie nie masz dla nich żniwa.

Jamy czy doły w glinianych wzgórzach, gdzie mieszkali podobno święci eremici były zapewne widownią niejednej walki duchowej. Ustronie owo jakkolwiek nie pozbawione wszelkiej malowniczości nie było jednak krajobrazem romantycznym takim, w jakim obierali stałą siedzibę pustelnicy europejskiego średniowiecza w cieniu dębów, czeremchy i kaliny, nad brzegiem ruczajów, w sąsiedztwie trwożnych i drapieżnych rysiów. Chatki ich budowane z coraz to większem uwzględnieniem wygódek i bodaj że komfortu przemieniały się nieznacznie w sielankowe świetlice zakochanych, aż wreszcie zeszyły na schroniska tatrzańskich i alpejskich towarzystw. Ich zaś pobożni mieszkańcy zamiast obojętnieć na świat i jego sprawy zajmowali się coraz żywiej, jeśli nie ludzkością, to fauną i florą, przemieniali się zwolna w aptekarzy, znachorów, czarowników, czasem gorzelników pędzących benedyktyнки czy inne klasztorne likiery, z ascetów stawali się *chercheurs de petite bête*, umieli obłaskawiać zwierzęta leśne, ale sami dziczeli duchowo, orali sochą wykarczowane knieje, lecz dawali bujnemu zielsku zarastać pole duszy dopiero wyplenionej z chwastów i uprawnej pod zasiew boży.

Nie tak pojmowali żywot pokutniczy św. Hieronim, św. Paweł, św. Antoni i tysiące innych mniej znanych, którzy brali rozbrat z wielkomiejskimi uciechami Ale-

ksandryi, z przepychem Antyochii, z rzymską rozpustą i grecką sofistyką.

Ograniczywszy potrzeby cielesne do garści ryżu i trocha wody, do starej włósiennicy i kryjówki w wydrążonej skale, zwracali wyłącznie skupioną uwagę na rzeczy nadprzyrodzone; lecz i tam nawet, na owych wyżynach duchowego postępu, zastawiał książe ciemności sidła na wybrane dusze: głaskał ich miłość własną i łechtał ich pychę, nasyłał zwidzenia łądżąc do widzeń podobne i próbował wprowadzać w zachwyt nie z nieba pochodzący. Tak przynajmniej twierdzą współcześni uczniowie Ojców pustyni w tak ujmująco naiwnych opisach owej epoki i obyczajów. — Uwierzyć temu nie trudno. — Rozgrzane powietrze drga i faluje nieustannie na niebieskawych krańcach dalekiego widnokregu. Fata morgana nie liczy się tam do zjawisk niezwykłych, a czemże jest zachwyt, jeśli nie chwilowem spotęgowaniem władz duchowych, otwarciem oczu na zaświat zwyczajnie zasłonięty przed ludzkim wzrokiem?

W doskonałej, zupełnej, niczem nieprzerwanej ciszy tak bardzo kojącej, nie zamąconej muzyką *pianissimo* brzęczących muszek, muzyką tak subtelną, że świergot naszych ptaszków dźwięczałby w porównaniu z nią jak zardzewiała katarynka, cwałuje rytmicznie myśl na skrzydlatym rumaku wyobraźni jak koń Farysa.

Pędź latawce białonogi!
Skały z drogi! sępy z drogi!

Nieodzownym warunkiem takiej ciszy nie strasznej, bo nie nocnej, ale słonecznej, skwarnej, lubej — jest samotność. Towarzysze podróży zostali gdzieś w tyle, znikli za jakąś wydumą. — Trzeba samemu dotrzeć do oazy Firanu. Droga w pobliżu osad ludzkich jest już udeptana więc wątpliwości nie masz... i dalej naprzód.

Jest cały szereg przedsięwzięć od zamachu stanu, przez porwanie narzeczonej, aż do *Prima Aprilis*, w których powodzenie rozstrzyga o wartości zamiaru i wykonawcy. Be-

duini o parę staj od wioski przypatrują się z widocznym, acz dyskretnym zaciekawieniem samotnemu jegomościowi maszerującemu z laską w rękę i lunetą na plecach wśród co-



Oaza Wadi Firan.

raz to gęstszych drzewnych kęp i zarośli. Ani tętent kłusującego wielbłąda, ani natarczywe namowy przewodnika, który popędził szukać powierzzonego sobie pana, nie odwodzą od powziętego postanowienia, żeby wyprzedzić żółwio posuwa-

jącą się gromadkę u mety dziennej etapy. Ale otóż i oaza, gdzie nocleg wypada.

Im droga, po której się dąży do celu, jest uciążliwsza, tem ten cel wydaje się bardziej upragniony a zatem miły, nadobny i największego wysiłku godny. Stąd oazy od Sahary do Mezopotamii były zawsze dla koczujących plemion Arabskich wymarzonem schronieniem; więc w kwiecistej ich mowie i górnolotnych pieśniach stroiły się przez wieki w coraz krańsze przymiotniki i bardziej przesadne przenośnie, aż wreszcie przyszły do europejskich języków w takiej aureoli, że wydają się one tym, którzy nigdy na południe daleko się nie zapuszczali, rajem niedostępnym ale istotnym. Nie tak przedstawia się Wadi Firan. Nie jest to raj, ale tylko raj, jaki widuje się po naszych dworach, nie ogród rozkoszy, ale duży sad palmowy, a właściwie arabska wioska brudna, nędzna, okolona skalistemi wzgórzami. Opłotki, kozy, ogródki, płachty na których suszą się daktyle, niby śliwki węgierskie, rozczochrane dzieciaki żebrzące o grosz jałmużny, kobiety na przyzbach domów, a raczej szałasów, dziewczęta u studni, chude psy szczekające za przechodniem, składają się na całość bynajmniej nam nie obcą. Dalibóg gdyby nie zielonowłose palmy wyrastające na piaszczystym gruncie i gdyby nie brak naszych poczciwych wieprzków, miałyby się wrażenie, że nie pierwszy raz w życiu taki obraz nasuwa się nam przed oczy.

Po napojeniu wielbłądów i wieczerzy układa się każdy do snu wczesnym wieczorem, ale niebawem budzi mnie niezwykły śpiew i klaskanie w ręce — to kilku młodych pastuchów zerwało się do tańca! Dziwne to płasy. Na polanie z wesołego grona gwarzącego, spierającego się i żartującego w gwiazdzistą noc, a oświetlonego jedynie iskierkami zapalonych papierosów, wstaje czterech chłopców. Ku nim wysuwa się z zarośli tajemnicza postać w czarnym burnusie, z rozkrzyżowanych ramion spływają fałdy i zwisają obszerne rękawy, dając im pozór złowrogiego ptaka nocnego, zrywa-

jącego się do lotu, a bardziej jeszcze olbrzymiego nietoperza. Opuszcza on ręce a temsamem zwiija skrzydła i w podrygach zbliża do reszty taneczników, w obu dłoniach trzyma



Popas na półwyspie Synai.

szablę ostrzem do towarzyszy zwróconą. Ci zaś trzymają się za ręce, biją w takt pokłony, kłaniają się w pas za każdym krokiem naprzód, następują, to znowu cofają się, aż czarne i zbrojne widmo zniknie znowu w krzakach, by po chwili znowu z nich się wychylić. Czemże jest ta niezwykła próbka

choreografii pustynnej? Jestli to zabytek z czasów, kiedy jak pisze Heine:

Ja der Tanz in alten Zeiten
War ein frommer Akt des Glaubens

.
Tanzen war ein Gottesdienst,
War ein Beten mit den Beinen

Czy też raczej jest to taniec śmierci, *une danse macabre*, obraz, który po wsze czasy nawiedzał strwożoną ludzkość, który musi być na dnie ludzkiej duszy, odnajduje się bowiem w pieśniach i legendach ludowych wszystkich krajów, a który pod mistrzowskim pędzlem Holbeina urósł w arcydzieło?

Jakkolwiek tłumaczyć można niezwykle widowisko, wywołuje ono wrażenie grozy i osobliwego a niesamowitego uroku. Nocna pora, słabe oświetlenie, przygłuszona melodia, jednostajna a jednak nie nudna, dzikie a zgrabne postacie, wdzięk ich ruchów i postaw, składają się na nastrój, którego żaden balet wywołać nie zdoła.

Stęsknienie za pocztą i choroba jednego z towarzyszy podróży każe przyspieszać o ile możliwości wolny bieg podróży. Popas wypada raz u mnicha greckiego żyjącego w pustkowiu, które w ogród warzywny zamienił i pytającego o wojnę rosyjsko-japońską, o szczegóły dobywania i obrony Port-Artura — inny zaś w ostatniej ludzkiej osadzie przed Suezem. Do jednej z chat z wielką natarczywością zapraszają Beduini siedzący na progu. Taka gościnność tłumaczy się tem, że w sieni leży na dywaniku suchotnik chwytający z trudem powietrze resztkami płuc. — Niepodobna wytłumaczyć zafrasowanemu gospodarzowi, że żaden z nas lekarzem nie jest i że polowa nasza, apteczka nie zawiera skutecznych leków na straszną chorobę.

Czy lepiej dać umierającemu już jakąkolwiek miksturę, która pod wpływem autosugestyi będzie wydawała mu się zbawieniem... na 24 godzin, czy też wyjaśnić mu, że istotna

ulga nie jest w naszej mocy? Szczypta chininy w opłatku zaszkodzić nie może, zwłaszcza, że i gorączka go trawi: kiedy dosiędzie się znowu wielbłądów zostaje w pamięci błagalny wzrok ślicznych, przestraszonych i wycieńczonych zwiększonych oczu, tak żądnych życia a tak blizkich śmierci. Nawet tam, gdzie ludzi już prawie nie ma, nie ujęć nikomu rozdzierającego widoku ludzkiego cierpienia, nędzy i boleści.

Następny nocleg wypada zdala od wody, prócz tej, którą w blaszankach niesie jedno ze zwierząt jucznych. Nazajutrz nad wieczorem rozwiera się płowy łańcuch pagórków i śliczne morze takie modre, tak rozłożone w promieniach zachodzącego słońca, tak figlarnie rozkołysane rozwesela zmęczone oczy. Rozkoszna kąpiel odświeża ciało i rozchmurza usposobienie, chłodny powiew zapowiada miły spoczynek, szmer fal przemawia do ucha jak kochany głos niewieści a gra barw na niebie i kędzierzawej morskiej roztoczy, wyglądzonej na chwilę w zwierciadło, stapia wszystkie uczucia w radosnem i rzewnem zadziwieniu.

Słupy i druty telegraficzne, malejące w dalekiej perspektywie, wskazują kierunek drogi, na której nie przytrafia się już nic godnego uwagi, aż znany kształt góry Attaki nad Suezem zwiastuje koniec podróży. Ale minie jeszcze 48 godzin zanim u podnóża Oślego Grzbietu zabieleją domki i parowce na kotwicy.

Ostatni raz rozkładamy się obozem na wzgórzu, o które biją morskie bałwany. Arabi warzą kózkę ofiarowaną im w podarunku, a kupioną za bezcen u pastuchów pędzących chudą swą trzodę od kępki do kępki. W chwili kiedy gasną ogniska, przelatują z wielkim szumem skrzydeł, tuż niemal nad naszymi głowami, orły czy sępy, unoszące się w dzień na niedościgłych wyżynach a przywabione smaczną wonią świeżego mięsa, albo ciekawością czy to żywi ludzie, czy też trupy leżą nieruchomo na piasku.

O północy budzi stary Szeik podróżnych i służbę, zapala kaganki, każe gotować się do wymarszu i rusza pierw-

szy, puszczając kłęby dymu z nieodstępnego cybucha i prowadząc za uzdę młodą klaczkę wielbłądzia, na której jechał od El-Tor.

Słaba smuga świetlna z najzwyczajszej latarki i wyskrzone gwiazdy wystarczają mu do orientacyi, tak jak gdyby bity gościniec rowami okopany rozwijał się pod kopytami wielbłądów. Za nim postępuje jego syn lekkim wykwinnym krokiem, którego pozazdrościć mogłaby księżniczka na dworskich posadzkach do menuetu wkładana.

Tak wyglądać musiał młodociany Jakób uciekający przed gniewem brata swego Ezawa do wuja Labana. Sny w których Pan Bóg objawiał mu Swoją wolę musiał mieć na podobnych posłaniach jakich nam dostarczyła pustynia, gdzie istotnie ledwie się oczy zmróży roją się obrazy w nienapotykaną gdzieindziej wyrazistości i mocy.

Lecz niechaj szatan powątpiewania ani chochlik porównań nie ważą się wertować, ni na swoją modłę objaśniać historii świętej, tak, jak ją zapisała macierzyńska ręka na najpierwszych dziewiczych stronkach naszego myślenia. Niech kartki wrażeń doznanych na półwyspie Synai będą nam jedynie księgą powtórzonego Prawa zawartego w Dziesięciorgu Przykazań, a nauczonego niegdyś na kolanach rodzicielskich!

I.

CIEMNOŚCI EGIPSKIE.

Niech będą ciemności na ziemi egipskiej
tak gęste, żeby się ich mógł dotknąć.

Exodus, Cap. X, w. 21.

Cały świat uczony oczekiwał gorączkowo i w niezwykłym napięciu słonecznego zaćmienia w d. 30 sierpnia 1905 r. Posępny cień, którym księżyc odgrodzi ziemię na chwil kilka od promiennych strzał złotem ziejącego i złoto siejącego Feba, dostrzedz będzie można naprzód w Labradorze; przepasze on następnie ciemną wstęgą zielony Atlantyk, przewinie się przez hiszpańskie wzgórza, doliny, osady i wybrzeża, zaznaczy żałobną pręgą na modrych wodach Śródziemnego morza i na kwiecistych Balearskich wyspach, pograży w mroku białe mury Tunisu i kartagińskie rozwaliska — aż wreszcie przekroczywszy Egipt, zniknie czarnym szlakiem w płowych piaskach Arabskiej pustyni, czy też raczej nad skalistą krawędzią urwiska, otaczającego ze wszech niemal stron morze Czerwone

Tak opiewa wynik mozolnych dociekań astronomicznych, powtarzany oddawna przez wielolistną prasę wszechświatową, istną bibułą centyfolię. Assuan na granicy górnego Egiptu i Sudanu nadaje się w sam raz do badań wyjątkowego zja-

wiska. Tam też pospieszyli już od tygodni liczni uczeni, uzbrojeni w teleskopy, fotograficzne i miernicze przyrządy.

Jechać, czy nie jechać? oto dręczące pytanie, nawiedzające wahadłowym ruchem tego, kto przebywa pod tę porę nad Eleuzyńskim pomorzem.

»Nie jedź... zostań... nie jedź«, zda się szeptać przezrocza roztocz morska, taka pieściwa, zalotna, a tak zdradna, taka na pozór cicha, po brzegi pełna, a poza brzeg wylana, i prosi i woła i dąsa się i zaklina, pianą muska, wiaterkim głaszcze, czasem fałą rzuci — jak spojzeniem, a czasem głębią westchnie, jak krągłą piersią.

»Zostań, nie odbiegaj mnie... ja cię nie puszczę. Wszak niema tygodnia, jak powierzyłeś się mnie na maleńkiej łodzi w burzliwą noc na tem samem miejscu, a ja poniosłam cię lekko, jak matka niesie niemowlę, zaśpiewałam ci szumnie przejmującą pieśń skłóconych odmętów, jakiej nie usłyszą podróżni, którzy pragnęliby nią się upajać z wyżyny dużych, kilkopiętrowych parowców, i wróciłam cię napowrót gładko i bez okupu starej matce ziemi w Port-Saidzie«.

»Pojutrze nastaw tylko zwinięte żagle biało-skrzydłej twojej pławaczki, a ja cię powiodę do zwycięstwa, bo wszakże wiesz, że ksiązę Aziz-Hassan przeznacza owego dnia srebrny puhar temu, kto pierwszy z Aleksandryi dopłyne do Abukir i znowu tu zawinąwszy pierwszy stanie u mety. Czyżby cię nie nęciły cześć i dank zwycięzcy? Nie próbuj opierać się mnie, mój miły!«

Proste lenistwo — plugawy płaz — w zмовie z nadobną słonowodną rusałką szemrze, że pierwsza katarakta od ujścia Nilu o 1000 z górą kilometrów odległa, że cała doba jazdy koleją żelazną, czyli anabasis, o 30 godzin drogi przedstawiających katabasis w pyłe, skwarze, zmęczeniu i znudzeniu nie opłaca najpiękniejszego choćby widoka, trwającego niespełna 3 minuty. Lecz ostatecznie próżnemi okazały się owe namowy i świeckie pokusy — przemogła ciekawość i ochota doznawania nowych wrażeń, tem może

silniejsza, im więcej wspomnień, obrazów i krajobrazów zapisało się na kartach pamięci po kilku latach koczowniczego życia.

Zanim przyjdzie na dobre otrząsnąć proch z nóg, które obiegły niejedną już kawał ziemi w trzech częściach świata, nie należy poniechać sposobności, by rozszerzać swój widnokrąg nawet wówczas, gdy go zaciemnia słońca zaćmienie.

* * *

Z Aleksandryi do Kairu spotyka się tych tylko, którym ani w głowie troszczyć się o ruchy ciał niebieskich. Jedyne ruchy godne ich uwagi, to ruch handlowy, a zaćmienie dla nich, to nagła niżka cen na amerykańskiej giełdzie bawełnianej, i to wtedy tylko, jeżeli grali i liczyli na zwyżkę. Lecz już od stolicy astronomia jest głównym przedmiotem rozmów w pełnych wagonach.

Ponieważ zazwyczaj nie wchodzi ona w zakres codziennych zajęć, ni zastanowień, więc też mało kto mówi o niej do rzeczy. Wszyscy sięgają do najprzystępniejszych podręczników, do rozprawki znanego Flammariona w paryskim tygodniku *Illustration*, do miesięczników i dzienników, by zacerpnąć choćby kropelkę wiadomości na jednorazowy użytek. Czytanie przerywają pytania i uwagi, świadczące o tem, że niepodobna mimochodem dobrać klucza do wiedzy równie obszernej, jak gwiazdziste przestworza, które są jej dziedziną. Ktoś wyrywa się z wyrazem żalu, że pogodnej nocy nie rozświeca księżyc w pełni, lecz wobec ogólnego śmiechu równych sobie zresztą nieuków milknie i radby schować się bodaj w owe konopie, z których tak niewczesnie wychynał się podobno przysłowiowy, ale bliżej nie znany Filip.

Wśród poważnych łysin, pochylonych nad talerzami w restauracyjnym wagonie, widać także płowe czupryny i rumiane oblicza o krótko przystrzyżonych wąsikach mło-

dych angielskich oficerków, którzy wyprosili sobie kilkudniowy urlop dla przypatrzenia się rzadkiej grze »w chowanego« słońca za miesiąc. Niemcy natrząsają się z angielskiego dyletantyzmu w rzeczach wojskowych i chętnie twierdzą, że podporucznik w czerwonym mundurze mniej umie, niż prosty pruski kapral. Być to może; czyżby jednak naprawdę mieli odczuwać do książki i nauki taki nieprzewyjęziony wstręt młodzi ludzie, gotowi poświęcić pięć dni wolnego czasu i odpowiednią ilość funtów dla naukowej wycieczki? Czy tylko na karb nudy trzeba zapisać takie rozporządzenia swoim wywczasem? Ilu wreszcie podporuczników w Austrii, a nawet w Niemczech użyłoby w taki sposób wakacji?

Kobiet niema ani na obejrzenie. Jedzie wprawdzie jakaś postać w niewieścim ubraniu, lecz tylko krótko obcięte włosy, wymykające się z pod zielonego welonu, owiniętego na kapeluszu, odróżniają ją od owych średniowiecznych jejmości o kołtunowatych grzywach, które musiały wprawdzie trzymać się o ile możności również daleko od ognia, jak od wody, lecz za to podróżowały ponoś taniej, prędszej, chłodniej i wygodniej, niż w pociągach państwowych kolei... bo na łopacie.

Mija noc, i oto już świta złotawy blask nadchodzącego dnia, zмага się z fioletowym błękitnym i wreszcie z modrym zmrokiem i w okamgnieniu już razi słońce promieniami, ostrymi jak zadzierzyste grot.

Delta nilowa zielenieje o tej porze roku na całej przestrzeni trójkąta, którego podstawę tworzy morskie wybrzeże od Aleksandrii po Port Said, a którego wierzchołkiem jest Kair, gęsto sadzony krzewem puszystej bawełny. Natomiast górny Egipt przedstawia się podówczas poprostu rozpaczliwie. Żniwa dawno skończone, pola ugorują i na ogromnych przestrzeniach nie dojrzysz ani kłosa pszenicznego, ani źdźbła trawki, ni kukurydzy, ni tak do niej podobnej trzciny cukrowej, ale tylko rozmokłą ziemię orną, niezliczone kałuże, jak okiem sięgnąć i dalej lotne piaski pustynne. Oto wszystko.

W szerokich rowach, rozprowadzających wodę rzeczna, nurzają się leniwe bawoły po nozdrza i garby na grzbiecie, używają kąpieli dzieciaki, a rybacy zastawiają wężyczerze. Ale przeważna część męskiej ludności pracuje w te skwarne dni ciężiej, niż kiedykolwiek. Co kilka kroków ustawione żórawie są w ruchu od brzasku do zmierzchu, przy każdym z nich po dwóch fellahów napełnia wiadro i wylewa je poza siebie bez przerwy, bez chwili odpoczynku, bez wytchnienia.

Ich ciała mokre i nagie, wspaniałej budowy i doskonałych kształtów, połyskują, jak gdyby ulane były z najpiękniejszego spiżu.

Opodal zgarbiony rolnik kopie motyką spulchnione łany pod przysze zasiewy, gdzieś tam także również chłopaczki, z wysokości umyślnie ustawionych słupków i drabinek, ogarniają od żarłocznych wróbli niewielkie skrawki półek pod końskim zębem.

Świątynie i zwaliska Luksoru, Karnaku, Edfu, królewskie groby w Tebach, kamienne olbrzymy t. zw. Memnona, nie nęcą tym razem naszej ciekawości; przejeżdżamy mimo nich równie obojętnie, jak obok nędznych wiosek egipskich, zbudowanych z gliny i kamyków, już poza granicą, dokąd sięga Nil, kiedy z brzegów występuje, a zatem w szczerzej pustyni, wyludnionych w dzień, smutnych i szpetnych, do cmentarzów podobnych, gdyby nie psy, nie kozy i nie kobiety pozostałe w domu dla ugotowania strawy.

Na przystankach cisną się jak zwykle do okien przepknie, zalecający skarabeje i posążki egipskie, sznury paciorków sudańskiego wyrobu i t. p. miejscowe osobliwości.

Drobny pył wszędzie się wciska, pokrywa żółtawą warstwą wnętrza wagonów, zasypuje nieustannie wszystko i wszystkich, słońce zaś praży coraz dokuczliwiej, tak, że znużenie, nuda i zniecierpliwienie ogarnia najwytrzymalszego nawet podróżnika.

Z odrętwienia budzi dopiero okrzyk jednego z towarzysów owej czyscowej drogi: *Fata morgana!* — Niestety

są one tylko »złudą złud«, bo nie jakieś wspaniałe miasta, marmurowe pałace, cieniste ogrody i bijące wodotryski a wokół nich centkowane pantery, królewskie lwy na złotych smyczach i sułtanka o sarnich spojrzaniach i ruchach ukazują się oczom w dal zapatrzonym, ale poprostu mały biały budynek, coś w rodzaju lamusa czy spichlerza, nad brzegiem niebieskawego jeziora.

Fata morgana bywają co prawda najrozmaitsze, lecz tym razem brakło najniezawodniej przyrodzie twórczej wyobraźni i poetycznego polotu; prostszem jej się zdało coś zmyślić na prędce, niż wymyślić.

Już pod wieczór staje pociąg u kresu podróży. Żaglowe łodzie przewożą ludzi i torby podróżne poprzez ramię nabrzmałego Nilu na uroczą wyspę Elefantinę, do hotelu Savoy, gdzie zakwaterowali się uczeni.

Barwne flagi Egiptu, W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Rosyi powiewają ze szczytu dwupiętrowego budynku na powitanie.

Zachmurzają się oblicza przybyłych dyplomatów i dostojników na wieść, że wyczerpano zapas lodu do ochłodzenia napojów i że do kąpeli płynie woda nie filtrowana t. zn. że jest ona orzechowej a nawet mahoniowej barwy, a do tego rozgrzana do 20 przeszło stopni w żelaznych rurach wodociągów. Na dobitkę służba arabska — spędzona na kilka dni pod niebytność austriackich i szwajcarskich pokojówek i posługaczy usługujących latem w Karlsbadzie, Ostendzie, Vichy czy Montreux — traci głowę, nie rozumie żądań, próśb ani rozkazów. Darmo starają się miłośnicy przyrody i jej zjawisk uspokoić rozgoryczonych towarzyszy francuskim przysłowiem, że »na wojnie jak na wojnie«. Odpowiadają oni cierpko, że o wojnie niema mowy, że jest za to nieporządek i zwalczają ową anarchię hotelową krzykiem i łajaniem, przyczyniając się oczywiście tylko do jej zwiększenia.

Natomiast uczeni troszczą się wyłącznie o strop niebieski.

W najbliższem sąsiedztwie hotelu obrały sobie posturki misya angielska, amerykańska i rosyjska; misya egipska nastawiła przyrządy na prawym brzegu rzeki, podczas gdy inny oddział petersburskich uczonych, mający na celu badanie magnetycznych przemian i odchyień, rozbił swoje namioty na pagórkach po lewym brzegu Nilowym i nawet w części ukrył się w grobach z przed 3.000 lat, dla uniknięcia pobliza maszyn elektrycznych i żelaziwa, którego w hotelu jest oczywiście podostatkiem.

Jak nasza nauka jest w lennym stosunku do niemieckiej wiedzy, tak i typy naszych uczonych przypominają berlińskie, wrocławskie, królewieckie i t. p. wzory. Ich umysłowa wyższość kojarzy się z pewną nieudolnością życiową, która oddawna stała się przedmiotem żartów, nie wykluczających podziwu dla rzetelnej zasługi i pracy. *Der Herr Professor* przedstawia się oczom szerokich tłumów od Renu po Wartę tak, jak od 40 z górą lat rysują go karykaturzyści na łamach monachijskich *Fliegende Blätter*. Rzadkie i długie włosy, broda w nieładzie, szlafrok i pantofle do domowego użytku a na ulicy kalosze i stary parasol, okulary a także i grube tomy w ręku lub pod pachą — oto niezbędne cechy i przybory przedstawicieli germańskich wszechnic. Roztargnienie, krótkowidztwo duchowe we wszystkim, co nie dotyczy ich zawodu, łatwowierność i nieporadność, są według powszechnego mniemania nieodłącznym dopełnieniem rzadkich zalet, których dowody składają na uniwersyteckich katedrach i w obszernych lecz zawiłych dziełach.

Jakże inaczej wyglądają zamorscy wielbiciele dziewiętej muzy. Ubrani w obcisłe spodnie, skórzane kamasze i wełnianą koszulę, amerykańskim zwyczajem nie noszą żadnego zarostu. Gęste czupryny, śmiały, nieraz poprostu wyzywający wyraz, energiczny rysunek ust i brody, ów znany, przez wszystkich obcych zauważony rys jakiegoś rozgoryczenia i znużenia zaostrozony walką o byt, muszkularne ramiona,

wyglądające z zakasanych powyżej łokcia rękawów, ręce, przywykłe nie tylko do misternych narzędzi, ale i do piłki, do wiosła i do cricketowego podbijacza, wywołują wrażenie niezwykle żywotności i siły. Śnać niekoniecznie trzeba być łagodnym safandulą, żeby poświęcać się zagadnieniom naukowym.

Nad samym brzegiem wody, pośród palm i bananowych krzewów, poustawiali teleskopy i fotograficzne przyrządy. Najgłówniejszy z nich, oparty na zbudowanym *ad hoc* rusztowaniu, obciążony żaglowem płótnem, mierzy 40 stóp długości. O przesunięciu go mowy być nie może; to też najdokładniej obliczono poprzednio miejsce na nieboskłonie, gdzie w danym dniu i godzinie padnie na słońce cień księżycy i podług wskazówek przywódcy całej wyprawy zabrano się do dzieła. Otwór, którym patrzy ów jednooki olbrzym na niebo, jest niewiekszy od wylotu rury armatniej dużego kalibru; najmniejsza myłka w rachunku uczyniłaby bezowocnym cały trud, zachód i koszt podróży z Kalifornii do Assuanu; ale myłki niema i w oznaczonej chwili wszystko odbyło się tak, jak przewidzieli astronomowie.

Dalibóg, trudno nie uchylić czoła przed takim wynikiem ludzkiej pracy!

Lecz nie wystarczy ustawić soczewki szklane i płyty fotograficzne, trzeba jeszcze wyzyskać owe dwie i pół minuty całkowitego zaćmienia, więc odbywają się próby, niby przed przedstawieniem teatralnym.

Zasiada więc młody pomocnik przed wahadłem i liczy dobitnie sekundy, podczas gdy na komendę zmieniają inni klisze, zasłaniają i odsłaniają okienka, o których była mowa, przygotowują się do zapisywania spostrzeżeń i t. d. Owe próby powtarzają się po kilka razy na dzień, tak, że wreszcie każdy spełnia powierzone sobie zadanie bez zastanowienia; zachodzi tylko obawa, że w rozstrzygającej chwili nieunikniona nerwowość zmyli szyki uczonych.

Przy obiadowym stole zawiązują się łatwo rozmowy i znajomości. Na zapytanie, dlaczego wybrano odległą miejscinę w Górnym Egipcie za punkt zborny, objaśniają uczeni, że Francuzi podążyli oczywiście do Tunizyi w tym samym celu, że natomiast Anglicy i Amerykanie wysłali wprawdzie i do Hiszpanii badaczy, że jednak przekładali po większej części dla swych doświadczeń skwarne brzegi Nilowe, bo rachowali na to, że tu właśnie unikną dwóch przeszkód w swobodnej pracy: obłoków i turystów.

Cztery tysiące osób zapowiedziało się bowiem do Burgos i okolicy, a nie tak łatwo będzie się można opędzić Europejczykom, jak arabskiej gawiedzi, którą miejscowa policya zdoła utrzymać bezwątpienia w przyzwitem, czyli nie natrętnem oddaleniu.

Poobiednia przechadzka nad brzegiem rzeki usposabia do wywnętrzań, każdy mówi o tem, co go zajmuje najżywiej... najczęściej o sobie samym. Plusk wiosła w uspionej wodzie zwiastuje powrót Rosyan z nocnej wycieczki, podjętej dla przekonania się, czy gafiry, czyli stróże nocni, czuwają na posterunkach.

Najmłodszy ze słowiańskiego grona jest gimnazjalnym studencikiem lat około szesnastu; już od lat kilku poświęca się astronomii w wolnych chwilach, zanim matura pozwoli mu całkowicie się jej oddać. Wysokie czoło, marzycielskie spojrzenie szeroko osadzonych oczu, płowe włosy, które jeszcze nie miały czasu wyłysieć, niska budowa ciała, składają się na powierzchowność, mieszczącą niewątpliwie duszę niespokojną, wrażliwą, dla rzeczywistości nieprzepuszczalną, lecz chłonną chciwie umysłowe fale i prądy — gdyby nauka nie była zawładnęła nią od dzieciństwa, byłaby może poszła w służbę czynnej anarchii.

Starszy cokolwiek, lecz także zaledwie dorosły, młody chemik z nad Renu, wysokiego wzrostu, barczysty, o krótko przy samej skórze strzyżonych włosach i dwóch czerwonych szramach na policzku, jest charakterystycznym przedstawi-

ciemle dojrzewającego pokolenia pod pruskim berłem. Ten zaiste nigdy bomb fabrykować nie będzie! Pomny monarszej przestrogi, że »przyszłość Niemiec jest na wodzie«, przepędza on co roku wakacyjne miesiące na statkach bremeńskiego Lloyd; do Egiptu podążył na własny koszt, ofiarował swoje usługi starszemu rodakowi, który chce wypróbować najnowszy teleskop słynnej fabryki w Jenie, bo trzeba przypatrzeć się zjawisku tak niezwyčajnemu, jak to, którego oczekuje cały świat profesorski. Pracuje więc ochotczo całymi dniami, za darmo oczywiście, a nawet nie w swoim fachu, a pod wieczór nuci przy szklance *whisky & soda* niemieckie pieśni, przeplatając je cytatami z »boskiego« Horacego. Kiedy zaś astronomia przestanie być aktualnością, chce jeszcze przed powrotem zapolować na szakale, no i oddać się potrosze badaniom porównawczym... nad choreografią środkowo-europejską i afrykańską.

Ów zaś rodak jego, Dr M., popularyzator wiedzy, korespondent rozmaitych *Tagblattów*, jest w każdym calu takim, jakim przedstawiają filarów wiedzy satyryczne ołówki T. T. Heinego, Bruno Paula i t. d. Gdyby Urania, którą obrał sobie za mitologiczną patronkę, mogła wyprosić mu nieśmiertelność u Zeusa, ojca bogów i ludzi, oceniałby on ów dar dlatego głównie, że mógłby czekać bez końca na przyszłe zaćmienia i dowoli je fotografować, opisywać i w nie się wpatrywać!

Nie zgoła na marnej naszej kuli ziemskiej go nie zajmuje, żadne ciało go nie obchodzi, okrom ciał niebieskich; chodząc drobnymi krokami po piasku egipskim, ale żyjąc w obłokach, zadziera czerwone pucułowate oblicze i zmęczone oczy, uzbrojone w złoto-oprawne szkła do bezkreślnych przestrzeni astralnych.

Ostatnia poczta przywozi mu, jak innym, dzienniki i listy. Przedewszystkiem szuka on wiadomości o przygotowaniach innych uczonych, odnoszących się do wielkiego jutrzejszego dnia; domowe i rodzinne sprawy, jakich zapewne są pełne

stronki, gotyką zapisane, które przed chwilą odebrał — mniej go zaciekawiają.

Was schert mich Weib, was schert mich Kind,
Ich trage ein bess'res Verlangen,
Lass sie betteln gehen, wenn sie hungrig sind...

Lecz niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ów list, to rozprawa syna, pisana na ławce szkolnej i zawierająca opis tego, co ojciec mógłby a syn pragnąłby widzieć. Jest tam mowa o egiptologii i wykopaliskach, o świątyni w File i Ptolemeuszach, o hieroglifach i rzeźbach *en creux* i *en relief*.

Stary profesor dumny w głębi duszy z kierunku, który obrał jego potomek, uśmiecha się pobłaźliwie i podrywka nieco z młodzieńczego zaciętrzewienia w historycznej starzyźnie, liczącej zaledwie 4000 lat, a zatem w jego pojęciu raczej wyszłej z używania, niby przeszłoroczny kapelusz, niż naprawdę patyną czasu obleczonej...

Przeciągły świst i astmatyczny oddech parowej maszyny przerywa mroczną ciszę — to statek rządowy przybija do brzegu. Na jego pokładzie przybywają angielscy przedstawiciele władzy, oraz lord C., generał w służbie egipsko-sudańskiej, który po znakomitym swoim ojcu, najwybitniejszym statyście angielskim od śmierci Beaconsfielda, odziedziczył zamiłowanie przyrodniczych doświadczeń i badań.

Depesze biura Reutera, które ich tutaj także dochodzą, donoszą o rokowaniach w Portsmouth i zaburzeniach na Kaukazie, ale powszechna ciekawość odbiegła od polityki, od cen bawełny, nawet od wyników ostatnich cricketowych zapasów w Szkocji, Irlandyi czy Australii; wszyscy na razie mają *ein bess'res Verlangen*.

Jaki taki zagłada jeszcze do przyrządów, ociera z nich rosę, patrzy na gwiazdy, których tu nawet dla gołego oka w dwójnasób więcej niż u nas, i wreszcie układa się do snu na pościeli, jakby umyślnie rozgrzanej.

* * *

Pierwsze promienie poranne odbite, jak w starożytnym metalowem zwierciadle, w jasno-żółtych pagórkach piaszczystych, wpadają przez otwarte okna, załamują się w szybach, budzą najopieszalszych o niezwykle wczesnej godzinie.

Słońce świeci i parzy w najlepsze, jak po inne dnie i ani domyślać się nie zdaje, co go czeka za godzin kilka.

Dr M. pierwszy oczywiście był na nogach. Myśl, że może być pochmurno, spać mu nie dawała. Nic to, że obłoki są w Assuanie równie rzadkie, jak zaćmienia słoneczne; a nużby właśnie dziś niespodziewany wiatr przywiał opary z nad morza Czerwonego!

Byłoby to nieszczęście tem dotkliwsze, że na nie żadnej rady niema. Bo astronomowie umieją do minuty wyrachować miejsce i chwilę zaćmienia, potrafią obliczyć obwód, powierzchnię, chyżość biegu gwiazd i planet, zdołają nawet oznaczyć ich składniki chemiczne, ale są bezsilni wobec najłżejszego i najbielszego baranka na niebie, tak, jak doktorzy leczą najprzeróżniejsze choroby, lecz dotąd nie wynaleźli skutecznego sposobu na najprostszy katar.

Lecz próżne w tym względzie wszelkie strachy i obawy. Na stropie niebieskim ani jedna nawet plamka się nie znaczy.

Po południu staje każdy na wyznaczonem stanowisku, a gromadka ciekawych wychodzi na płaski dach hotelowy. Widok, który roztacza się na wszystkie strony, jest zaiste nieporównany.

Jeszcze pławią się w świetle wydmy pustynne i ramiona Nilu, obejmujące wyspę Elefantyny, niby ramiona siłacza, i miasteczko o białym meczecie i szarych kamieniczkach, i kościółek katolicki ukryty w gęstwinie drzew akacyowych i porohy, wśród których rzeka z wysiłkiem bieg sobie toruje, i opustoszały koptyjski klasztor i szczątki rzymskich budowli, i nilometry angielskich, a dalej Faraonowych budowniczych i statki kołysane nieustannym prądem.

Lecz oto czarna plama poczyna wyłaniać się z błękitnych przestworów i następować na słońce. Poprzez dymne



Assuan i wyspa Elefantyna.

szkła i zakopcony okrucz szyby (nieostrożność można łatwo utratą wzroku przypłacić) śledzi się powoli postępy ciemności. W tej przewadze bodaj chwilowej sił ujemnych nad ogniskiem życia, w tym zmierzchu przedwczesnym jest coś złowrogiego. Cała przyroda odczuwa, czy odczuwać zdaje się to, czego doznaje każdy, kto cierpi na bicie serca. Nie jest to ból, ale przeświadczenie, że życie osobiste zawisa na włosku, na nitce pajęczyny, póki krew natychmiast, bez najmniejszej zwłoki prawidłowo krążyć nie zacznie.

Upał taki dokuczliwy przed godziną zdaje się minionem dobrodziejstwem. Nagły chłodny powiew ostudza bardzo znacznie podzwrotnikową już niemal ciepłotę. Czyżby to był szelest skrzydeł anioła śmierci? Wszak mrok i mróz są zwiastunami zgonu!

Coraz bardziej, z minuty na minutę, zachodzi bielmem »piękne oko, dnia oko ślicznego«, jak się nadobnie wyraża, stary nasz sielankopisarz z XVI w. Świat ślepnie i po omacku chyba będą odtąd planety odbywały drogę zakreśloną im przez Opatrzność.

Sierp słoneczny oświeca nietylko słabiej, ale inaczej, niż słoneczna tarcza ziemską szarzyznę i niebieskie bezmiary. Metaliczne jakies odbłyски pojawiają się wszędzie; skały wyglądają jak bryły mosiężne, a w rzece, przysiągłbyś, że płynie nie woda, lecz toczy się strumieniem żywe srebro.

Jeszcze rysują się na ścianie hotelowej cienie palm, lecz bledną one i rzędą coraz bardziej i stapiają się z całym kirem, który oblekł cały świat.

Kurki i kwoki w ogrodzeniu arabskiej osady rozglądają się niespokojnie, synogarlice i gołębie zrywają się do lotu, psy chowają się w ludzkich mieszkaniach, w mieście rozlega się już zbiorowy lament i wrzask dziatwy. Amerykanie liczą donośnie sekundy — oczekiwana chwila nadeszła.

Słońce znikło zupełnie za czarnym puklerzem cienia i tylko t. zw. korona, czyli świetlisty krąg, podobny do aureoli wokoło głowy świętych na starych obrazach, gorze fosfory-

cznym jakimś blaskiem. Z tej korony tryskają promienie, krótkie i proste, jak świeca ognista, w górze naprzód a potem w dole zakwitają purpurowe kwiaty, niby z łuny pożarnej zerwane.

Niespokojne oko przebiega firmament, żeby ujrzeć gwiazdy, które ponoś mają być widne, ale od wschodu do zachodu, od północy do południa, od zenitu do krańców widnokregu, nie nie miga i nie nie mruga, jak gdyby ciała niebieskie były solidarne między sobą i nie chciały korzystać z chwilowej niemocy słonecznej w celach nierzetelnego współzawodnictwa.

Również i cienie — które przed samem zaćmieniem mkną po ziemi z ogromną chyżością, a które dla uczonych są jak dotąd zawiłą zagadką, bo tylko dowolne przypuszczenia przypisują je ruchom niedowiedzianej atmosfery księżycowej — nie ukazały się tym razem oczom zgromadzonych gapiów.

Po trzech minutach niespełna — świta. Za pierwszym promykiem słonecznym znika dla ludzkiego wzroku korona, a z nią jej miecze i kwiaty.

Aż po rok 1925 nikt nigdzie nie będzie oglądał podobnego widoku.

Dalszy przebieg zaćmienia nie budzi najmniejszego zainteresowania. Uczeni odbiegli przyrządów, wszyscy inni porzucili szkła i szkiełka i rozprawiają gwarnie o doznanych wrażeniach, oraz o poczynionych spostrzeżeniach. Ten i ów rysuje na białej ścianie, a bodaj że na rękawach koszuli kształty korony, jak je zapamiętać zdołał. Gdyby zestawieć przyszło te szkice, brakłoby im jednolitości; na szczęście fotografia wierniej odda powierzone sobie obrazy, niżli zawodna pamięć ludzka, nie zupełnie wolna od wpływów uroczej wyobraźni.

* * *

Bankiet wydany na cześć zgromadzonych przedstawicieli nauki przez angielskiego podsekretarza stanu w egipskim ministerstwie skarbu, jest godnym zakończeniem niezwykłego dnia.

Bazyliżkowem spojrzeniem obrzuca zdala uczujących Dr M., którego w zaproszeniach pominięto przez nieuwagę; skarży się o to pocichu przygodnym znajomym, upatruje złośliwą chęć i oczywiście przypisuje ją... naprężonym stosunkom pomiędzy Anglią a Niemcami.

»Mędrzec, co firmament mierzył« — jak określił w bajce astronoma X. biskup warmijski — nie posiada się z gniewu i obiecuje rozpisać się szeroko o tem uchybieniu w niemieckich dziennikach.

Na hotelowym tarasie snują się dalej rozmowy o gwiazdach, drodze mlecznej, konstelacjach, niewidywanych na północnem niebie i t. d. Cichnące rozhowory ożywiają się nagle: uczeni cudzoziemcy spierają się o wrażenie, jakie minione zjawisko wyrzucić mogło na umysłach nieokrzeseanej ludności miejscowej.

Większość mniema, że Nubijczycy wierzą jeszcze w podanie o smoku, pożerającym słońce. Nie trzeba jednak koniecznie być prawdziwym dzikim, aby doznać uczucia nieokreślonego jakiegoś lęku na widok słonecznego zaćmienia.

Jakiegolwiek postępy może jeszcze uczynić wiedza, nie wyswobodzi się chyba dusza ludzka z wrażenia grozy w takich razach. Żaden opis współczesny nie oddaje go równie wiernie i po mistrzowsku, jak następujący ustęp z *Księgi Mądrości* (Rozdział XVII, w. 17—20):

»Jednym bowiem wszyscy łańcuchem ciemności związani byli. Chocia wiatr szumiący, albo między gęstym gałęziem drzew wdzięczny głos ptaszy, albo gwałt wody barzo zbiegającej,

»Abo ogromny trzask walących się skał, albo igrających zwierząt bieg nie doyżrzany, albo głos srogich zwierząt ry-

czących, abo głos od gór najwyższych się odbijający czynił, że od strachu omdlewali.

>Wszystek bowiem okrąg ziemi światłością był oświecony y w nieprzekazonych robotach trwał.

>A nad onymi samymi wisała ciężka noc, obraz ciemności, które na nie przypaść miały. A tak sami sobie byli cięższymi, niżeli ciemności«.

Póki ludzkiego życia i ludzkiej myśli na kuli ziemskiej, póty nie inaczej, lecz tak właśnie, jak natchnionemu pisarzowi, będzie się przedstawiało wspaniałe, lecz przeraźliwe zjawisko.

III.

LISTY Z EGIPITU

(1904—1906).

Kair, 28/III 1904.

... Zajechałem szczęśliwie. Z Aleksandryi telegrafowałem do poselstwa; na dworcu oczekiwał mnie kawas, który — gdyby nie cera — wyglądałby raczej na magnata ze Złotego Banatu, taki ma mundur złotem zahaftowany.

Drogo tu bardzo; wątpię, żebym w hotelu mógł mieć utrzymanie, t. zn. mieszkanie i wikt, niżej funta, czyli 12'50 fl., a ma to być najpraktyczniejszy sposób urządzenia się. Niema jeszcze 24 godzin jak tu bawię, ale dla moich skromnych przyzwyczajęń zawiele tu zbytku.

.....

San Stefano, 3/VII 1904.

... Osobliwy jest ten hotel San Stefano. Po schodach i korytarzach uwijają się nietylko zamiatacze z miotłami, pokojówki z dzbankami i t. d., ale urzędnicy ze stosami papierów. Ja mam duży i bardzo dobry pokój z ogromnym balkonem, niestety bez widoku na morze. Za hotelem jest terasa i drewniana szopa, z ładnymi orientalnemi tkaninami,

które się podnosi i zapuszcza podług woli, a za balustradą morze zielone i fioletowe, faliste i rozległe, w które co wieczór zapada słońce. Ostatni promień jest podobno zupełnie zielony, ale trudno dojrzeć tego mgnienia oka.

We środę był *five o'clock* w Khedivial-Jacht-Club na cześć angielskiej eskadry. Położenie cudowne; na wąskim półwyspie obok morskiej latarni 15 ogromnych pancerników stało rzędem. W oddali na tarasie zebrała się tutejsza śmietanka (podrobiona lewantyńska serwatka) dyplomaci i t. d.

W sobotę bywają fajerwerki, lub inne uciechy, ale zwykle wieczorami bywa tu cicho, a dyplomaci swoim zwyczajem zbierają się w kącie, by wygadywać na miejsce swego pobytu, tęsknie wspominać przeszłość i wzdychać do nowych przeznaczeń.

.....

Na pokładzie de l'Hirondelle, 13/VIII 1904.

... Wczoraj jeździłem konno rano, potem jeszcze kilka drobnych spraw i wybrałem się do Ismailia.

Na szczerym piasku pustyni stworzył *le grand Français* to miasteczko tem miłe, że bardzo cieniste i zaciszne. Każde drzewko — a jest ich spory laszek — trzeba było pielęgnować najstaranniej, żeby wyrosło.

W hotelu nad brzegiem jeziora przypatrywałem się po przyjeździe nurkom, którzy w odpowiednim stroju i z puginalami od rekinów za pasem, szukali dwóch pierścionków brylantami sadzonych, które zgubił w kąpieli bogaty bey z Kairu. O mało nie obiłem Araba, który z właściwą swęj rasie niedbałością przestał korbą kręcić i tym sposobem niemal nurka o śmierć przez uduszenie nie przypawił; bo korbą wprawiała w ruch pompę dostarczającą powietrza biedakowi na dnie jeziora.

.....

... Wreszcie znalazłem na egipskiej ziemi idealne miejsce pobytu. Jest niem Ras-El-Bar. W ostatnich dniach nie byłem chory, ani nawet niezdrów, ale w każdym razie nie-swój; tutaj znów poczułem się, jak ryba w wodzie. O 10-tej wieczór byłem w Damiette; księżyc oświecał wezbrane wody Nilu i miasta, z którem wiążą się wspomnienia św. Ludwika, a które w miesięczną noc dziwnie żywo przypomina Wenecję — ale Wenecję bez gondoli. W półtorej godziny jazdy zygzakami po Nilu, stanąłem na miejscu. Spotykany po drodze fort Napoleona i wioska arabska *Burg* świadczą o śladach krzyżowców i wielkiego Korsykanina i przypominają, że ten kraj to nie Mickiewiczowska »biała do pisania karta«, ale że na tych wybrzeżach znać rylec, którym Clio wypisuje dziejowe wypadki.

Ras-El-Bar i latarnia morska widna z daleka, są wreszcie *à portée de voix* — przybijamy do brzegu. Ras-El-Bar jest wydumą piaszczystą, na której ani źdźbło trawy, ani nawet mech nie porasta, o szerokości 300 metrów najwyżej, między morzem a ujściem jednej z odnóg Nilu. Zimą fale morskie zalewają wydumą, czem się tłumaczy brak zieleności, oraz brak domów na stałe. Letnią porą budują przedsiębiorcy szopy, podobne nieco do tych, w których sadownicy pilnują u nas owoców po ogrodach. Do klatek ze słomianych mat wstawia się łóżko, stolik i stołek; na stole stawia się miednicę, dzbanek i lustro, okno i drzwi tworzą maty przymocowane i poruszane sznurkami — i ot, mieszkanie gotowe. Takich klatek szereg nazywa się hotelem. Jak wspomniałem, Ras-el-Bar jest najmilszem miejscem pobytu w Egipcie. Życie tu bardzo proste; wstaje się o wschodzie słońca, *ou à peu près*, co znaczy o 5¹/₂—6; potem kąpiel balsamiczna, śniadanie, potem siada się do łódki o żaglu trójkątnym i jedzie się szukać Mustafy. Mustafa jest najciekawszą osobistością miejscową — ma lat 15, jest to chłop na

schwał, ledwie dostrzegalny meszek sypie mu się na górnej wardze rozwartej uśmiechem, wśród którego błyszczą białe zęby. Jest to typ t. zw. wodnego fellaha. Zarabia mniej więcej połowę tego co ja, może więcej, a wydaje 5 funt. na rok. Kupił już sobie gaik palmowy i łódkę, a za 10 lat, kiedy się zechce żenić, *ce ne sera pas un coureur de doté*. Mustafa jest nieodmiennie na jednej z Gesireh — wysp u ujścia rzeki, albo przy rybołówstwie. W całej okolicy od Port-Said po Rosette, jest to najszlachetniejszy kłusownik wodny; łapie ryby siecią, którą zaciąga jak Lajzor w Konaszynie, albo rzuca z niesłychaną zręcznością i siłą rodzaj wężycza, który nosi w obu rękach, a który opatrzone jest u spodu ołowianymi wałkami dla ciężaru. Wczoraj złowił w ten sposób »wieloryba« 29 kilo żywej wagi. Dwa razy ledwie się wymigał rekinom, zarzuciwszy im sieci na łeb.

Za powrotem dalsze bałamucenia, lunch, siesta, a potem jeszcze przejażdżka łodzią; trochę czytania i wreszcie koło szóstej kąpiel na ślicznym, piaszczystym wybrzeżu, jakiego niema nigdzie w Aleksandryi, ani w San Stefano. Fale są równe, szumne, miłe, żywe, a nie rozhukane, *et tout serait pour le mieux...* gdyby nie rekiny. Wczoraj pojawił się o 10 kroków podobno od kąpiących się, chociaż nie zapuszczamy się dalej, jak po kolana w wodę, a ten kto wchodzi po pas, jest już wprost śmiałkiem. Dzisiaj zaś przed godziną, podczas gdy byliśmy w wodzie, był o kroków czterdzieści — jak twierdził młody B., były oficer marynarki wojennej, którego oczy nie zawodzą nigdy. Po prostu krąży ów potwór pod brzegiem, czekając na ofiarę i czyhając na sposobność. Trzeba przyznać, że taka kąpiel z rekinem, jako stałym towarzyszem pluskania, jest osobliwa.

Potem obiad, poprzedzony ubieraniem się, rozmowa poobiednia, pobieżny rzut oka na dzienniki, i przed ułożeniem się do snu przechadzka po księżycu, gdzie psy, mieszańcy *de Terre-neuve* — które się tu dostały *avec une demi-brigade de Bonaparte* — i rasy sudańskiej, skaczą na spokoj-

nych przechodniów i zagrażają poważnie ich łydkom. Taką egzystencję pędzę od 2 dni; niestety kończy się ona jutro...

O 11-tej przyjechał gubernator; jutro przysyła po mnie parową łódź, którą pojedę do niego na śniadanie, a zwiędziwszy miasto, tu powrócę. Pojutrze zaś, zapewne pojedę statkiem *des garde-côtes* do Port-Said, poprzez ogromne jezioro Meusale. Jeżeli gdzie, to tutaj, krajobraz, barwy i oświetlenie, są jeżeli nie malownicze w utartem tego słowa pojęciu, to ogromnie pociągające niezwykłością. Proszę sobie wyobrazić wodę szeroką, tak mętną, że ów słynny muł nilowy zabarwia nawet morze na przestrzeni nie wiem ilu mil kwadratowych na kolor bladej dachówki, czy cegły niepalonej. Brzegi są tak niskie, że ziemi w pewnej odległości zupełnie z wody nie widać, i nie wiadomo po czem ludzie chodzą i na czem wznoszą się te budki i klatki ze słomianych mat sklecone. Nad tem wszystkim nie błękitne, lecz modre, najczęściej bezchmurne niebo i pianisty wał bałwanów tam, gdzie woda z lądem się styka. Po krańcach widnokregu zaś, ciemne laski palmowe i na jeziorze Meusale takie mnóstwa flamingów, że niewprawne oko bierze je za ławicę białego piasku.

Dziś po południu zwiedziłem Fort-Napoléon. Założył go Bonaparte; po latach opuszczenia odnowił i armatami opatrzył Mohammed Ali. Potem znów minęły lata zapomnienia i zaniedbania, aż Khedyw Ismail znowu przywrócił go do pierwotnego stanu; a teraz piasek sypiący się nieustannie od lat od strony morza, zrównał z ziemią rowy, wyrównał wały i olbrzymie spiżowe moździerze ledwie gdzieniegdzie wyglądają z piaszczystego całunu. Dostaliśmy się do wnętrza przez naosćcież otwarte drzwi — wraz z nieodstępny Mustafą i młodym Beckerem; wyłamywaliśmy (!) drzwi do magazynu zamkniętego na tęgie, ale zardzewiałe rygle. Niestety nie znalazłem czego szukałem, t. j. jakiego pałasza, albo karabina z czasów francuskich; natomiast Mustafa podnosił i ważył w rękach każdy drąg i oskard i obawiam

się o całość znalezionych tamże skarbów w najbliższej przyszłości.

Widok z fortu trochę odmienny niż na nizinie; morze błyszczący jak żywe srebro, na przeciwnym brzegu Nilu kołyszą się palmy i ciągną łąny soczystej zieloności, a czekoladowy Nil zabarwia się miejscami na niebiesko.

Statek gubernatora w tej chwili po mnie zawinął, a że jest to wielka z jego strony uprzejmość, choć na moje żądanie, więc nie trzeba go zatrzymywać zbyt długo; zatem muszę nie kończyć, ale urwać...

Ras-El-Bar, 24/VIII 1904.

... Kilka słów tylko, bo jestem bardzo zmęczony, a jutro wyjeżdżam o 4^{1/2} z rana. Cztery dni spędzone w Ras-El-Bar, postawiły mnie na nogi. Dzisiaj rano byłem na połowie ryb i złapałem ręką, bez sieci ni pomocy niczyjej, bardzo ładną rybkę, która przypadkiem nawinęła się pod brzegiem. Po południu odbyłem w towarzystwie wycieczkę do fortu Napoleona. Fort zasypany piaskiem, armaty zardzewiałe, drzwi otwarte na oścież, prócz jednej skrytki zamkniętej i zapieczętowanej, do której trzeba się było włamywać; rozczarowanie było jednak naszym udziałem, bo nie znaleźliśmy nic ciekawego. Wczoraj wycieczka do Damiette. Zajechałem z młodym Beckerem w godzinę, śliczną okolicą po obu brzegach Nilu. W gaju palmowym mieści się miasto św. Ludwika, jedno z najbardziej arabskich w całym kraju. Gubernator czekał *à la jetée* i ofiarując swoje usługi, zaprowadził do pałacu, gdzie spożyliśmy doskonałe śniadanie (*à la franca*). Potem powozem gubernatora objechalśmy miasto, zwiedzili cztery meczety, wdrapaliśmy się na minaret jednego z nich i widzieliśmy miasto, fabryki cukru, meczety i domy arabskie. Poczem jeszcze raz herbata u gubernatora i wreszcie odjazd.

... Wczorajsza ekspedycja udała się wysmienicie. Przedwczorajszy list pisałem ostatnim woli wysiłkiem; po kąpieli, połowie ryb i przechadzce (25 km) byłem tak zaspany, że pisałem zamykając oczy i otwierałem je od czasu do czasu, żeby się przekonać, czy sam przeczytać mogę, co nagryzmo-liłem. Po czterogodzinnym śnie trzeba się było zerwać po ciemku (świeca upaliła się wieczorem do szczętu) ubierać, myć i pakować; na statek przybiegłem z trzewikami i skarpetkami w rękę, bo nie miałem czasu się obuć. Kiedy ranne wstały zorze, parowiec szedł już w górę Nilu całą siłą pary. Raz jeszcze nacieszyłem się uroczym widokiem chwiejnych palm, szeleszczących oczeretów, płowych piasków i mętnych nurtów wezbranej rzeki i o 1-ej byłem w Damiette, gdzie czekała warta honorowa i gubernator. Herbata, jaja na miękko, jajecznicza, jaja sadzone na fasoli, — nadzieja całego kurnika, drób *in spe* — na półmisku. Potem jazda powozem do Ghet-el-Nazara, tam siadamy na t. zw. dahabię, czyli statek straży skarbowej (*Garde-côte*). Gubernator jeszcze raz kłania się i uśmiecha, poczem wyjmuję chustkę jak prześcieradło i powiewa nią, jakby żegnał ojca i matkę.

Rozwijamy olbrzymi żagiel, ale zwisa jak mokry ręcznik — cisza zupełna. Czterech majtków popycha żerdziami statek w pocie czoła. Napróżno wyczekujemy zbawczego podmuchu. Wszędzie widzimy łodzie rybackie na jeziorze, o którym już Herodot pisze, że jest w ryby obfite. Od czasu do czasu pluszcze do słońca srebrzysty brzuszek okonia, czy lina. Mijamy zwolna szuwary, widzimy ogromne stada wodnego ptactwa, tak duże, iż wydają się z oddali niby wyspy jak śnieg białe, tylko, że te wyspy podlatują niekiedy i śnieżną smugą ciągną się po widnokręgu, niby obłoki. Po czterech godzinach budzi się wietrzyk; na wodnej powierzchni, gładkiej jak weneckie zwierciadło, pojawiają się niby rysy i jakby szklane odruzgi — woda przestaje odbijać chmury

i kępy oczeretów, zwierciadło mętnieje, t. zn. że już tu i owdzie wiatr musnął gładką powierzchnię uśpionego jeziora. Przed nami, za nami, łódzie już rozwinęły żagle, przyjdzie kolej i na nas za chwilę. Czuć już pierwsze podmuchy, potem coraz silniejsze; zatrzeszczał maszt, żagiel się wydał, wreszcie pochyła się łódź i szybuje po nowonarodzonych falach. Załoga rzuca żerdzie i spracowanymi rękami ociera pot z twarzy. W cztery godziny zamajaczały szare mury Port Saidu. Wprawne oko żeglarskie p. Beckera rozróżnia już okręty w przystani, rozpoznaje z daleka wojenny krzyżowiec angielski. O 5 $\frac{1}{2}$ zawijamy do portu. Niestety, pociąg, którym chciałem odjechać, sunie już po szynach. *Malesz!* jak mówią Arabi, co przetłumaczyć można tylko rosyjskiem: *Niczewo!* Od miejsca, gdzie wysiedliśmy na ląd, do miasta, jest 5 kwadransów marszu; nie chcę czekać na tramway, który trzeba by dopiero telefonicznie zamawiać i puszczać się z towarzyszami piechotą. Po drodze dopiero spostrzegam, że nikomu z nich ta poniewolna przechadzka w przyspieszonym tempie do smaku nie przypadła... *Malesz!* Widzę statek *des Messageries*, może wyrusza do Aleksandryi? — A tak, podobno. Więc na pokład. Pokazuje się, że jedzie do Syrii. Tu przemilczam dyalog z urzędnikiem konsularnym, który mnie tak wykierował.

Za godzinę, czy dwie, będę siedział w pociągu do Aleksandryi, 9 godzin drogi. Kończy się wycieczka i wytchnienie. Dziś zapewne do jakiej 2-giej w nocy będę pracował, ale zacerpnąłem nowy zapas energii.

.

Góra Sinai, 3/X 1904.

...Piszę na skrzyni z butelkami wody St. Galmier, przed namiotem o staję od klasztoru założonego przez św. Katarzynę Aleksandryjską lat temu 1500. Dziś byłem na górze, która po Golgocie jest dla duszy ludzkiej najważniejszą ze wszystkich, które Pan Bóg stworzył.

2500 metrów nad poziomem morza wznosi się Dżibel-Musa — góra Mojżesza — najwyższa z całego wężła wzgórz i szczytów, tworzących półwysep Sinai. Z tej góry przyniósł Mojżesz dziesięcioro przykazań, według których żyć powinniśmy. Moi towarzysze, bar. Humboldt, konsul niemiecki i pp. Anders i Zewalt z niemieckiego poselstwa, śpią pod namiotem, ja poza namiotem, bo tam ciasno, chrapliwie, i kiedy się człowiek obudzi, nie widzi gwiazd, ni księżycy w ostatniej kwadrze, rozpraszającego srebrnym światłem cienie po upłazach z różowego bazaltu. Mimowolnie mówię pacierz ranny i wieczorny zwróciwszy się na wschód, jak Arabi. Dziś wyruszyliśmy o 6-tej; w ciągu marszu nie widzieliśmy innego zwierzęcia prócz orła, który gnieździ się widocznie pod wierzchołkiem góry i krąży rankiem nad całym półwyspem; po złomach kwarcu, granitu, porfiru, po okruchach zwietrzałych skał, pniemy się na górę. Niemal u szczytu dostaję bicia serca, tak, że wolniuteńko staję u celu. Niemcy fotografują zawzięcie, ja schodzę do źródła, gdzie piję do woli (co za rozkosz!) najlepszą studzienną wodę, jaka egzystuje w Egipcie. Ponieważ poczty niema, więc muszę ten list z sobą zabrać, żeby go rzucić do skrzynki w Suezie, pierwszej, którą napotkam, za tydzień.

.....

Ismailia, 25/XI 1904.

...wybrałem się do Suez, ale w drodze zmieniłem postanowienie i zajechałem do Port Saidu. Dzisiaj widziałem z okien pociągu rosyjskie pancerniki, krzyżowniki i statki przewozowe (*les charbonniers*) a także torpedowce.

...Trudno oprzeć się politowaniu, widząc na pokładzie tych stalowych olbrzymów, całą załogę, kwiat młodzieży rosyjskiej, a może i polskiej, która jedzie, jeżeli nie na pewną, to na bardzo prawdopodobną śmierć... Wracam do Kairu dziś wieczór, a pojutrze każę obudzić się o 5-tej,

będę o 6-tej na mszy św., a o 7-mej wyjadę na 3 dni polowania.

.....

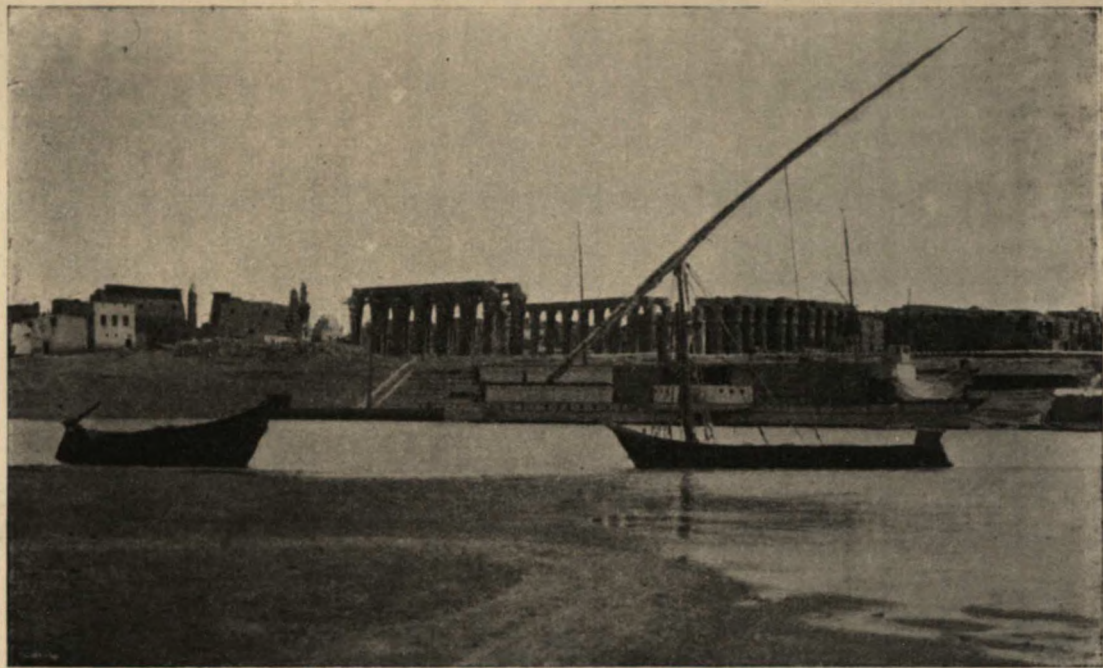
Luxor, 14/XII 1904.

Znowu z bardzo odległych stron przyszło mi pisać do mamusi na święta...

Serce i myśl wrywa się do tych Świąt i kantyczek, do uroczystości tak bardzo rodzinnej, stąd, gdzie wędruję nad Nilem i nawet w grudniu odczuwam spiekotę, jaką technie dzień każdy o południu.



Luxor.



Luxor.



Luxor.

Wieczór Betleemski, najważniejszy, jaki ziemi było danem oglądać, musiał być taki jak te, które tutaj spędzam obecnie; zimny, choć nie mroźny, pogodny i cichy, a jednak przenikliwy i nie mylą się nasze kołеды, litujące się tak rzewnie i naiwnie nad Bożem Dzieciątkiem skostniałym i drżącym na ręku Najśw. Panny.

A potem, zaraz w kilka tygodni po narodzeniu, pierwsza i jedyna wielka podróż Niemowlęcia, lata tułactwa, choć nie wygnania, o których księgi Objawienia wspominają tylko mimochodem, a raczej pobieżnie, lecz które tak żywo zapisały się w pobożnych podaniach i rozmyślaniach.

W Kairze widziałem i odwiedziłem po kilkakroć najstarszy chrześcijański kościół — w posiadaniu koptów dysunitów — a właściwie podziemną kryptę, w której Najśw. Rodzina szukała i znalazła przytułek po przybyciu do tej ziemi egipskiej, skąd piszę. Widziałem i drzewo w Matarieh,



Kom-ombos.

pod którym Najświętsza Panna z Bożym Swym Synkiem wypoczywała po drodze. Jeżeli zdołam za powrotem do Kairu — co będzie nie łatwe — znaleźć i dostać sztych przedstawiający Matkę Boską z Panem Jezusem śpiących w nocy na cokole wśród przednich łap olbrzymiego sflinksa, przysięgo na gwiazdkę naszej kaplicy wielkowiejskiej. Myśl jest ładna i wykonanie także udatne. Święty Józef leży opodal obok osiołka, który musiał wyglądać tak, jak te, których tu od czterech dni nieustannie używam — zupełnie biały, rączy i rośły, potulny i mądry. Od małego Zbawiciela promienieje nadziemski blask, sięgający gdzieś aż do migotliwych gwiazd na stropie niebieskim i oświecający tajemnicze oblicze w kamieniu wykute.

Napatrzyłem ja się aż do zmęczenia, chociaż nie do syta, tym potwornym postaciom, którym biedna, zbłąkana myśl ludzka w rozpaczliwej pogoni za prawdą, po mano-



Kom-ombos.



Wyspa File, widok ogólny.

wcach, boską cześć oddawała. Na przestrzeni kilku mil po obu brzegach Nilu, spiętrzone gmachy, w których niezliczone rzesze z monarchami na czele paliły kadzidła, odprawiały procesye, śpiewały hymny — mężczyźnie o głowie jastrzębia — Horus — i kobiecie o głowie lwicy.

Boże Narodzenie bliższe jest naszym dni w porządku wieków, niżli czasów kiedy tutaj stawiano to, co trwa i trwać jeszcze będzie przez lat tysiące. Potem przyszli pustelnicy, osiedli w zwaliskach, chwalili prawdziwego Boga i mniej po nich zostało śladu, niż po tych pierwotnych fundatorach, budowniczych i malarzach, co wprawiają uczonych, czy tylko ciekawych, w tem większy podziw, im mniej się czuje współczesna ludzkość zdolną do podjęcia wiecznotrwałego dzieła...

.....



Wyspa File, pawilon.



Wyspa File, świątynia Izydy.

Kair, 25/XII 1904.

... Wróciłem z górnego Egiptu, gdzie przez dwa tygodnie blisko, pędziłem życie baszy, siałem postrach wśród agentów konsularnych i t. zw. prokuratorów, czyli opiekunów kościołów katolickich; miałem zawsze ze sobą orszak, i na skinienie osły, powozy, łódki i t. d.

Wrażenie ogólne przedziwne; piękny i niezwykle krajobraz chociaż nie bardzo urozmaicony i wspaniałe budowle, ciekawe zabytki najdawniejszych wysiłków cywilizacyjnych, jakie pamięta ziemia...

.....

Kair, 22/VII 1905.

Nocny festyn urządony przez kolonię francuską 14-go lipca w Kairze, był widziadłem z Tysiąca i Jednej Nocy. W ogrodzie Estekich — gdzie przed 105 laty fanatyczny

ulema zamordował Klebera — zbudowano altanę dla dygnitarzy, a cały plac pokryty budami jarmarcznymi oświetlono weneckimi lampionami; było ich tysiące. Ich różnokolorowe światła zlewały się z łagodnym blaskiem księżyca w pełni. Śliczne drzewa i krzewy ogrodowe przedstawiały się w tem niezwykłym a podwójnym oświetleniu dziwnie fantastycznie. Mniej uroczco przedstawiała się zgromadzona gawiedź, pod trójkolorowym sztandarem i trójhasłem Rzpltej, bo wszystko, co tylko mogło i miało za co, wyjechało do Europy...

.

Kair, 29/VII 1905

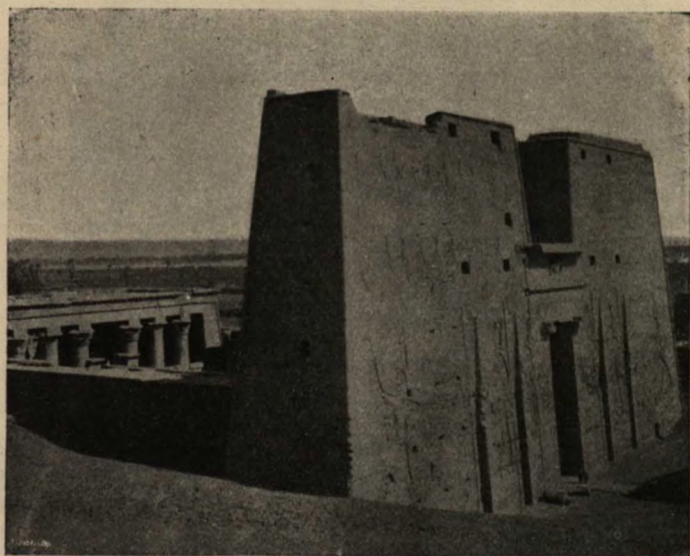
Kwestya importu drzewa zajmuje mnie chwilowo; z nią łączą się kwestye prawne i to z dziedziny prawa międzynarodowego, kwestye żeglugi itd. Owo studyum zbliżyło mnie do niejakiego p. Stagni, Włocha o milionowej fortunie, który sprowadza drzewo z Kanady, z Norwegii, z Hercegowiny, z Senegalu, z Podola. Bystrość sądu, przejrzystość rozmowowania, ścisłość argumentacyi łacińskich mózgów jest mi zawsze nader sympatyczna. Wielki taki kupiec musi wiedzieć o wszystkim, co się ważnego na świecie dzieje. Uchwały parlamentu szwedzkiego, trafny sąd o przyszłości Finlandyi, zakusy imperyalizmu W. Brytanii, obchodzą go nie teoretycznie, jak gospodarza na zamku, czy szlacheckim dworze, ale bezpośrednio, bo mogą i muszą wpłynąć na kontrakty handlowe, które zawiera na lat dziesiątki w rozmaitych krajach. Stąd, śledzi on te wielkoświatowe ruchy i obroty i orientuje się w nich wybornie. Na tym przykładzie tłumaczy się dla mnie fakt, że Republika Wenecka miała przez długie wieki najlepszą i właściwie jedyną dyplomacyę godną tej nazwy. Handel jest przygotowaniem i wstępem do dyplomacyi, jak szkołą żołnierki jest życie wiejskie. Mieć pułki chłopskie grenadyerów i ułanów w usługach dyplomacyi handlowo wykształconej, to byłby ideał rządu. Bitność polskiego



Świątynia w Der-el-Bahari.

żołnierza, czy on był husarzem, szwoleżerem, czy ułanem, nie podlega kwestyi ni dyskusyi mimo, że tu i owdzie poważał się ten i ów tę naszą cnotę podawać w wątpliwość. Ale wojny, które toczyła Rzeczpospolita, z wyjątkiem może wojen króla Stefana, — tu pomijam odsiecz wiedeńską, ostatnią krucyatę — nie były nigdy przygotowane, bo dyplomatycznie byliśmy zawsze bezbronni. Wszędzie i zawsze, zwycięzcy, czy zwyciężeni, byliśmy zaskoczeni, a każda bitwa była naprawdę potrzebą i to nie jakimś szczeblem logicznej drabiny, ale bezpośredniem, jedynem wyjściem z położenia rozpaczliwego.

Waga, na której wazą się losy świata, nie jest prymitywną; owszem, jest ona niezwykle czułą i lada ciężarek może przeważać szalę, tylko trzeba znać dokładnie mechanizm i umieć posługiwać się językiem. My zaś jesteśmy dzisiaj w takim położeniu, że nawet zmiana zupełna w równo-



Edfu: pylony i świątynia.



Edfu: świątynia.

wadze światowej nie wychodzi nam na dobre. Byliśmy dotąd między caratem a Germanią victrix jak w kleszczach; carat słabnie, cóż z tego nam? Ale jeśli na razie polska sprawa nie przedstawia się pomyślnie, to będzie błędem nie do darrowania, jeżeli teraz właśnie nie zrobimy raz na zawsze porządku w Galicyi z Rusinami...

Port Said, 21/VIII 1905.

W sobotę po południu wybraliśmy się we trzech: attaché konsularny Urbanič, p. Tschudi, młody Szwajcar i ja, łódką żaglową z Aleksandryi tutaj. Nasza wyprawa była *l'événement du jour et même de la saison*. 150 mil morskich na czólnie o szerokości 3 mtr. a długości 15, jest już ekspedycją ciekawą; moi towarzysze chorowali całą noc, ja trzymałem się lepiej. Do 1 w nocy morze było burzliwe, potem nastąpiła bezwietrzna cisza aż do 11. rano, a dalej prąd »Masr« wyglądzoną toń jak delfin. Byliśmy w drodze 24 godzin; miesiąc oświecił morską otchłań dopiero o 10-ej wieczorem, więc przez 3 godziny byliśmy pogrążeni w ciemnościach, które słabo rozjaśniały gwiazdy i latarka nie większa od tych, jakie się na noc po naszych stajniach zapala. Kierowaliśmy się podług latarni morskich w Abukir, Rosette i Burullos. Damię minęliśmy już za dnia. Uczucie w łódce jest zupełnie odmienne, niż



Edfu: Wejście do świątyni.



Karnak.

na dużym statku: bezpośrednio sąsiedztwo z wodą przelewającą się co chwila przez brzegi łódki, napełnia człowieka przekonaniem o małości ludzkiej; wspomnienia i porównania ewangeliczne cisną się do pamięci, bo wszakże na łódkach rybackich, na falach Tyberydzkiego morza począł Zbawiciel skupiać koło siebie apostołów i uczniów.

Wschód i zachód słońca, wschód i zachód księżyca — z niczem tego porównać nie można. Je-

dnem słowem wszystko udało się doskonale. Na zaćmienie słoneczne pojedę zapewne do Assuan, mniej, żeby przypatrzyć się sam temu zjawisku, jak międzynarodowemu zebraniu uczonych, którzy już tam pospieszyli.

Aleksandrya, 26/VIII 1905.

Tak jak owego czasu w Meksyku po walkach byków, tak teraz po morskiej wyprawie stąd do Port Saidu, osiągnąłem jednym zamachem popularność. Przyszłym listem prześlę wycinki z dzienników, omawiających naszą podróż. Jak mamuni pisałem, w sobotę — tydzień temu wróciłem o 1. po południu z Kairu, wyekspedyowałem sprawozdanie i walizę dyplomatyczną do Wiednia; o 4-tej byłem na pełnym morzu, — w 24 godzin potem stanąłem wraz z towarzyszami w Port Saidzie. Zabawiłem tam niecałą dobę, a o 6-tej rano, byłem tu z powrotem.

Luxor, 12/X 1905.

Jak przeszłego roku na półwysp Synai, tak tego roku wybrałem się tutaj, żeby po parnej wilgoci letniej i jesiennej w Aleksandryi, przebyć dni kilka w suchym — czy suchszym klimacie. Silne upały nie wstrzymały mnie od zwiedzania grobów, świątyń i pomników po obu brzegach rzeki. Zdaje mi się też, iż o ile można znać Luxor, Karnak, Edfu, Filé i egipskie zabytki bez znajomości pisma hieroglificznego,



Saggarak: apis.

o tyle ja — co prawda bardzo powierzchowne — to zapoznanie się posiadałem. W każdym razie mogę dziś współzawodniczyć w tym względzie z dragomanami opłacanymi przez Cook'a. Dzisiaj niemożem dokończyć mojej *tournée*, bo lekko nogę obtarłem, a zatem musiałem skazać się na 12-godzinną kozę domową.

Kair, 23/X 1905.

...Bywałem dosyć dużo w bibliotekach i muzeach ostatnimi czasy, a mam niebawem zwiedzić piramidy pod

wodzą niemieckiego archeologa, oraz starą synagogę, gdzie uczył medycyny słynny Majmonides. Dotąd nie byłem również w Saggarak gdzie są groby apisów i ciekawe malowania ścienne. Mego Smoleńskiego staram się protegować, ile tylko można...

26/X 1906.

Wracam z jednej z najciekawszych wycieczek, jakie odbyłem w Egipcie. Wyjechawszy z Kairu wieczornym pociągiem, stanąłem w Aleksandryi we wtorek rano. Po kawie, o którą dopytać się trudno, bo na egipskich dworcach kolejowych niema restauracyi, Aleksandrya zaś jest miastem śpiochów, — pojechałem na przedmieście, do koszar *des Gardes-côtes*. Tam przebrałem się w strój do konnej jazdy u majora Dawsona — młodego Anglika, z którym byłem kilka tygodni temu w Abukir — i w największym pośpiechu popędziłem na stację prywatnej kolei Khedywa. Dowiedziawszy się, że on sam jest w podróży, zmieniłem nieco plan wyprawy, chciałem bowiem złożyć mu moje uszanowanie.

Kolej t. zw. du Mariont, jest — jak wspomniałem — prywatnem przedsiębiorstwem Jego Wysokości. Poza jeziorem Mariont zapuszcza się ona w pustynię i równolegle mniej więcej do wybrzeża morza Śródziemnego mknie na zachód, wśród łąwic piaszczystych, niesposobnych do uprawy roli, chyba tam, gdzie studnie artezyjskie wydobywają z głębi ziemi potrzebną wodę, żeby zapewnić życie ludziom, zwierzętom i roślinom.

O 10-tej rano przywitałem się z młodym archeologiem p. Falls, który czekał na mnie wraz z końmi pod siodłem i Beduinami, którzy mieli zanieść moje tobołki. Nie wysiadłem jednak na stacyi w Behie, ale jechałem dalej, chcąc koniecznie pokłonić się władcy kraju, w którym przebywam od półtrzecia roku. Niestety zdrzemnąłem się dojeżdżając do ostatniej stacyi kolei o torze normalnym; nikt zaś nie uprzedził Abbsa II, że jadę na jego spotkanie, tak, że

jego pociąg prywatny minął nas, nie zatrzymując się, a ja jak niepyszny i o pustym żołądku, wracałem do Behie, gdzie stanąłem o 3 po południu. Herbata przyprawiona skondensowanym mlekiem u naczelnika posterunku żandarmeryi, zastąpiła obiad. Pakując się w drogę, zabrałem wprawdzie obcisłe rajtuzy do konia, ale zapomniałem skórzanych kamasy; Anglik, którego nazwiska nie pamiętam, pożyczył mi tych opasek na golenie, z którymi teraz dopiero się zapoznałem. Po herbatce dosiadam beduińskiej szkapy i w towarzystwie Beduina ruszam do Bonny. Tam odnajduję mego archeologa, oraz jego kuzyna, księdza katolickiego, Kaufmana, którzy rozkopują starą metropolię Kasm-Abu-Mina. Trzeba kończyć, bo pociąg nadchodzi...

Kair, 29/X 1906.

...Mógłbym wprawdzie zapełnić 4, a i 8 stronek listu wiadomościami bieżącymi, wolę jednak na razie wrócić do opisu mojej wycieczki po pustyni i podejmuję wątek opowiadania tam, gdzie go przerwałem, w Bonnie. 16 b. m. wieczorem stanąłem zatem w Karm-Abu-Mina. Ksiądz Kaufman, kierownik archeologicznej wyprawy, nie nosi oczywiście sutanny. W domku, w którym mieszka, a który składa się z jednej tylko obszernej izby, odprawia na składanym ołtarzu w niedzielę mszę św. i to tylko o świcie, a nawet przed świtem, bo nie chce, żeby Beduini dowiedzieli się o nabożeństwie. Fanatyzm koczowniczej ludności miejscowej jest jeszcze dziś taki, jaki był przed wiekami. Zadałoby się do Bonna, czyli Karm-Abu-Mina do najbliższego posterunku żandarmeryi, żeby lekceważyć uczucia nieokrzesanych dzieci pustyni. Ołtarz wygląda jak jedna ze skrzynek, które zawierają pożywienie, odzież, książki i papiery uczonych. Ściany obwieszane są fotograficznymi zdjęciami z wykopalisk, u pułapu zaś wiszą, niby wianki grzybów, mniejsze i większe flaszeczki kształtu myśliwskich manierek. W nich,

jak wykazały badania, przechowywano starannie cudowną wodę świętego Menasa, miejscowego patrona. Świat naukowy nie umiał sobie przez długie lata wytłómaczyć znaczenia tych flaszeczek, zwanych *les ampoules de St. Menas*. Są one wyrabiane z gliny, a zdobne w postać z rękoma podniesionemi w górę do modlitwy; hieratyczną ową postawę przybierano z dawien dawna na Wschodzie i zachowali ją dotąd Muzułmanie. Po obu stronach widać dalej na tych miniaturowych płaskorzeźbach leżące wielbłądy. Św. Menas był rzymskim rycerzem (*eques*), który poniósł śmierć męczeńską w r. 269 po Chr. Jak mówi podanie, dwa wielbłądy uniosły jego zwłoki z Aleksandryi aż do Karm-Abu-Mina, co znaczy Winnica Ojca Menasa. Wokoło jego grobowca powstał klasztor, a z czasem całe miasto, które, jak wiele miejsc pielgrzymek, żyło głównie pobożnym przemysłem i świątobliwym handlem. Pięćdziesiąt cystern i sadzawek, zapewniało dużej — jak na owe czasy — osadzie wodę, po którą dzisiaj trzeba codziennie posyłać aż do Behie oddalonego o 18 km.

Bonna była prócz tego etapą na drodze karawan między Aleksandryą, a oazą Siwa, dokąd był swego czasu dotarł Aleksander Macedoński. W szczerem polu, wśród bezmiernej a jałowej pustyni, zarosłej tylko koleczastem i wyschłym krzewiem, odkopuje kilkudziesięciu robotników pod kierownictwem uczonego kapłana resztki świątyń, bazylik, baptysteriów, mniszych cel i refektarzy, oraz domki zamieszkałe przez świeckie rodziny; łaźienki, w których dotąd przechowywały się otwory na odpuszczanie wody, użytej do kąpieli, przyrządy, czyli sita do tuszów i t. d. Rzeźb nie zachowało się nic prawie, ale architektoniczne ozdoby, które ocalały, są istic wspaniałe. Kapitele najprzeróżniejszych porządków wyłaniają się za każdym niemal uderzeniem motyki z piasku i gruzów i wzmagają żal za zaginionym obrazem przepysznego całokształtu, który padł ofiarą obrazoburczych instynktów rozkiełzanego muzułmaństwa z pierwszej zdo-

bywcej epoki. Przedewszystkiem wpada w oko bogactwo marmurów, którymi przyozdabiano ściany i wnętrza kościołów od stropu, do kamiennych tafli służących za podłogę, a które trzeba było przywozić aż z Grecyi i wysp na morzu Śródziemnem, do Aleksandryi na okrętach, a dalej na wielbłądach, czy też na barkach niewolników. Miasto, które musiało być czemś w rodzaju św. góry Athos, trudno zwiedzić na prędce. Godzinę czasu liczy się na objechanie go konno. Tymczasem zapada zmierzch, więc trzeba wracać do domku, gdzie Beduinka hoża i zwinna jak gazela pustynna, nakryła obrusem stół do pisania i przyniosła dymiący makaron i zeschnięte salami z Aleksandryi. Szklanka czerwonego wina i filiżanka kawy, muszą starczyć za całą wieczerzę. Młody kuzyn księdza Kaufmana, p. Falls, który z nim dzieli trudy, troski, ale i uciechy tego życia, w niezwykłych bądź co bądź warunkach, ofiaruje się za przewodnika w wędrówce po beduińskich namiotach. Beduinki nie przestrzegają przepisów Koranu równie ściśle, jak inne kobiety muzułmańskie, nie noszą zasłony na twarzy i biorą udział w powszechnej pogawędce przy szklance herbaty przecukrzonej i zaprawionej miętą — takiej, jaką popija się u marokańskich Arabów. Ogniska migotają nietylko obok domostwa niemieckich archeologów, ale i dalej po wzgórzach i wydmach, bo kraj pustyni jest dosyć zaludniony, więcej w każdym razie, niżby się zdawać mogło sądząc po jej nieurodzajności. Siedzi się na wołokach i prostych dywanach z sierści wielbłądziej, którą kobiety przędą i tkają pod namiotami. Na uczenie gościa, zbiegają się chłopcy zewsząd i stają do tańca, klaszcząc zapamiętałe w dłonie i śpiewając przeciągle żalosne i miłosne dumki. Ten taniec narodowy, to *la danse du ventre*, i to nie jego karykatura, jaką się widuje po miastach europejskich, albo nawet i w Kairze, ale taniec dziki, ognisty, namiętny; widowisko nie dla pańienek zapewne, lecz uwagi godne.

Tymczasem X. Kaufman położył się do polowego łóżeczka za firanką, gdzie on i jego kuzyn mają sypialnię. Ży-

czymy mu więc dobrej nocy. Z pierwszego snu budzi nas gwałtowne dobijanie się do drzwi; pierwszy ruch jest za strzelbę. Nie opryski jednak chcą się dostać do wnętrza chałupki, ale umyślny posłaniec wysłany na całą noc z moją skórzaną poduszeczką, zostawioną w pośpiechu u majora Stagni. Przy łójówce trzeba jeszcze ołówkiem napisać podziękowanie, niebardzo chyba udatne, bo pisane nawpół przez sen...

Kair, 2/XI 1906.

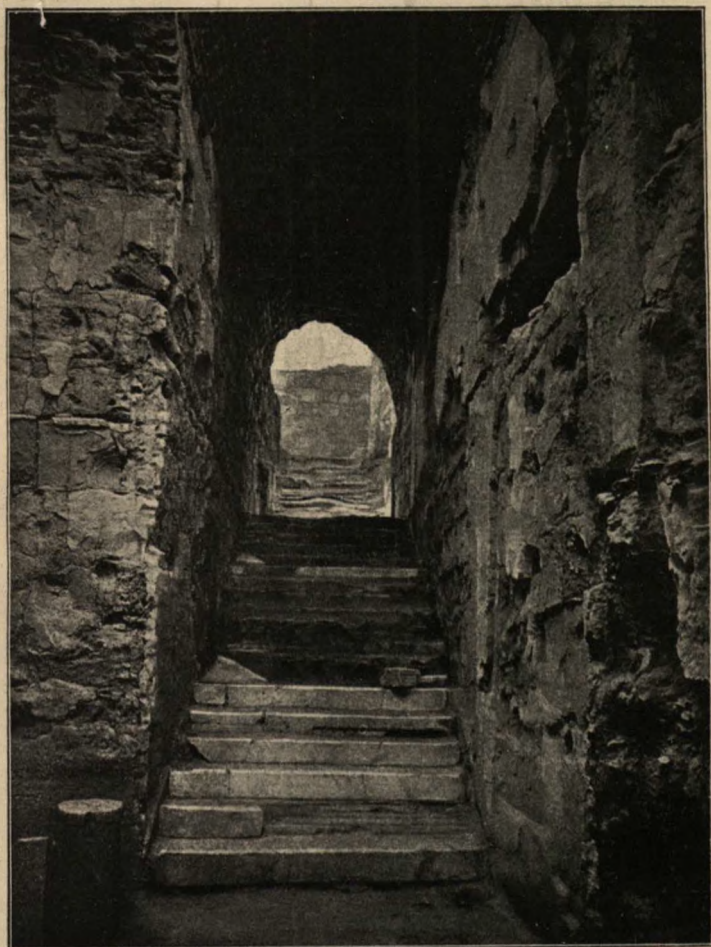
W Karm - Abu - Mina obudziliśmy się o 4¹/₂ z rana i odrazu sposepniali na wiadomość, że nie nadeszły konie, które na całą noc miał nam przysłać posterunek *de Garde Côtes*. Mój towarzysz, p. Falls i zwłaszcza Beduini jego, naglili do drogi, t. zn. do wysłania przynajmniej tobołków naprzód. Ale ja ani słyszeć o niczem nie chciałem, póki nie doleciał moich uszu tentent koni cwałujących. Żołnierz w mundurze kaki i takiejże czapeczce, prowadził luzem dwa siwki, a sam galopował na dobrym gniadym koniu niepoczesnego wyglądu, ale który i 48 godzin może się bez wody obejść. O 6¹/₂ wyruszyliśmy z miejsca, pożegnawszy się serdecznie z uprzejmym i gościnnym ks. Kaufmanem. Przodem jechał młody chłopak o orlim wzroku, gibkiej kibici wciętej jak kobieca niemal; co prawda szeroka taśma, opasująca go szczelnie powyżej bioder, stanowiła rodzaj gorsetu. Z wysokości swego wielbłąda rozpatrywał się pilnie po widnokręgu, bo tylko kształt pagórków i wyżyn, był jemu i nam jedynym drogowskazem. Za nim jechaliśmy we dwóch na żołnierskich siodłach, u których przytroczono krótkie karabinki w skórzanych pochwach, lufą na dół, tak, że w każdej chwili można było ich użyć w razie potrzeby. Żołnierz Sudańczyk niechętnie zapuszcza się w pustynię, gdzie my mu raczej będziemy opieką, niż on nam, bo Beduini żyją na stopie niemal wojennej z załogą rządową rozsianą po stanicach. Gdzieś na krańcu widnokręgu nikną cztery wielbłądy obju-



Karm-Abu-Mina. Widok na kościół z przyległą salą Koinobitów.

czone namiotem, naczyniem kuchennem, worami z obrokiem, wodą w glinianych stągwiach i naszym prowiantem. Mój czarny kuferek całkiem już pognieciony i pogięty, towarzyszy mi jak zwykle. Dziewięć godzin tego dnia siedzieliśmy na koniu, co jak na afrykańską pustynię, jest bardzo nużące, bo zwykle rozkładają się karawany obozem w południe i nie zwijają namiotów aż przed brzaskiem nazajutrz. Słońce, aczkolwiek październikowe, przygrzewało dotkliwie; póki się jedzie po twardej ziemi, wszystko jako tako. Jedzie się stępą, dogania i przegania wielbłąda, który idzie wciąż równym truchtem; widzi się wyżyny przed sobą, które w kilka godzin potem nikną w oddali za nami i posuwa się rażno naprzód. O kilkaset kroków od Bonny (Karm - Abu - Mina) pomyka zając; piękny duży wyżeł, który towarzyszy swemu panu, pędzi za nim jak szalony. Beduin strzelający podobno z lada jakiej fuzyjki jak sam pan Wojski, pudłuje z doskonałego wojskowego karabinka. Na pustyni spudłować, gorzej, niż na Milówce, gdyż bądź co bądź, obiad we dworze zawsze pewny, a świeży zając smakowałby lepiej od baraniny uwarzonej dwa i trzy dni temu i to pożał się Boże z jakiego barana! W drodze spotykamy dzieciaki pasące stadko kóz, zresztą ani żywej duszy; a ze zwierząt pliszki, trzódkę wielbłądzą, t. zn. kilka matek ze źrebiętami i daleko, o jakie pół mili co najmniej na widnokręgu, może i dalej, gazelle ogryzające krzewinę; dałyby się może i podejść, ale zabraloby to kilka godzin, a my musimy o wschodzie słońca stanąć u studni, jedynej na obszarze mil kwadratowych kilkudziesięciu — może kilkuset.

O 11¹/₂ zsiadamy z koni, rozpinamy szeroką płachtę na strzelbach i pod tą ochroną przed słońcem zajadamy jaja na twardo i ową baraninę. Słońce przyświeca tak, że już pieką policzki oraz szyja, o ile jej hełm nie osłania. Pies, taki wesoły z początku, skowyczy ze zmęczenia i trzeba go brać na konia, gdzie się układa jak może, a zachowuje przykładowie, żeby mu tylko wolno było wypocząć. Coraz



Karm-Abu-Mina. Wielkie schody w krypcie.

częściej spogląda się na zegarek, coraz natarczywiej zapytuje, czy jeszcze daleko, aż wreszcie: »Handulillah« — Bogu niech będą dzięki — już niedaleko..... Ale na miejscu staje się w dwie godziny później dopiero, choć i tak przybyliśmy do celu o 3 godziny wcześniej, niż Beduini rachowali z rana. To miejsce, to kilka grządek kukurudzy, źródło, z którego sączy się kroplami strumyczek ginaący o parę kroków dalej i zaonia Senussich, tych groźnych Senussich, postrachu chrześcijan od Atlantyku po ocean Indyjski, tej tajemniczej sekty, która odgrywa w świecie muzułmańskim taką rolę, jaką wolnomularze *mutatis mutandis* odgrywają w Europie i Ameryce. Ze wszystkich jestem najmniej zmęczony. Ponieważ na takich wycieczkach nie jadam prawie nic, sięgam do cukiernicy, nalewam do szklanki przerobionej ze słoika musztardy (na której widnieje dotąd widoczek fabryki w Dijon) wina czerwonego i pokrzepiam się tak, że mógłbym jechać dalej, choćby do świtu. A tymczasem noc zapada i po ciemku już zabija się ostatnie pale namiotu w lotny piasek. Zaonia, to niski dom o płaskim dachu, pomalowany na brudno-żółty kolor, coś w rodzaju karczmy, tylko bez dachu jaki widzujemy u nas i który Mickiewicz przyrównywał do podartego żydowskiego kapelusza. Nie zachodzimy tam, nie wiedząc, jakby nas przwięto. Dolatuje nas stamtąd jedynie gdakanie drobiu i śpiew modlitwy o przepisanych godzinach; a w nocy przychodzi w odwiedzinę piasek, w nadziei porzuconej jakiej kosteczki. Beduin, którego spotykamy u źródła, uprzejmym nie jest. Dziwić mu się można; karawana z sześciu ludzi, pięciu wielbłądów i trzech koni, przychodzi nieproszona a spragniona, rozkłada się taborem u źródła, pije i poi konie, tak, że wieczorem już i kropki wody niema, trzeba czekać ranka, zanim się znowu z podziemia nasączy. Przytem te psy niewierne piją czerwone wino i pustą butelkę zostawiają na pamiątkę. Prawowierne powonienie muzułmańskie nie prędko zapomni o przebrzydłej woni piekielnego napitku. Z namiotów nieco dalej rozbitych przychodzi na herbatę przyjaciel i powiernik



Obozowisko w pustyni.

jednego z naszych ludzi. Drogę do Wadi Nastron zna wprowadzie, ale do chrześcijańskiego klasztoru poprowadzić nikogo nie raczy. Około 8-mej zawijamy się w koce, spoglądamy na ciemny widnokrąg, na roziskrzone gwiazdy, dla wszelkiej pewności umieszczamy nabitą broń pod ręką i zasypiamy snem sprawiedliwych. Za to o 4-tej jesteśmy na nogach. O myciu niema mowy, ubierać się nie trzeba, bo tylko zdjęliśmy obówie i zwierchnie ubranie. Zanim jutrzienka zabłysła, siedzimy znów na wypoczętych i parskających podjezdkach.

.
.

Opis wycieczki urywa się na tym liście z dnia 2/XI 1906. Autor umarł w Kairze 26/XI. (Przypis Wydawcy).

SPIS ILLUSTRACJI DO TOMU I.

	Str.		Str.
Kościółek drewniany barokowy pod Kamieńcem	12	Sarajewo. Bośniackie dziewczęta przy studni	54
Kamieniec Podolski	13	Z ulic Sarajewa	55
Kamieniec Podolski. Minaret przy Katedrze od r. 1672 do 1679 zamienionej na meczet	14	Typy bośniackie	56
Z Podola. Stadnina	18	Sarajewo	57
Z Podola. Woły	19	Typ Bośniaka i typ dziewczyny bośniackiej	58
Z obwarowań Kamieńca Podolskiego	22	Typy bośniackie	59
Ruiny Melsztyna	25	Typy bośniackie ludowe	60
Sarajewo. Ogólny widok	35	Majolika starobośniacka	61
Sarajewo. Brzegi Miliaczki	37	Majoliki starobośniackie	62
Miliaczka, rzeka w Sarajewie	39	Jaice. Brama Pliwy	63
Sarajewo. Dzień targowy na Baszczarszyi	41	Wieśniacy bośniaccy	65
Typy żyda i żydówki — Spaniolów	43	Jaice	67
Wnętrze mieszkania bega serbsk. ustawione w muzeum sarajewskiem	45	Na wodach Pliwy	71
Beg bośniacki	46	Murowany gościniec do Banialuki	73
Z ulic Sarajewa	47	Jezero	77
Sarajewo. Moszeja Ali-Paszy	49	Wieś bośniacka Konica	78
Sarajewo. Katedra. Cerkiew. Moszeja. Muzeum	51	Majolika starobośniacka	79
Scena uliczna w Sarajewie	53	Mostar. Widok ogólny	83
		»Rzymski most« w Mostarze	85
		Scena uliczna w Mostarze	87
		Kobieta muzułmańska	89
		U źródeł Buny	93
		Staroserbska zapinka	96
		Widok ogólny Raguzy	99
		Mury warowne Raguzy	100

	Str.		Str.
Raguza. Przedmieście Pille	101	Zürich. Pomnik Zwinglego	152
Raguza. Stradone	103	Zürich	153
Studnia przed pałacem Re- ktorów w Raguzie	104	Losanna. Katedra	154
Raguza. Podwórze w pałacu Rektorów	105	Losanna. Pałac biskupi	155
Z pod Raguzy	107	Latarnia morska	160
Z ulic raguzańskich	109	Tanger od strony zatoki	161
Porta Ploce	110	Południowa strona Tangeru	163
Raguza. Widok na mury obronne	111	Kasba	165
Raguza widok ogólny	112	Główna ulica w Tangerze	173
Krużganek klaszt. w Lacromie	117	Studnia arabska w Tangerze	175
Salona — łaźnia rzymska	125	Gibraltar	199
Porta Aurea w pałacu Dyo- klecyana	127	Latarnia morska	204
Popiersie wrzekomo Dyokle- cyana. Kapitol	129	Ogłoszenie walki byków	221
Trau. Port	139	Wjazd quadrilli	225
Napis wotywny na trumnie św. Symeona	142	Muleta	228
Królowa Elżbieta z córkami na trumnie św. Symeona	143	Lagartijo Chico	230
Zara. Katedra	144	Mazzantini	231
Zürich. Münsterbrücke	150	Pikador zaczynający walkę	233
		Espada	235
		Antonio Reverte	237
		Natarcie Pikadora	239
		Quadrilla	240
		Pikadorowie	241
		Przed ciosem śmiertelnym	243
		Wywlekanie zabitego byka	245



SPIS ILLUSTRACYI DO TOMU II.

	Str.		Str.
Z ulic Nowego Yorku: dra- pacze nieba	18	Jalapa: Palacio del Governo	102
Buffalo. La Fayette Square	30	Tampico	106
Buffalo. Ratusz	31	Domostwo meksykańskie	110
Buffalo. Katedra św. Pawła	32	Puebla	116
Buffalo. Kościół św. Jana Chrześciciela w ul. Delaware	33	Puebla: Katedra	117
Buffalo. Katedra protestancka	34	Ranchos	118
Wodospady Niagary	37	Ranchos: po polowaniu na kaczki	119
Wodospady Niagary	39	Ranchos: po polowaniu na kaczki	120
Pan-American expos. 1901	43	Ranchos: Kostek kuchmi- strzuje	121
Buffalo. Wystawa, ogólny widok	45	Ranchos: popas na pustyni	122
Wystawa w Buffalo, wieża elektryczna	47	Ranchos: personal X. Ra- dziwiła	123
Pod Monterrey: chłopcy me- ksykańscy	66	Wjazd na Mésa de los Car- tujanos	125
Domostwa meksykańs. w po- bliżu Monterrey	67	Ranchos — w pustyni: Mésa de los Cartujanos	126
Na Esteros	75	Sta Fé	127
W dziewiczych lasach Me- ksyku	77	San Gabriel	129
Dyliżans meksykański	81	San Gabriel: cukrownia	130
Krajobraz meksykański	83	San Gabriel: targ	132
Z Meksyku południowego	85	Do Cacahuamilpa	133
Meksyk połudn.: targowica	87	W Cacahuamilpa	134
Spędzanie bydła	99	Cuarnavaca	136
Cow boys	100	Cuarnavaca. — Ogród	137
		Osada meksykańska	138

	Str.		Str.
Cuarnavaca: ruiny Xochi- calco	139	Na dromedarze	228
Oaxaca	141	Z wycieczki na Synai	229
Ruiny Mitli	144	Pod murami klasztoru na Synaju	231
Ruiny w Mitli	145	Przed bramą klasztoru na Synaju	232
Mitla	146	Klatka do wyciągania przy- byszów	233
Mitla	147	Cerkiew klasztorna na Sy- naju	234
Mitla	148	Klasztor na Synaju	235
Ogród w El Desierto	149	Mury klasztorne na Synaju	238
Pałac w Chapultepec	150	Oaza Wadi Firan	245
Piramidy w Gizeh	154	Popas na półwyspie Synai	247
Sfinks i piramida Chefrena	155	Assuan i wyspa Elefantyna	263
Wojsko angielskie na wiel- błądach	159	Luxor	277
Kobieta egipska	166	Luxor	278
Dziewczyna arabska	171	Luxor	279
Domostwo fellaha egip- skiego	179	Kom-ombos	280
Sakija	183	Kom-ombos	281
Tama w Assuan	185	Wyspa File, widok ogólny	282
Wyspa File powyżej tamy w Assuan	186	Wyspa File, pawilon	283
Kair	187	Wyspa File, świątynia Izdy	284
Typ egipski: oślarz z osioł- kiem	189	Świątynia w Der-el-Bahari	286
Ulica Muski w Kairze	191	Edfu: pylony i świątynia	287
Z bazarów wschodnich	194	Edfu: świątynia	288
Z wnętrza moszei El-Azhar	196	Edfu: Wejście do świątyni	289
Groby Kalifów w okolicy Kairu	199	Karnak	290
Kair. Moszeja Sułtana Has- sana: kiblach i mimbar	200	Saggarak: apis	291
Nil pod Kairem i stara nad- rzeczna dzielnica miasta	203	Karm-Abu-Mina. Widok na kościół z przyległą salą Koinobitów	297
Nil	206	Karm - Abu - Mina. Wielkie schody w krypcie	299
		Obozowisko w pustyni	301

SPIS RZECZY DO TOMU II.

	Str.
Za Atlantykiem	1
Listy z Meksyku (1902—1903).	65
Z kraju Faraonów	151
Egipt w lecie	153
Ciemności egipskie	251
Listy z Egiptu (1904—1906)	268
Spis ilustracyi do Tomu I	303
Spis ilustracyi do Tomu II	305







[2]

33626